ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400
CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NR 7 (198) LIPIEC 2015

Operacja »LAWINA« – odnalezione ślady zbrodni

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

www.odkrywca.pl

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR
WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!
GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com
Ace 150
Ace 250
Euro Ace
AT Pro
AT Gold
GTI 2500
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
ATX
white's
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
NOWOŚĆ Treasure Master
NOWOŚĆ Treasure Pro
MX5
Matrix M6
MXT Tracker
MXT Pro
Spectra VX3
Spectra V3i
BeachHunter
TM 808
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F5
NOWOŚĆ F11
NOWOŚĆ F22
NOWOŚĆ F44
F19
F70
F75
F75 LTD
Pro-Tech
Pro-Arc
CZ 21
1280-X Aquanaut
MINELAB
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Safari
E-Trac
CTX 3030
GPZ 7000
SDC 2300
Excalibur II
NOWOŚĆ GO-FIND20
NOWOŚĆ GO-FIND40
NOWOŚĆ GO-FIND60
XP METAL DETECTORS
ADX150
Adventis 2
GMaxx II
Gold Maxx
Deus
Nokta
DETECTION TECHNOLOGIES
VELOX One
FORS CoRe
GROUND EFX
NOWOŚĆ MX100E
NOWOŚĆ MX200E
NOWOŚĆ MX300
NOWOŚĆ MX400
podwodny
wodoszczelny do 3m
odporny na warunki atmosferyczne
do poszukiwania złota
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sklep stacjoharny, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

LIPIEC 2015

POSZUKIWANIA

3 **Klucz do rozwiązania zagadki – Operacja „Lawina" (cz. 5)**
Łukasz Orlicki

8 **Prawo do skarbów… (cz. 1)**
Piotr Maszkowski

13 **Trudna historia może łączyć**
Z historii Stalagu VIIIA (cz. 3)
Janusz Skowroński

18 **Od Rzymu przez Księstwo Warszawskie po SS i getto warszawskie, czyli pełne skarbów zakamarki pałacu w Falentach**
No, szału nie ma – powiedział Mariusz Rowiński, oglądając okrągły aluminiowy przedmiot wyglądający na tabliczkę znamionową jakiegoś niemieckiego urządzenia technicznego. Jeszcze tego samego dnia okazało się, że to rzadki identyfikator zakładowy z warszawskiego getta…
Robert Wit Wyrostkiewicz

23 **Barcinek – zapomniana wieś chorych oficerów**
Kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, niewielką wioskę Berthelsdorf przewidziano na uzdrowisko dla niemieckich żołnierzy. Leczniczy charakter tej podgórskiej miejscowości pozostał również po zakończeniu zmagań militarnych. Wówczas na szczeblach najwyższych władz RP pojawił się nawet pomysł, by utworzyć tutaj letnią rezydencję Bolesława Bieruta…
Szymon Wrzesiński

KULISY HISTORII

29 **Biało-czerwona na Polizei Präsidium**
Leszek Adamczewski

34 **Powojenne losy bunkra na Szrenicy**
Tomasz Rzeczycki

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

40 **Wybuchowe otwarcie militarnego „Gryfa"**
Monika i Katarzyna Krzyżańskie

43 **„Ostatnie dni wojny", czyli magiczny Piknik Historyczny**
Monika i Katarzyna Krzyżańskie

46 **Odlotowy Aerofestival**
Piotr Maszkowski

HISTORIA W ROCZNICACH

48 **Poczdam 1945: Wielka Trójka**
Piotr Galik

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

52 **Szalejów Dolny, bajka o Münchhausenach z Żelaznem w tle**
Jest takie miejsce niedaleko Kłodzka. Ciche, niepozorne i schowane przed oczami ciekawskich. To niewielka miejscowość, która w czasach niemieckich nosiła nazwę Niederschwedeldorf. Stoi tam również opustoszały pałac, ukryty w gęstej roślinności. Zatem, nie łatwo do niego trafić. Niby nic nowego, a jednak…
Dariusz Pietrucha

KOLEKCJONERSTWO

58 **Nóż bojowy Ka-Bar**
Legendarna broń biała (cz. 3)
Piotr Galik

62 **Niezbędniki brytyjskie 1939-1945**
Wojna od kuchni (cz. 4)
Tomasz Bienek

FORTYFIKACJE

65 **Bitwa pod Lissą**
Fortyfikacje wyspy Vis (cz.1)
Jerzy Sadowski

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Lipcowe nowości w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
Wysadzone wejście jednego z tajemniczych schronów znajdujacych się na terenie byłego lotniska w Starym Grodkowie.
Zdjęcie: Grzegorz Góra.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

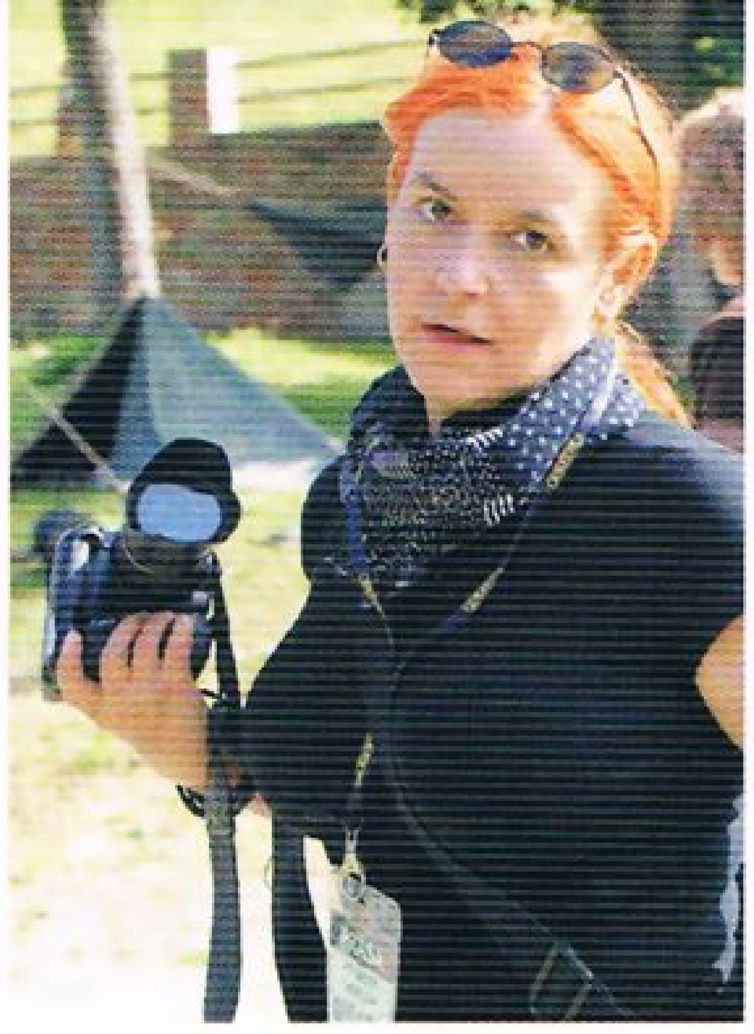

Drodzy Czytelnicy

Ta smutna wiadomość przyszła już po zamknięciu czerwcowego wydania „Odkrywcy", więc dopiero teraz mogę do niej wrócić, dokładnie w miesiąc po śmierci – 24 maja 2015 r. – wielkiego Mistrza reportażu, Krzysztofa Kąkolewskiego. Jak pisze Iza Michalewicz w „Dużym Formacie", dodatku do „Gazety Wyborczej", (z dn. 17.06.2015) umarł z notesem pod poduszką, do końca starając się pracować pomimo fizycznej słabości. Najserdeczniej polecam Wam ten tekst znakomitej autorki: „Krzysztof Kąkolewski 1930-2105. Reporter, który umarł ze smutku" – jest (mam nadzieję, że również w chwili, gdy czytacie te słowa) dostępny na stronie internetowej wyborcza.pl

Polecam z przekonaniem o wielkości zmarłego Reportera, ale również z niepokojem, że autor 38 wydanych książek, których łączna sprzedaż przekroczyła 1,5 mln egzemplarzy odchodzi właściwie niezauważony, tak niezasłużenie dyskretnie.

Od lat był na uboczu życia literackiego, taki bardzo osobny, w czym jakoś przypominał swojego wielkiego mistrza – giganta reportażu, Melchiora Wańkowicza, ale to nie usprawiedliwia wieloletniej ciszy wokół jego wielkiego dorobku. Może teraz wydawnictwa przypomną sobie jednak, jak znakomitym tworzywem dysponują i podjęty zostanie wysiłek promujący tę wyjątkową twórczość.

Iza Michalewicz przytacza opinię Hanny Krall: *„Jego tekst o Gajowniczku* (więzień Auschwitz, za którego życie oddał ojciec Maksymilian Kolbe – przyp. I.K.) *to najlepszy reportaż w całej historii polskiego reportażu".* Taka opinia to wyjątkowa nobilitacja, ale przecie wypowiadająca te słowa ma szczególne prawo do jej wyrażenia.

Nie ośmielam się interpretować tych słów w odniesieniu do całego dorobku Mistrza – trudno w kraju Wielkich Reportażystów ustanawiać jakąś hierarchię ich wielkości i znaczenia dorobku nie popadając w pierwszym rzędzie w konflikt z własnymi emocjami, doświadczeniem i zainteresowaniami. Niech mi jednak wolno będzie podzielić się osobistym przekonaniem o wyjątkowości tomu rozmów z wysokiej rangi zbrodniarzami hitlerowskimi wydanych pod tytułem: „Co u pana słychać?". Niezwykłe reportaże o powojennych losach współtwórców III Rzeszy, architektów zbrodniczych planów i ich wykonawców zarazem – swoiste uzupełnienie sławnej książki „Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła" Hannah Arendt.

Jeszcze jedna opinia znakomitości reportażu cytowana w tekście Izy Michalewicz – Małgorzata Szejnert: *„Początkowo miałam żal do Kąkolewskiego, że zdecydował się opisać bezradność wobec wybranego przez siebie tematu… dzisiaj myślę, że przedstawił ważne świadectwo tej naszej bezradności wobec historii. To była wielka odwaga jechać do tych esesmanów. Odwaga podjęcia tej konfrontacji i odwaga narażenia się na niepowodzenie. To było godne podziwu".*

Ale nie dla wszystkich – w komunistycznej Polsce reżimowi propagandyści odczytali książkę jako promującą hitlerowskie zbrodnie. Reporter stał się niewygodny, nieswój, a może nawet jeszcze coś gorszego. To był ten klimat, jaki od czasów Władysława Gomułki ciągnął się przez kraj. Klimat „odwetowców z Bonn", ziomkostw, Hupki, Czaji, V kolumny, to był ten duch; długo miał się nieźle i jeszcze w końcu lat 70. i początku 80. ciągle straszył.

To pewnie wtedy pojawiła się ta „osobność" Mistrza, pozostawanie z boku – rola jaką przyszło mu wypełnić do końca.

Gdy kilka dni temu (w którejś z dokumentalnych serii telewizyjnych) zobaczyłam po raz kolejny zadowolonego z siebie Wernhera von Brauna (20 lipca, kolejna rocznica lądowania na Księżycu), twórcy rakiet V i Saturn V, która wyniosła pojazd „Apollo" w przestrzeń kosmiczną, sięgnęłam po „Co u pana słychać?". Po rozmowę z Hubertusem Strugholdem, współpracownikiem von Brauna, pionierem medycyny kosmicznej okupionej zbrodniczymi eksperymentami na więźniach obozów koncentracyjnych, by skonfrontować moralność zdobywcy kosmosu z moralnością zbrodniarza. Tę konfrontację umożliwia wielki Reporter. I rzeczywiście, jak mówi M. Szejnert, jest w istocie wobec niej bezradny – podobnie jak czytelnik, ale w tej bezradności jest jednak moralna siła przestrogi, którą odczytuję w wypowiedzi Krzysztofa Kąkolewskiego w książce Barbary Stanisławczyk „Kąkolewski bez litości" (DW Bellona 2004): *„Nigdy nie wolno sobie wyobrażać tego, co ma się zdarzyć w przyszłości. Lepiej wyobrazić sobie, co było w przeszłości, a co zapomnieliśmy".* Przyznacie, że to dla miłośników historii i wszystkich o niej piszących bardzo trafna myśl.

Wyobraźnię przeszłości ożywiają w tym numerze „Odkrywcy" tematy i sprawy, o których nie dadzą zapomnieć nasi Autorzy. Wśród nich powojenne losy bunkra na Szrenicy, dzieje Izerskiego Davos, zakamarki pałacu w Falentach, nie całkiem bajeczne losy rodziny barona-fantasty, tragiczne wydarzenia Operacji „Lawina" oraz szturm „Szarych Szeregów" na Prezydium Policji w okupowanym Poznaniu. A na koniec udajemy się na Chorwację, by zbadać fortyfikacje wyspy Vis. O tych wydarzeniach i tajemnicach historii już nie zapomnicie!

W imieniu swoim i Autorów serdecznie zapraszam do lektury lipcowego wydania naszego czasopisma!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Klucz do rozwiązania zagadki – Operacja „Lawina" (cz. 5)

ŁUKASZ ORLICKI

O lotnisku w Starym Grodkowie krąży wiele legend. Ukryte w leśnym gąszczu ruiny budynków, betonowych schronów i dziwnych pozostałości po olbrzymim kompleksie zyskały wśród okolicznych mieszkańców miano miejsca niebezpiecznego, pełnego tajemnic i jednocześnie przeklętego, gdzie nocą lepiej się nie pojawiać. To właśnie tu, według naszego dochodzenia, miał rozegrać się drugi, tragiczny akt Operacji „Lawina".

Opisując w numerze majowym („Odkrywca" 5/2015) nasze ostatnie ustalenia dotyczące lokalizacji miejsca zlikwidowania I i II transportu oddziału NSZ „Bartka", obszernie cytowałem fragmenty zeznań głównego świadka w tej sprawie, Jana Zielińskiego – funkcjonariusza UB. Odtwarzał on wygląd i szczegóły topograficzne odnoszące się do opuszczonego folwarku, w którym swe życie zakończyli partyzanci przewiezieni I transportem, oraz położenie i zapamiętane cechy lotniska, gdzie mieli zostać zamordowani żołnierze NSZ z II transportu. Cytowałem również relację cywilnego strażnika lotniska – Mieczysława Batora. Obydwa zeznania korespondują ze sobą w wielu szczegółach. Jednakże najbardziej znamienna pozostaje opisana przez nich z dwóch perspektyw, ta sama sytuacja, gdy Zieliński wspólnie z funkcjonariuszem Czesławem Gęborskim napotkali w lesie dwóch grzybiarzy. Byli nimi bracia Batorowie (Bronisław Bator mieszkał razem z bratem Mieczysławem w pobliżu lotniska, pełniąc w latach 1947-49 także funkcję strażnika). Niezależnie od innych prezentowanych w poprzednim artykule zbieżności, ta jedna sytuacja stanowi niezbity dowód, że lotnisko z opowieści Zielińskiego i lotnisko położone tuż obok Starego Grodkowa jest dokładnie tym samym miejscem.

Pamiątkowa pocztówka – „Pozdrowienia z lotniska Stary Grodków".

Tajemnice starego lotniska

Wspomniana na wstępie czarna legenda tego miejsca dotyczy nie tylko pogłosek o popełnionym tu mordzie, czy niepokojącej aurze i paranormalnych zjawiskach, które, jak wieść niesie, można zobaczyć jedynie nocą. Podyktowana jest również strachem przed niebezpiecznymi niewybuchami czy porzuconą amunicją, zalegającymi na terenie lotniska w znacznych ilościach. Na nieostrożnego spacerowicza czy miłośnika przygód czyhają tu również, ukryte wśród roślinności, głębokie i niezabezpieczone studzienki technologiczne oraz grożące zawaleniem piwnice. Wszystko to stanowi pozostałość po dużym ośrodku szkoleniowym Luftwaffe.

Lotnisko w Starym Grodkowie powstało w 1935 roku.

Niemcy nie kryli się specjalnie z jego usytuowaniem i przeznaczeniem. Wydawano nawet specjalne widokówki z fotografiami samolotów, które tutaj w różnych okresach stacjonowały. W 1939 r. lotnisko zmieniło swój charakter; powołano wówczas szkołę lotniczą Flugzeugführerschule A/B 9. Spora do tego czasu infrastruktura obiektu rozrosła się kilkakrotnie, przystosowując się do pełnienia roli jednego z większych ośrodków szkoleniowych niemieckich sił powietrznych. Ostatecznie zajęła blisko 146 ha powierzchni terenu. Wybudowano tu obiekty typu: wojskowego, koszarowego, rekreacyjnego i sportowego, m.in. hangary, zbiorniki, baraki, warsztaty i baseny kąpielowe. Szkole podlegały również okoliczne, mniejsze i pomocnicze lotniska m.in. w Kamieniu Śląskim, Ligocie Dolnej, Radzikowicach, Rozkochowie i Wojsławiu.

Przez cały okres II wojny światowej szkolono tu różnego rodzaju personel i żołnierzy Luftwaffe – od pilotów zaczynając, po techników naziemnych na mechanikach kończąc. Wśród szkolących się pilotów dużą grupę stanowili lotniczy kurierzy. W 1943 r. wielu z nich, latających na maszynach typu Focke Wulf Fw 58, zostało skierowanych bezpośrednio z Grodkowa na front wschodni, gdzie ponieśli bardzo duże straty.

W lutym 1945 r. o lotnisko miały toczyć się walki. Niestety, do dzisiaj nie udało się dotrzeć do dokumentów czy wspomnień precyzujących ich przebieg oraz skalę. Jednakże dzięki powojennym relacjom oraz nielicznej dokumentacji technicznej (m.in. mapy geodezyjnej sporządzonej przez mierniczego Cyryla Głowińskiego we wrześniu 1945 r.) wiemy, że obiekty lotniska praktycznie nie ucierpiały w wyniku walk. Jedynymi widocznymi pozostałościami miały być liczne, szczególnie we wschodniej części lotniska, leje, prawdopodobnie bombowe. Wg relacji Mieczysława Batora w sierpniu 1945 r. na lotnisku nie stacjonowała żadna jednostka, a rosyjscy żołnierze pojawiali się na nim jedynie jako szabrownicy. Jeszcze w 1945 r. Bator został cywilnym strażnikiem lotniska, zatrudnionym przez Dowództwo Wojsk Lotniczych z Poznania. Otrzymał granatowy mundur i karabin wraz z amunicją. Przez następne miesiące i lata obiekt sporadycznie wykorzystywano do lądowania pojedynczych wojskowych samolotów.

Historia pewnego tunelu

Obecnie teren lotniska, szczególnie wiosną i latem, przypomina amazońską dżunglę z wyłaniającymi się ze zbitej ściany roślinności pozostałościami dawnych budowli. Jak dotąd nikomu nie udało się uzyskać wglądu do dokumentacji technicznej wyjaśniającej pełne przezna-

Jeden z tajemniczych, nietypowych schronów z wysadzonym wejściem.

czenie poszczególnych, często zagadkowych obiektów. Wśród nich znajdują się olbrzymie studnie, podziemne zbiorniki i wysadzone betonowe obiekty, z których część wygląda jak nietypowe, przebudowane schrony piechoty z początku XIX w.

Jednym z najciekawszych wątków dotyczących lotniska jest mit o podziemnym przejściu, łączącym je jakoby z leżącym ponad 3 km dalej malowniczym pałacem w Kopicach. W czasach budowy lotniska właścicielem zarówno pałacu jak i terenu budowy, była rodzina Schaffgotschów, co miało usprawiedliwiać istnienie starego przejścia zaadaptowanego dla potrzeb nowego właściciela, jakim stało się Luftwaffe. O dziwo, legenda o podziemnym przejściu wśród okolicznych mieszkańców żyje do dzisiaj, stając się coraz bardziej powszechną. Relacje o nim powtarzano prok. Wiesławowi Nawrockiemu, który w latach 90. rozmawiał z mieszkańcami tych terenów. O tunelu wzmiankowali również świadkowie składający zeznania przed prokuratorami IPN w Katowicach, podczas prowadzonego śledztwa dotyczącego okoliczności śmierci partyzantów „Bartka".

Jedna z nich, mieszkanka Starego Grodkowa, trafiła do tej miejscowości w 1946 r. w wieku 6 lat. Jak wspominała po latach, chodziła na lotnisko „zbierać grzyby, maliny i jeżyny". Jej zdaniem w 1946 r. na lotnisku znajdowały się duże jednokondygnacyjne, murowane budynki z czerwonej cegły o długości kilkunastu metrów, olbrzymie hangary betonowe, w których mogły zmieścić się samoloty, schrony zamaskowane ziemią i podziemne zbiorniki z paliwem. Pamiętała doskonale, że lotnisko było połączone podziemnym korytarzem z pałacem w Kopicach. Wg większości relacji ówczesnych dzieci, bądź nastolatków, tunel miał zostać odcięty lub wysadzony już po wojnie. Co zaskakujące, istnienie mitycznego tunelu potwierdza relacja osoby, którą trudno byłoby podejrzewać o skłonności do tworzenia legend, czy też pomyłkę spowodowaną dziecięcą perspektywą – jak w przypadku innych świadków. Tą osobą jest Hans Masur, były niemiecki żołnierz, który służył w czasie wojny na lotnisku w Starym Grodkowie w latach 1943-44! W dodatku żołnierz z imponującym przebiegiem służby i ciekawymi kolejami losu, o których warto wspomnieć.

Hans Masur urodził się w 1920 r. w Prusach Wschodnich. W październiku 1939 r. wstąpił do Luftwaffe, aby ostateczne zostać skierowany do elitarnych oddziałów desantowych. Służąc w 3. Pułku Strzelców Spadochronowych został zrzucony na Kretę, walczył do samego końca Operacji „Merkury", za którą odznaczono go Krzyżem Żelaznym 1 i 2 Klasy. Potem, w 1941 r., trafił na front wschodni, tam został lekko ranny pod Leningradem. Rok później znalazł się już w Afryce, gdzie niemieccy spadochroniarze mieli wesprzeć Afrika Korps pod El Alamein. Brał udział w misjach zwiadowczych i nocnych starciach na pustyni. Jego pobyt na froncie przerwała choroba, po której został skierowany do służby w głąb kraju w stopniu sierżanta. Jako doświadczonemu podoficerowi polecono Masurowi prowadzenie szkoleń. W ten sposób trafił do Szkoły Lotniczej w Starym Grodkowie. W rozmowie, którą odbył z dziennikarzem „Gazety Grodkowskiej", Bronisławem Urbańskim, pod koniec 2014 r., nie mógł uwierzyć, że cały kompleks lotniska uległ zniszczeniu i zamienił się w zarośniętą ruinę. W jego wspomnieniach padają określenia odnoszące się do wyglądu lotniska, które są niemal identyczne ze słowami Jana Zielińskiego w zaprotokołowanych zeznaniach, cytowanych w poprzedniej części artykułu. Hans Masur wspominał, iż: *„Do lotniska, od trasy Grodków–Nysa, prowadziła droga wybrukowana granitową kostką. (...). Większość obiektów i budynków gospodarczych mieściło się w części przyległego lasu. Ze względów strategicznych budowle te sięgały najwyżej pierwszego piętra (...). Wśród tych zabudowań, jeszcze przed wojną, wybudowano basen kąpielowy. Z dwóch bunkrów w kierunku Kopic prowadziły podziemne przejścia* (podkreślenie Ł.O). *Na dużym betonowym placu stały trzy hangary, w których znajdowały się samoloty przygotowane do lotów. W czwartym hangarze naprawiano uszkodzone maszyny"*.[1] Co ciekawe, na pozostałości po tych remontach natknął się Zieliński, który wspominał w 1994 r.: *„były tam na pewno co najmniej trzy hangary. W jednym chyba leżały silniki samolotowe i dużo niklowych nitów"*.[2]

Wydawałoby się, że kwestia legendarnego tunelu nie ma większego znaczenia dla badania szczegółów Operacji „Lawina". Jednak istnieją pewne przesłanki, które wskazują, że nie można takiego związku wykluczyć. Zgodnie z relacjami części miejscowych świadków, tunel miał zostać wysadzony rok po wojnie, mieli tego dokonać funkcjonariusze UB.

Czy możliwe jest, że wykorzystano go do ukrycia śladów po mordzie dokonanym na partyzantach NSZ?

Niezależnie od tego, kwestia istnienia tunelu jest na tyle interesująca, że postanowiliśmy przeprowadzić poszukiwania pozostałości po nim. W oparciu o relacje udało się nam wytypować jedną, hipotetyczną lokalizację. Po uzyskaniu niezbędnych formalności, spróbujemy rozwiązać zagadkę budowy lotniska. Pora jednak powrócić do głównego wątku śledztwa – poszukiwań miejsca zbrodni.

Drugi transport

Zeznania Jana Zielińskiego dotyczące szczegółów Operacji „Lawina" koncentrują się na wydarzeniach, które rozegrały się na terenie pobliskiego folwarku. Plan zamordowania partyzantów przewożonych II transportem, którzy mieli zostać wysadzeniu w zaminowanym baraku, znał on jedynie w zarysie. Zdaniem Zielińskiego: *„(...) udaliśmy się* (wspólnie z Gęborskim – przyp. Ł.O.) *pod las na teren tego lotniska, aby sprawdzić, czy jeden ze stojących tam baraków jest zaminowany minami przeciwczołgowymi w drewnianych opakowaniach. Baraki te nie miały fundamentów, tylko były budowane na słupach z cegieł. Zobaczyliśmy, że pod podłogą znajdowały się miny podłączone drutami pod jedną połową baraku. Było tam 6 lub 7 min. Wiedzieliśmy, że do tego baraku ma być przywieziony następny transport ludzi z grupy »Bartka«"*. Kilka tygodni później, po wyjściu ze szpitala, usłyszał jedynie od Gęborskiego, że wszystko poszło zgodnie z planem i *„(...) następną przywiezioną grupę ludzi »Bartka«, po kilku dniach od przywiezienia pierwszej grupy, umieszczono w tym podminowanym baraku na lotnisku, a następnie wysadzono w powietrze"*.[3] Niestety, w jego zeznaniach pojawiały się wyłącznie ogólne wskazówki odnoszące się do lokalizacji podminowanego baraku – znajdującego się w głębi lotniska.

Z relacji Mieczysława Batora wynika, że na lotnisku trzykrotnie pojawiały się nieoznakowane ciężarówki, a w jego domu trzykrotnie zjawiali się tajemniczy mężczyźni, którzy pilnowali braci Batorów przez noc, nie podając przyczyn tego „stróżowania". Za trzecim razem: *„(...) rano skoro świt usłyszałem odgłosy strzałów karabinu maszynowego, chyba dwóch. Po strzałach nastąpił wybuch, ale czy była to mina, czy też wiązka granatów, tego nie wiem. Zobaczyłem chmurę dymu z rejonu baraków, tych pod lasem. Ten, co był z nami przez całą noc, wyszedł na dwór, ale nie odchodził daleko. Chwilę potem przyszedł jeden lub dwóch mężczyzn, też po cywilnemu, by im dać dwie sztychówki i dwa kilofy. Dałem im to i oni mi już nie oddali. Widziałem, że znów odjechała kolumna samochodów – takich samych jak poprzednio. To był ostatni, raz jak byli ci cywile, z tym że ja już wiedziałem, że to było UB. Ja byłem później w tym miejscu, gdzie był ten wybuch i znalazłem jeden z baraków spalony (...). Żadnego innego miejsca, np. wzruszenia ziemi, nie zauważyłem, było tylko to jedno po spalonym baraku (...)"*.[4]

Gdzie znajdował się zaminowany barak, w którym zginęli partyzanci NSZ?

Rozmiary całego lotniska, bogactwo infrastruktury, zalesienie i olbrzymie zmiany, jakie nastąpiły w jego wyglądzie, czyniły próbę odpowiedzi na to pytanie prawie niemożliwą. Prawie, bowiem udało się nam zawęzić rejon, w którym należało takich śladów poszukiwać. Podczas kilku wizji terenowych mających na celu wytypowanie już bardzo dokładnej lokalizacji baraku, członek naszego zespołu badawczego Roman Piećko uzyskał relację kilku osób – ówczesnych dzieci i nastolatków. Okazało się, że tylko jeden z baraków znajdujących się we wskazanym przez nas rejonie, był w drugiej połowie lat 40 zniszczony! Sąsiednie miały być praktycznie nietknięte. Dopiero pod koniec 40. lub początku lat 50. wszystkie ocalałe baraki na lotnisku miały zostać rozebrane, a materiały z nich pozyskane, przekazane na odbudowę Warszawy. Rzeczywiście już wstępna wizja lokalna wykazała, że w miejscu gdzie znajdował się niegdyś budynek widnieją ślady spalenizny. Praktycznie na powierzchni ziemi można było zobaczyć stopione aluminiowe elementy, poczerniałe fragmenty desek, zniszczoną amunicję i różne pozostałości po baraku. Efekty naszych ustaleń zostały przekazane Instytutowi Pamięci Narodowej – katowickiej prokuraturze oraz prof. Krzysztofowi Szwagrzykowi, naczelnikowi Samodzielnego Wydziału Poszukiwań IPN, którego informowaliśmy na bieżąco o naszych ustaleniach.

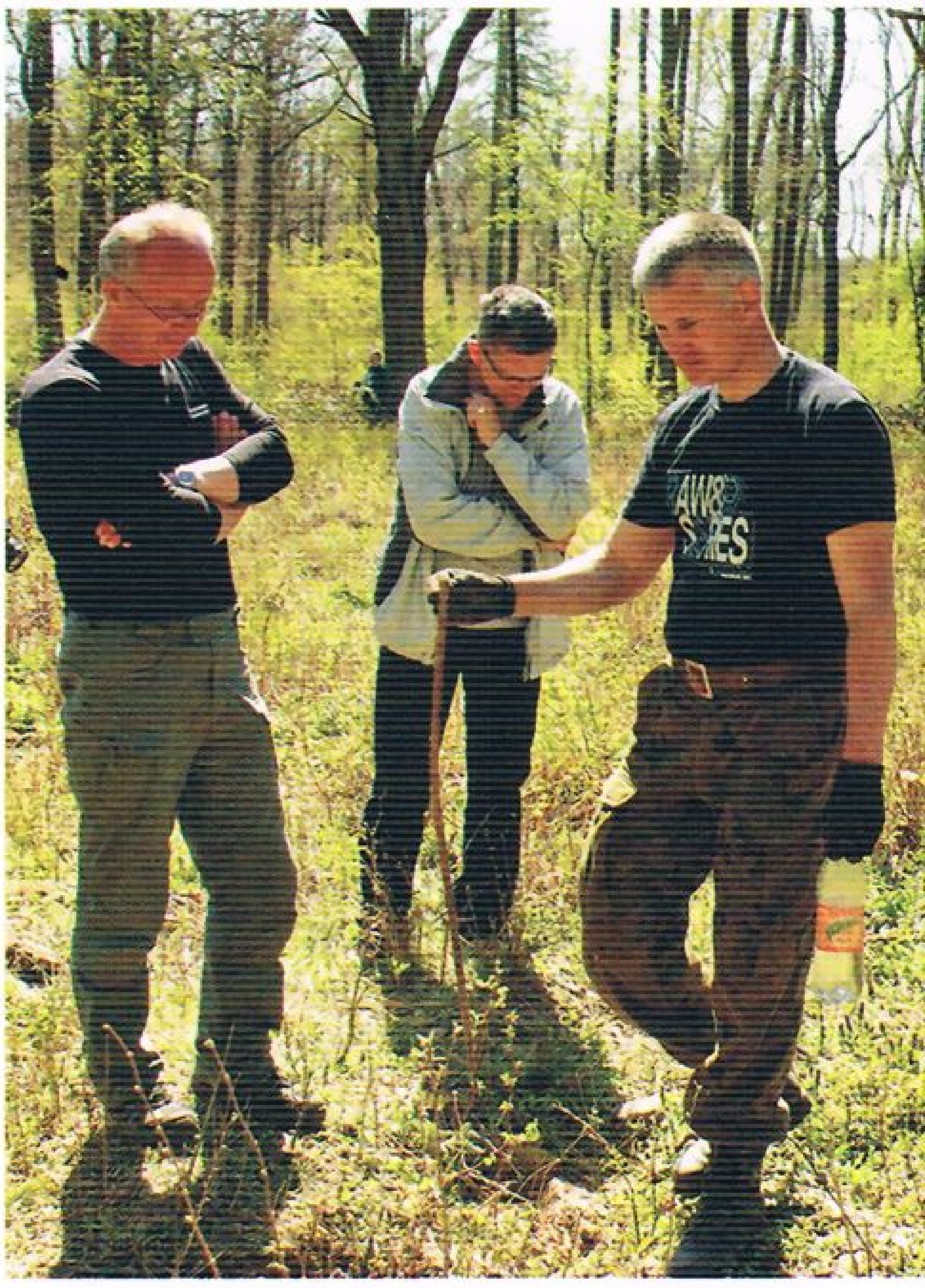

Od lewej prof. Krzysztof Szwagrzyk, dr Grzegorz Kwaśniak, Roman Piećko.

Polana śmierci?

W kwietniu br. na terenie obejmującym odnaleziony przez nas barak zostały przeprowadzone badania, którymi kierował prof. Krzysztof Szwagrzyk. Były one fragmentem całego projektu IPN poświęconego poszukiwaniom śladów po Operacji „Lawina", w ramach którego przebadano również tzw. polanę śmierci w Barucie – miejsce, gdzie został zlikwidowany III transport oddziału „Bartka". W badaniach IPN wzięli udział: archeolodzy, antropolodzy, specjaliści od badań bezinwazyjnych i wolontariusze – poszukiwacze. Oczywiście byliśmy na miejscu, wspierając podejmowane przez IPN

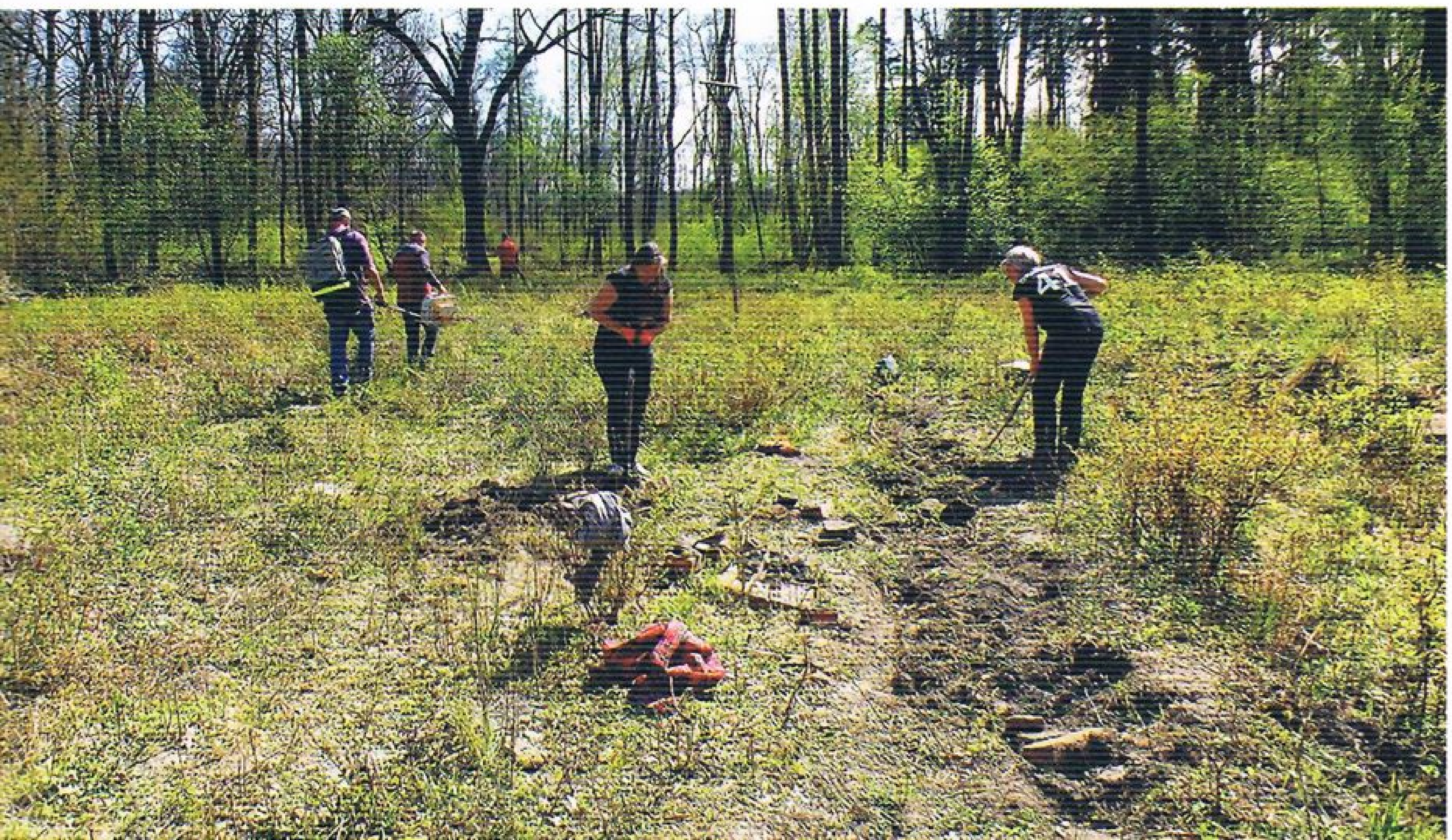

Kwietniowe badania IPN – teren wytypowanego przez nas baraku.

Łuski kal. 7, 62 mm i klamra Battle Dress.

działania. Niestety, rejon baraku jest położony na terenie Lasów Państwowych, który kilka lat temu przeznaczono pod zasiew nowej partii lasu. W tym wypadku więc, przeprowadzenie pełnych badań archeologicznych wymaga bardzo skomplikowanych czynności formalno-prawnych, na które zabrakło czasu. W efekcie zespół prof. Swagrzyka nie mógł wykonać pełnego wykopu archeologicznego, a co za tym idzie, przesiać wydobytej w ten sposób ziemi, co umożliwiłoby wychwycenie drobnych śladów pochodzenia organicznego bądź niemetalowego. Możliwe jednak było przeszukanie całego terenu za pomocą detektorów metalu.

Zdaniem prof. Szwagrzyka fundamentalnym dowodem wskazującym na popełnienie w tym miejscu zbrodni, byłoby oczywiście odnalezienie szczątków ludzkich oraz przedmiotów, które można by, ponad wszelką wątpliwość, połączyć z poszukiwanymi NSZ-owcami – np. polskich guzików wojskowych, a nade wszystko charakterystycznych ryngrafów. Takich przedmiotów niestety nie udało się odnaleźć. Jednak to, co wyłoniło się z ziemi, stanowi, naszym zdaniem, wystarczający dowód, że w tym miejscu rozegrał się drugi akt dramatu Operacji „Lawina".

W centralnej części baraku odkryte zostały kolejne ślady spalenizny: gwoździe, pozostałe ze spalonych desek, oraz stopione aluminiowe i trudne do rozpoznania elementy. Wśród nich odnalezione zostały znamienne ślady: m.in. pistoletowe łuski produkcji radzieckiej kal. 7,62×25 mm (które nie zostały wystrzelone, tylko zdetonowały w wyniku wysokiej temperatury), zdetonowane łuski od karabinu Mauser i Mosin, zapięcie paska od brytyjskiej bluzy Battle Dress i kolba od pistoletu maszynowego PPSz 41. Tuż obok różnych pozostałości po spalonym baraku, jak: klamki, zamki drzwiowe, zawiasy, porcelanowe fragmenty naczyń, znajdowała się również łyżka sowieckiego granatu RG-42. Jej wygląd świadczył o tym, że granat, do którego była przytwierdzona, eksplodował nie poprzez odbezpieczenie, tylko w wyniku czynników zewnętrznych, np. temperatury. Odnaleziono także kilkanaście różnorakich, osobistych przedmiotów – nieoznakowaną

Łyżka od granatu RG 42.

Jedna ze zdetonowanych w pożarze radzieckich łusek pistoletowych 7,62 mm z 1944 roku.

Fragmenty przedmiotów wydobytych z rejonu baraku.

obrączkę, scyzoryk, fragment maszynki do golenia itp.

Z pewnością barak spłonął wraz ze znajdującą się w środku amunicją, bronią produkcji radzieckiej i niemieckiej oraz elementami wyposażenia brytyjskiego. To połączenie dwóch rodzajów amunicji i broni z cenionym brytyjskim oporządzeniem, stanowiło niemalże regułę wśród partyzantów NSZ. Efekty poszukiwań pasowały doskonale do przyjętej przez nas hipotezy. Mankamentem była jednak niewielka ilość tych śladów. Jeśli w środku baraku, w momencie eksplozji i pożaru, miało znajdować się ok. 30 partyzantów, to zarówno ich szczątki, jak i fragmenty należących do nich przedmiotów, powinny pozostawić zdecydowanie więcej śladów w terenie.

Dowody?

Wśród osób związanych ze śledztwem prowadzonym przez prokuratury w latach 90. oraz późniejszym przez IPN, dominował pogląd o wyjątkowym stopniu utajnienia całej akcji. Żaden z funkcjonariuszy UB czy milicji pracujący w miejscu gdzie przeprowadzano akcję, w Barucie lub w okolicy Starego Grodkowa, nie miał prawa nic o niej wiedzieć. Pogląd ten nie znajduje potwierdzenia w obliczu wielu rozmów, które przeprowadziliśmy z okolicznymi mieszkańcami w rejonie Starego Grodkowa. Wielokrotnie przekazywano nam strzępy informacji odnośnie wydarzeń dziejących się na lotnisku, które to nasi rozmówcy nie mogli pozyskać np. w wyniku lektury artykułów czy programów TV o tej tematyce. Co więcej, do dzisiaj wielu ludzi, którzy znali miejscowych UB-eków, boi się zemsty ze strony dzieci, czy wnuków nieżyjących już

współuczestników zbrodni. Przynajmniej w jednym przypadku zachodzi poważne podejrzenie, iż lokalny funkcjonariusz z przeszkoleniem saperskim uczestniczył w przygotowywaniu i minowaniu baraku na lotnisku, a także zajmował się dokładnym „czyszczeniem" miejsca zbrodni. Miało ono polegać na drobiazgowym wyzbieraniu wszelkich przedmiotów pochodzących z miejsca eksplozji.

Niezależnie od tych relacji, pod którymi nikt nie chce podpisać się z imienia i nazwiska, kolejnych informacji udzieliła dokładna analiza łusek od radzieckiej amunicji pistoletowej kal. 7,62 odnalezionych przez nas w trakcie badań. W obrębie samego baraku udało się odnaleźć trzy łuski pistoletowe, na których widniały ewidentne ślady po eksplozji w wyniku temperatury. Ich oznakowanie dowodziło, że zostały wyprodukowane w 1944 r. w zakładach Tulskich, w Ługańsku i w Uljanowsku. Dwie są w układzie dwustopniowym znakowania, co jest charakterystyczne dla amunicji z początku 1944. Łuski te wyraźnie pochodziły z różnych partii amunicji i mogły należeć do partyzantów. Podobne znakowania nosiły łuski odnajdowane przez badaczy z IPN. Tymczasem odnalezione w promieniu kilkudziesięciu metrów od baraku łuski, były inne. Po pierwsze zostały wystrzelone i pochodziły z tego samego zakładu w Uljanowsku. Ponadto wyprodukowano je w II i III trymestrze 1945 roku. Co oznacza, że żadną miarą nie mogły pochodzić np. z okresu walk o lotnisko w lutym 1945 roku! Mogły natomiast być użyte podczas Operacji „Lawina" przeprowadzonej we wrześniu 1946 roku. Czyżby stanowiły ślad po zapamiętanych przez Mieczysława Batora seriach z „karabinu maszynowego" – czyli najprawdopodobniej „pepeszy"? Z pewnością żaden z odnalezionych śladów tej hipotezie nie przeczy.

Czy zabici na lotnisku partyzanci NSZ pozostali w miejscu swojej śmierci?

Dotychczasowe wyniki naszego śledztwa wskazują, że ich pieczołowicie pozbierane szczątki przeniesiono w inne miejsce. Podobnie było również i w Barucie. Czy ciężarówki, które widział Mieczysław Bator wywoziły ciała poza obręb lotniska? Czy może służyły jedynie do transportu biorących udział w akcji funkcjonariuszy, a żołnierze „Bartka" zostali pogrzebani w pobliżu baraku? A może ich szczątki przeniesiono do starego niemieckiego tunelu, do którego wysadzono wejścia mniej więcej w czasie, gdy zginęli partyzanci NSZ?

Nasze śledztwo będzie kontynuowane. Wyniki całości badań IPN w chwili oddawania artykułu do druku są jeszcze opracowywane.

W badaniach GEMO brali udział: dr Paweł Konczewski, Łukasz Orlicki, dr Grzegorz Kwaśniak, prok. Wiesław Nawrocki, Roman Piećko, Paweł Piątkiewicz, Jarosław Stróżniak, Grzegorz Góra, Krzysztof Krzyżanowski, dr Grzegorz Mazur, dr Wiesław Nawrocki, Paweł Marcinkowski, Paweł Sznajder, Domink Socha, Grzegorz Brabański, Nazarii Shyba.

ZDJĘCIA: GRZEGORZ GÓRA, ROMAN PIEĆKO

Przypisy:
[1] B. Urbański, „Strzelec spadochronowy ze Starego Grodkowa", [w:] „Gazeta Grodkowska" nr 11-12 2014, str. 26-27
[2] Protokół przesłuchania Jana Zielińskiego z 22 września 1994 roku. Arch. IPN
[3] Protokół przesłuchania Jana Zielińskiego z 11 grudnia 1990 roku. Arch. IPN
[4] Protokół przesłuchania Mieczysława Batora z 26 września 1994 roku. Arch. IPN

Literatura

1. R. Primke, „Lotnisko w Starym Grodkowie", [w:] „Odkrywca" 10/2008
2. B. Urbański, „Strzelec spadochronowy ze Starego Grodkowa", [w:] „Gazeta Grodkowska" nr 11-12 2014
3. W. Dierich, K. Ries, „Fliegerhorste und Einsatzhäfen der Luftwaffe", Stuttgard 1996

Artykuły dotyczące Operacji „Lawina" publikowane w „Odkrywcy" ukazały się:
» cz. 1 „Noc i mgła – Operacja »Lawina«"; nr 11/2012
» cz. 2 „Harmonogram zbrodni"; nr 2/2013
» cz. 3 „Kaci – Operacja »Lawina«"; nr 3/2013
» cz. 4 „Ostatni fragment mozaiki. Przełom?"; nr 5/2015

REKLAMA

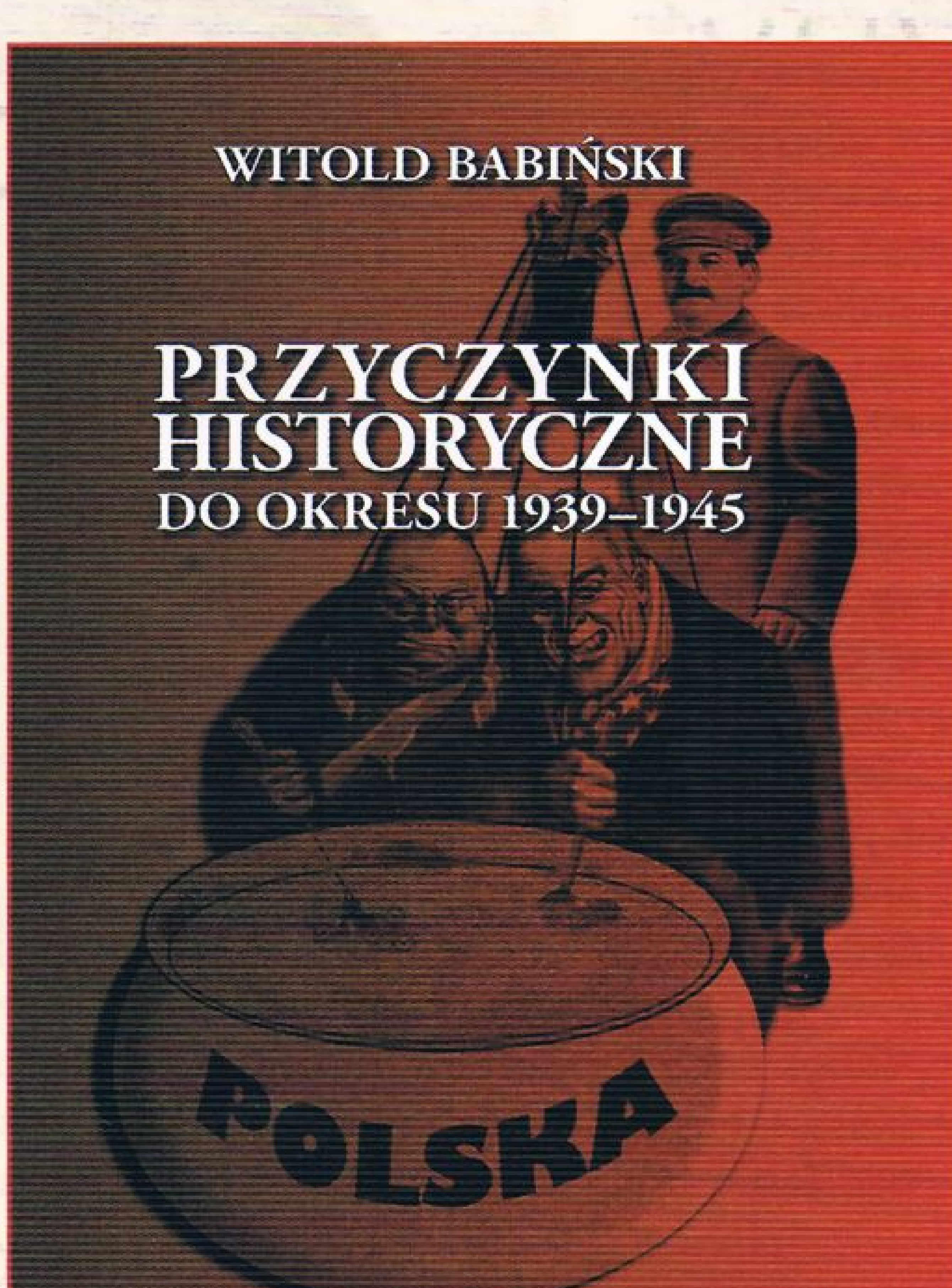

WITOLD BABIŃSKI,
PRZYCZYNKI HISTORYCZNE
DO OKRESU 1939 – 1945

Kulisy działania rządu polskiego w Londynie podczas drugiej wojny światowej oczami adiutanta generała Sosnkowskiego, czyli polskie piekło w Londynie.
Brutalna walka partii politycznych i koterii o władzę.
Churchill i Roosvelt marionetkami w rękach Stalina.
Powstanie warszawskie – kto wydał rozkaz?
Tragedia rządu polskiego w Londynie – sytuacja bez wyjścia po upadku powstania warszawskiego.
Sikorski i Mikołajczyk – tragiczni bohaterowie, czy bezwzględni politycy idący po trupach do władzy?
Próba odpowiedzi na trudne pytania Witolda Babińskiego, człowieka, który był w środku wszystkich tych wydarzeń. Pasjonująca lektura.

sprzedaż w sieci empik

HISTORIA.ORG.PL
TVP HISTORIA
ODKRYWCA SKARBY · WOJNA · HISTORIA
empik
MILITARIA

Prawo do skarbów... (cz. 1)

PIOTR MASZKOWSKI

Jeżeli wydaje się, że dzisiejsze przepisy prawne dotyczące szeroko pojętych poszukiwań skarbów w Polsce są wyjątkowo restrykcyjne, a jakakolwiek forma ujawnienia informacji o miejscu ich ukrycia, tudzież odnalezienia, są ryzykowne i nieopłacalne, warto cofnąć się w przeszłość, by przyjrzeć się temu zjawisku na przestrzeni dziejów. Wówczas, być może, zmieni się nieco optyka, i to po obu stronach barykady.

W trakcie niezliczonych już rozmów z poszukiwaczami, czy też potencjalnymi wskazicielami miejsca ukrycia skarbów znacznej wartości, pojawia się zawsze ten sam „leitmotiv".

– *Wiem dokładnie, gdzie coś jest zakopane, lub schowane, ale nie powiem...*

– *Dlaczego?* – pytamy.

– *Bo nic z tego nie będę miał, całość zagarnie skarb państwa i najwyżej co dostanę, to dyplom uznania* – hmm, no tak, i już wiadomo, że nic z tego nie będzie.

Przedstawiciele Ministerstwa Finansów czy resortu kultury, choć wielokrotnie prowadzili w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat negocjacje w tego typu sprawach, finalizowali je w zaledwie nielicznych przypadkach.

Jak bowiem udowodnić urzędnikowi, że skarb, przed jego wykopaniem, rzeczywiście znajduje się we wskazywanym miejscu? Na piękne oczy, czy stertę planów, zdjęć, szkiców, fragmentów relacji świadków, a nawet wyników badań bezinwazyjnych, włącznie z radiestezyjnymi? Czy to wystarczające narzędzia i argumenty, by sięgnąć do „kieszeni" budżetu państwa i wyasygnować środki na poszukiwania?

W licznych przypadkach padnie odpowiedź twierdząca: – Tak, jak najbardziej, czegóż chcieć więcej? Tylko, co dalej, nawet przy założeniu, że skarb (cokolwiek by zawierał) zostanie odnaleziony. Jaka będzie gratyfikacja? Czy będzie to procentowy udział w znalezisku? To zapewne kwestia ustaleń i wynegocjowanej umowy. Tak przynajmniej bywało w czasach PRL-u czy w latach 90., np. podczas sprawy „Złotego Pociągu" z Piechowic i tzw. „Szczeliny Jeleniogórskiej." Choć procentowy udział każdej ze stron był zagwarantowany stosownym dokumentem, każdorazowo brakowało najważniejszego – odkrycia zapowiadanego skarbu wielomilionowej wartości. Dziś zapewne takie jednostkowe porozumienie byłoby również możliwe. Co jednak gwarantuje obecnie prawo? Czy odkrywca (wskaziciel) otrzyma nagrodę? A jeżeli tak, to jakiej wartości? Te pytania nurtują wielu poszukiwaczy... od lat.

W świetle projektu rozporządzenia do ustawy o rzeczach znalezionych z 20 lutego 2015 roku: *„określającego rodzaje, wysokość, a także warunki i tryb przyznawania nagród, gdy rzecz znaleziona jest zabytkiem lub materiałem archiwalnym i stała się własnością Skarbu Państwa"* – może być to maksymalnie 118 tys. zł. Dużo to, czy mało? Zresztą przyznanie całości tej kwoty, będącej 30-krotnością średniej krajowej pensji, i tak obwarowane jest licznymi obostrzeniami. „Skarb" musi zostać oczywiście odkryty podczas legalnych poszukiwań i posiadać *„znaczną wartość historyczną, artystyczną, naukową lub materialną"*, nie może być też zabytkiem archeologicznym...

Generalnie trudna sprawa, zwłaszcza, gdy ktoś rzeczywiście odnajdzie skarb wartości wielu milionów złotych, dolarów, euro... Czy zadowoli się ułamkiem tej kwoty? Zapewne wszyscy posiadający wiedzę, gdzie są ukryte: Bursztynowa Komnata, złoto Wrocławia, „Złoty pociąg" i inne depozyty III Rzeszy, nadal będą milczeć.

W Anglii znalazcy skarbów mają łatwiej i traktowani są przyjaźniej, ale w sąsiadujących z nią innych częściach Zjednoczonego Królestwa już niekoniecznie, podobnie zresztą jak w innych krajach europejskich. Sprawa ta zresztą nigdy nie była prosta, a losy skarbów, ich poszukiwań i podziału, pojawiają się w systemach prawnych praktycznie od zarania. Zawsze jako problem...

Starożytność

Św. Mateusz, autor jednej z czterech biblijnych Ewangelii Nowego Testamentu, żył wg badaczy w pierwszej poł. I wieku n.e. na terenie Antiochii/Syrii/Aleksandrii/Cezarei, w każdym razie z pewnością w jednej z prowincji Imperium Rzymskiego. Był celnikiem, bądź poborcą podatkowym. Odkładając na bok liczne dyskusje badaczy dotyczące czasu i miejsca powstania jego dzieła, tudzież pochodzenia samego apostoła, z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że będąc urzędnikiem na usługach Rzymian, znał prawo fiskalne obowiązujące w Cesarstwie, co znajduje też swoje odzwierciedlenie w niektórych fragmentach jego Ewangelii. Co ciekawe, jeden z nich wydaje się być najstarszym chyba zapisem dotyczącym interesującego nas tematu. Spójrzmy zatem na przypowieść o ukrytym skarbie...

„Podobne jest Królestwo Niebios do ukrytego w roli skarbu, który człowiek znalazł, ukrył i uradowany odchodzi, i sprzedaje wszystko, co ma i kupuje oną rolę" (Ewangelia Św. Mateusza: 13,44. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego opracowany przez Komisję

Św. Mateusz w swej Ewangelii zawarł jeden z pierwszych w historii zapisów dotyczących modelu prawnego postępowania z odnalezionym skarbem.

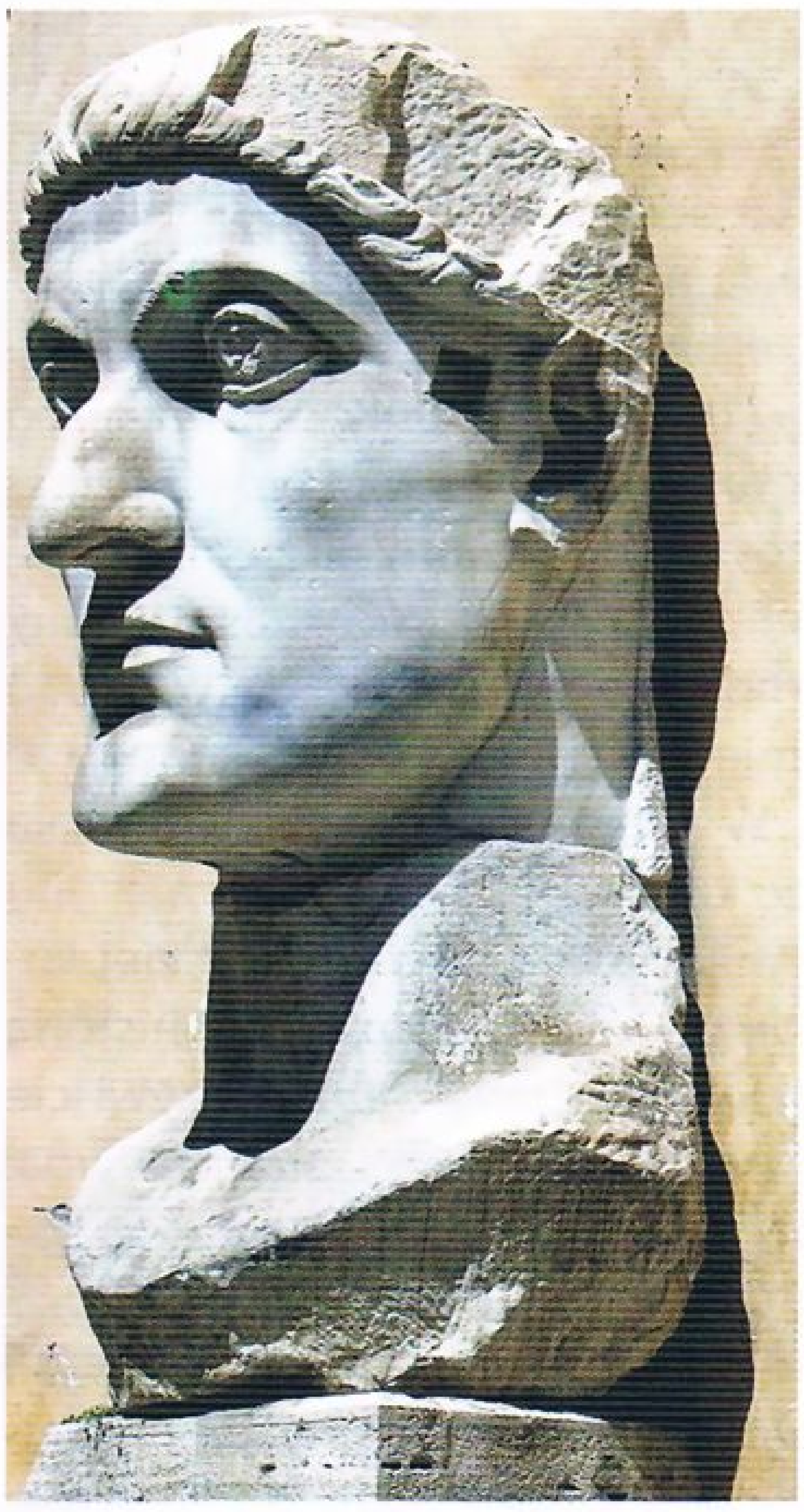

Cesarz Konstantyn I Wielki, wprowadził przepis umożliwiający przejęcie przez władzę odnalezionego skarbu, niezależnie na czyjej ziemi został odnaleziony.

Cesarz bizantyński Justynian w swej kompilacji prawa rzymskiego uwzględnił przepis zabraniający poszukiwań, bez zgody właściciela. Zapis ten znalazł się później w średniowiecznej jego wersji, znanej do dziś jako Corpus Iuris Civilis.

CORPUS IURIS CIVILIS ROMANI,

INSTITUTIONES, DIGESTA

JUSTINIANI EDICTA, LEONIS ET ALIORUM

DIONYSII GOTHOFREDI

HISTORIA ET CHRONOLOGIA JURIS CIVILIS ROMANI

SACRATISSIMO AC INVICTISSIMO PRINCIPI AC DOMINO DOMINO CAROLO VI.

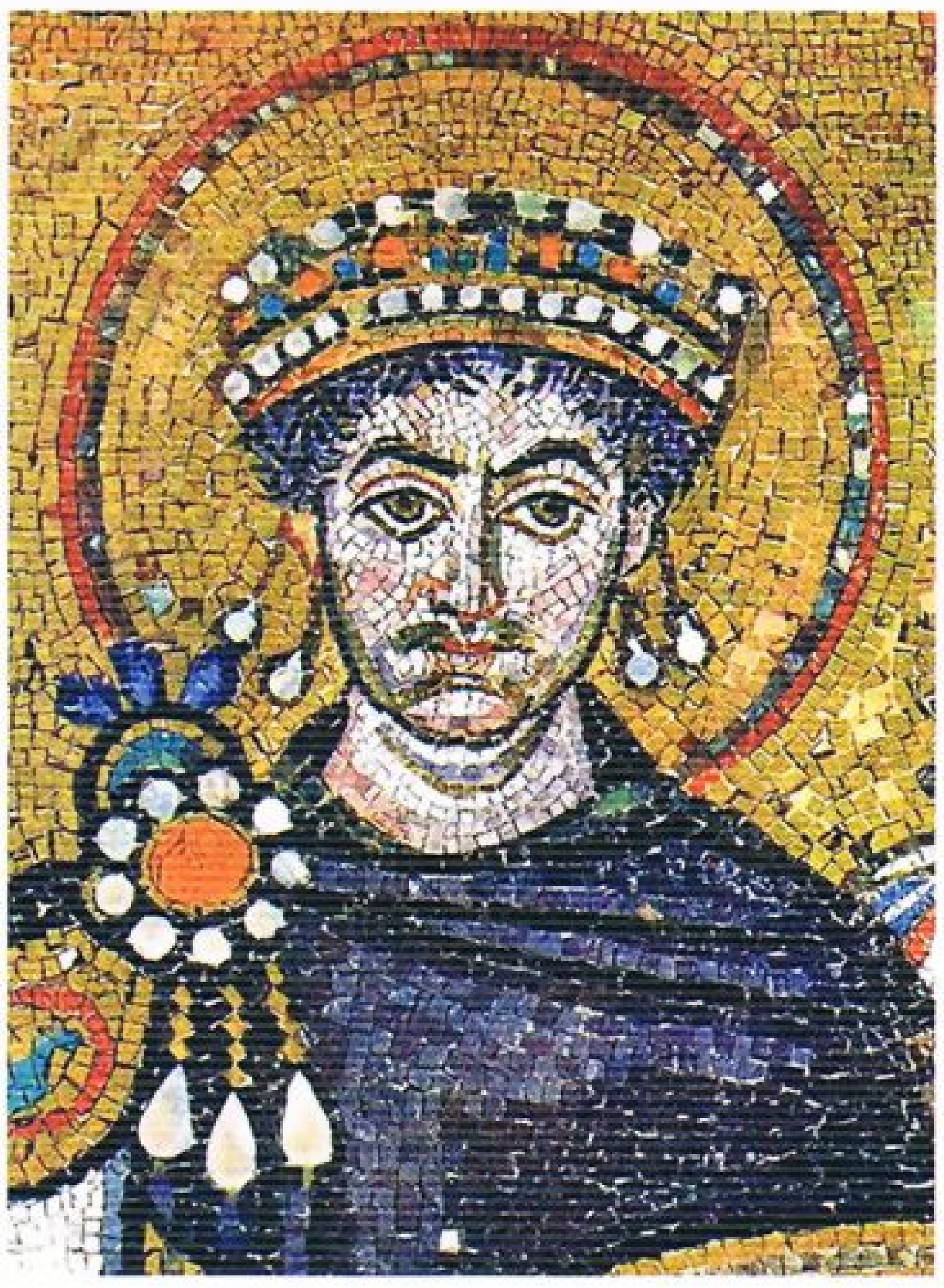

Przekładu Pisma Świętego, Warszawa 1989). Pomijając zastosowaną tu metaforę i aspekt religijny, zapis ten oznacza, że odkryty skarb należał się właścicielowi ziemi, na której został odnaleziony. Stąd też przywołany przez apostoła przykład działania „szczęściarza", z pewnością znającego zasady postępowania w takim przypadku, dokładnie wiedzącego jak postąpić, by całość trafiła legalnie w jego ręce. Pomimo iż uśmiechnął się do niego los, nie dał się ponieść emocjom. Działał metodycznie. Zakopał z powrotem znalezisko, świadomie spieniężył swój majątek, by nabyć drogocenną ziemię i stać się dzięki temu, już w świetle prawa, nie tylko właścicielem działki, ale również skarbu znajdującego się na jej obszarze. Całość musiała się oczywiście opłacić. Jest to jednak informacja pośrednia.

Natomiast najstarszą, źródłową wzmiankę dotyczącą podziału odnalezionego skarbu znajdujemy w rozporządzeniach cesarza Hadriana, rządzącego Imperium Rzymskim w II wieku n.e. (117-138 r. n.e.) Według ówcześnie obowiązujących zasad znalazca i właściciel ziemi powinni się nim podzielić po połowie. Jednak w przypadku, gdyby skarb był celowo poszukiwany na ziemi należącej do Cesarstwa, a poszukiwacze chcieliby takie działanie zataić i świadomie dokonać oszustwa, znalezisko zostałoby skonfiskowane. Wciąż jednak władza nie uzurpowała sobie prawa do tego typu znalezisk. Zmieniło się to dopiero w IV wieku za rządów cesarza Konstantyna Wielkiego (307-337 r. n.e.), który w 315 roku wprowadził przepis, na podstawie którego połowa skarbu, niezależnie na czyjej ziemi go odnaleziono, trafiała do kasy Imperium. Jednak w przypadku, gdy szczęściarz-znalazca postanowiłby całość zatrzymać dla siebie, a pech lub „życzliwość" sąsiada sprawiły, że o odkryciu dowiedziałyby się władze – tracił wszystko, narażając się na dodatkowe sankcje.

W czasach Cesarza Walentyniana (365-375 r. n.e.) nastąpiła kolejna interesująca poprawka: właściciel ziemi otrzymywał 1/4 znaleziska, resztę mógł zachować znalazca, a władze, co ciekawe, nie rościły prawa do żadnej z jego części. Nie trwało to jednak długo, bowiem już w 474 roku wschodniorzymski cesarz Zenon Izauryjczyk (474-491 r. n.e.) przywrócił stara regułę, wprowadzając równy podział pomiędzy znalazcę i właściciela ziemi. Choć zasada ta została uwzględniona w nieco późniejszym Kodeksie Justyniana z VI w n.e., (cesarz bizantyński 527-565 r. n.e.), będącego jedną z trzech wielkich kompilacji prawa rzymskiego – w kwestii skarbów przepisy zostały zaostrzone. W ich świetle nikt nie mógł prowadzić poszukiwań w ziemi bez zgody jej właściciela. Jeżeli norma ta zostałaby złamana, odnaleziony skarb podlegał całościowej konfiskacie na rzecz państwa. Natomiast w sytuacji gdy ktoś przypadkowo natrafiłby na skarb na czyjejś ziemi, mógł zachować jego połowę, drugą zaś połowę otrzymać miał właściciel. Dotyczyć to miało zdarzenia, do którego doszło np. podczas pracy na roli, a odkrycia dokonał robotnik najemny.

Średniowiecze i epoka nowożytna

W wyniku podziału Cesarstwa Rzymskiego, a następnie upadku jego zachodniej części pod naporem ludów barbarzyńskich, starożytny świat wszedł w zupełnie nową epokę. Na gruzach potężnego niegdyś imperium powstawać zaczęły nowe państwa, czerpiące wzorce funkcjonowania z tradycji plemiennych tworzących je ludów oraz adaptowanych do własnych potrzeb wzorców antycznych. Dotyczyło to również kwestii regulacji praw w stosunku do odkrywanych skarbów. O ile jednak w świetle ustawodawstwa rzymskiego przypadał on przeważnie znalazcy, bądź ulegał podziałowi pomiędzy znalazcę a właściciela ziemi, na której został zakopany, o tyle w obliczu dominującej w wiekach średnich tradycji prawa zwyczajowego plemion germańskich (*leges barbarorum*), sprawa się wyraźnie komplikowała. W każdym razie wszędzie tam, gdzie ono obowiązywało, a więc m.in. w państwach niemieckich, państwie Franków i zdominowanej przez Anglosasów Anglii. Tym samym na eksploracyjno-prawnej arenie dziejów pojawia się trzeci gracz, uzurpujący sobie wyłączny udział w tym potencjalnie lukratywnym interesie. Gracz, który pozostaje do dziś w pierwszej lidze, a więc… państwo, władza i jego aparat fiskalny. Bezwzględny, lecz w zależności od czasu i przestrzeni dopuszczający łaskawie udział stron, utrwalony w antycznej tradycji.

Niemcy

Zacznijmy zatem od naszego najbliższego, zachodniego sąsiada.

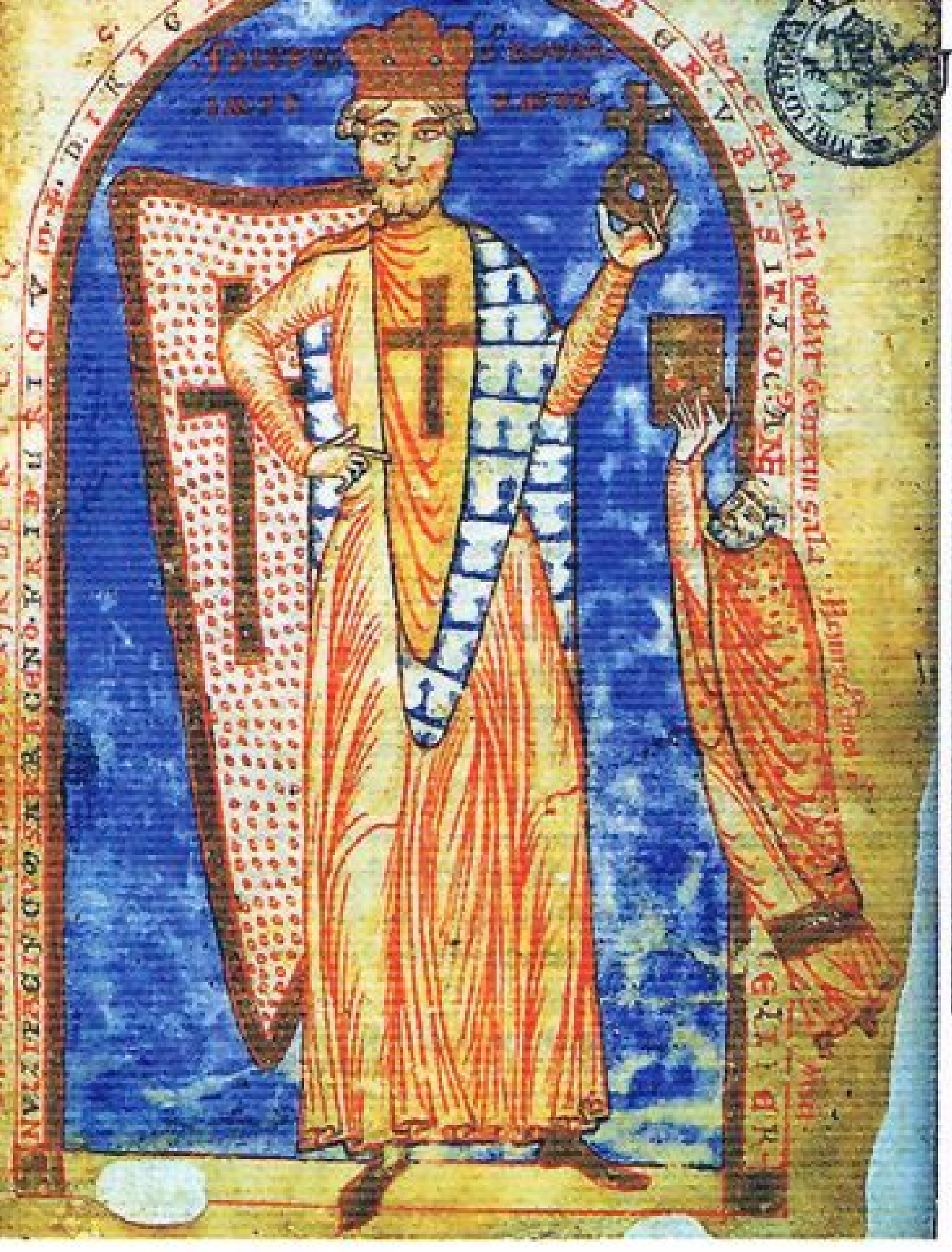

Król Niemiec i cesarz Fryderyk I Barbarossa w XII w. zawarł odrębne przepisy dotyczące skarbów, które obowiązywały w Świętym Cesarstwie Rzymskim.

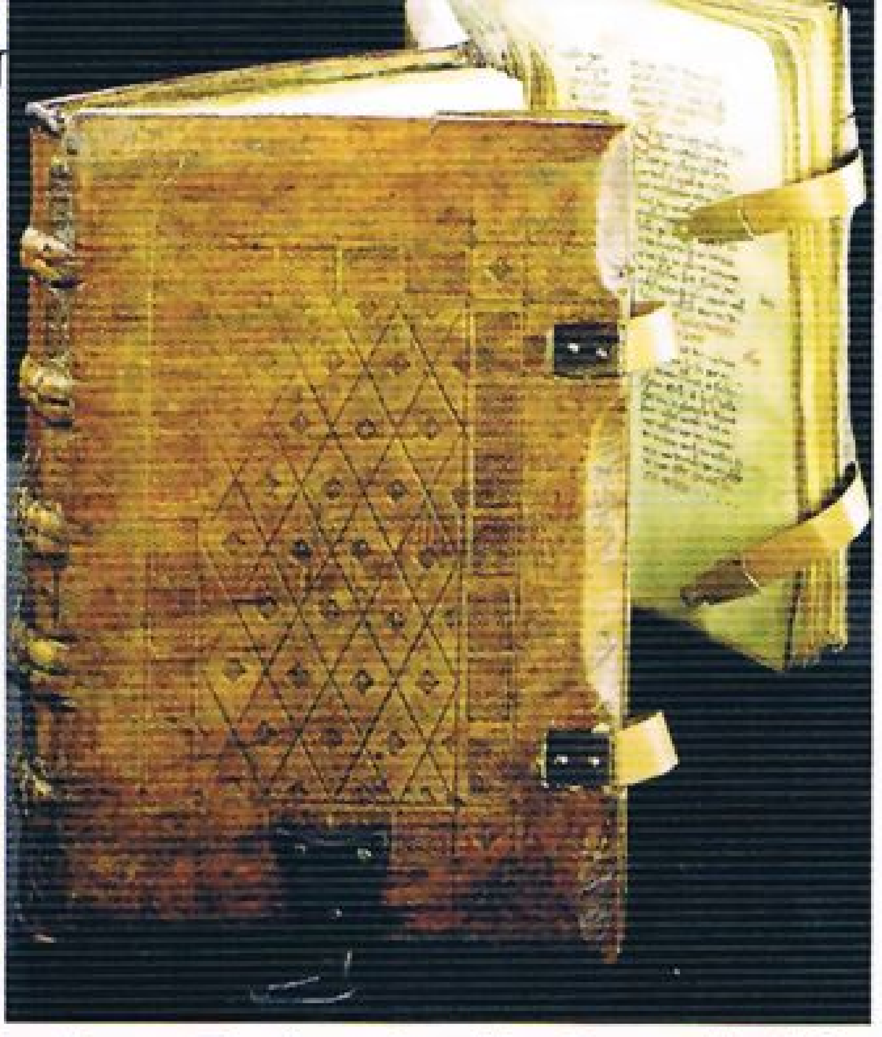

Tzw. Zwierciadło Szwabskie (niem. Schwabenspiegel), będące zbiorem średniowiecznych praw niemieckich, faworyzowało właścicieli terenu, na którym został odnaleziony skarb.

Pierwsze wzmianki dotyczące interesującego nas problemu pojawiają się dopiero w wieku XII. W 1158 roku Cesarz Fryderyk I Barbarossa (król Niemiec 1152-1190 r., święty cesarz rzymski 1155-1190 r.), w konstytucjach uchwalonych na polach ronkalijskich (Roncaglio – miejscowość w północnych Włoszech – przyp. P. M.), opartych częściowo na elementach prawa rzymskiego, zawarł m.in. zapis dotyczący skarbów: jeżeli zostały znalezione w ziemi należącej do cesarstwa lub na włościach kościelnych, następował ich równy podział – połowa miała przypadać władcy, pozostała zaś część znalazcy. Jednak w przypadku, gdy odkrycie nastąpiło skutkiem celowych działań, całość zagarniała korona.

Z kolei w tzw. Zwierciadłach Saskich (niem. Sachsenspiegel) – XIII-wiecznym spisie saksońskiego prawa zwyczajowego – skarb odnaleziony w ziemi każdorazowo przypadał królowi. Jednak już we wzorowanym na nim, nieco późniejszym bo opracowanym ok. 1275 roku tzw. Zwierciadle Szwabskim (niem. Schwabenspiegel) – zbiorze średniowiecznych praw niemieckich – nastąpiła zaskakująca wręcz rewolucja. Oto bowiem monarcha nie rościł już sobie prawa do skarbu, chyba że odnaleziono go na należącej do niego drodze publicznej. Przepis za to zdecydowanie faworyzował właściciela ziemi, na której dokonano odkrycia, bowiem, jak nigdy dotąd, przypadało mu aż 3/4 znaleziska, a samemu znalazcy zaledwie 1/4.

Ten specyficzny podział i rezygnacja króla z prawa do skarbu wynikały ze struktury Królestwa Niemiec, będącego rdzeniem Świętego Imperium Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Składało się ono z ok. 350 księstw, marchii, biskupstw i konglomeratów miast niemieckich, tworzących związek państw podległych elekcyjnie wybieranemu monarsze. Rządzone były przez miejscową arystokrację, będącą również właścicielem większości gruntów, stąd faworyzowanie tej warstwy miało również odzwierciedlenie w nadaniu jej prawa do większościowego udziału w odnalezionym skarbie. Jednak w związku z tym, że każde z owych państw posiadało własne zapisy prawne, również sprzyjające wewnętrznemu systemowi fiskalnemu, trudno mówić o jakimś wspólnym dla państw niemieckich ustawodawstwie regulującym interesującą nas kwestię.

Stan ten najlepiej charakteryzują o wiele późniejsze, oświeceniowe już kodyfikacje prawa – np. austriacki Kodeks Terezjański czy bawarski Kodeks Maksymiliana – uwzględniające równy podział skarbu pomiędzy: znalazcę, właściciela gruntu oraz państwo, czy funkcjonujące równolegle z nimi pruskie prawo krajowe (niem. Allgemaines Landrecht), zapewniające z kolei równy podział skarbu wyłącznie pomiędzy osobą, która go odnalazła, a właścicielem terenu.

Anglia

Pozycja angielskich królów różniła się od władców niemieckich. Byli w znacznie mniejszym stopniu uzależnieni od własnej szlachty, dzięki czemu mogli utrzymywać władzę twardą ręką, z jednej strony surowo karząc za wszelką niesubordynację, z drugiej hojnie nagradzając za lojalność. Tak czy inaczej, wiążąc ze sobą przedstawicieli arystokracji, roztaczali nad nimi pełną kontrolę również w dziedzinie skarbów.

Pierwszy zapis dotyczący regulacji tego typu w prawie angielskim pochodzi z czasów Henryka I Beauclerc'a (1068-1135) i datowany jest na rok 1115. Był prosty i jednoznaczny. W jego świetle całość miała należeć do króla. Jednak nieco wcześniej, za czasów Edwarda Wyznawcy (1042-1066), funkcjonował nieco inny podział, ale tylko w przypadku, gdy skarb został odnaleziony na ziemiach należących do kościoła. Wówczas dzielony był po połowie, jednakże... dotyczyło to wyłącznie części znaleziska złożonego ze srebra. W przypadku złota całość miała trafić do króla.

Jak silne było prawo angielskiej korony do skarbów, opowiada historia śmierci Ryszarda Lwie Serce. Oczywiście historia na swój sposób alternatywna, na poły legendarna, niemniej zapewne nie bez powodu funkcjonująca równolegle do oficjalnej. W 1198 lub 1199 roku pewien wieśniak z Limosin w środkowej Francji znalazł skarb w ziemi swego pana Archarda de Chalus-Chabrol. Do końca nie wiadomo, co zawierał; najprawdopodobniej garniec złotych monet, choć istnieje również wersja mówiąca, że był to naturalnej wielkości posąg ze złota. Cokolwiek by to nie było, Archard zatrzymał skarb. W tym momencie na arenie pojawia się Ryszard Lwie Serce, król Anglii i jednocześnie książę Akwitanii, który, jako suweren, domaga się prawa do skarbu. Gdy bezpośredni senior Archarda, wicehra-

Angielski król Ryszard Lwie Serce, wg jednej z wersji jego śmierci, miał zginąć próbując wyegzekwować należne mu prawo do skarbu...

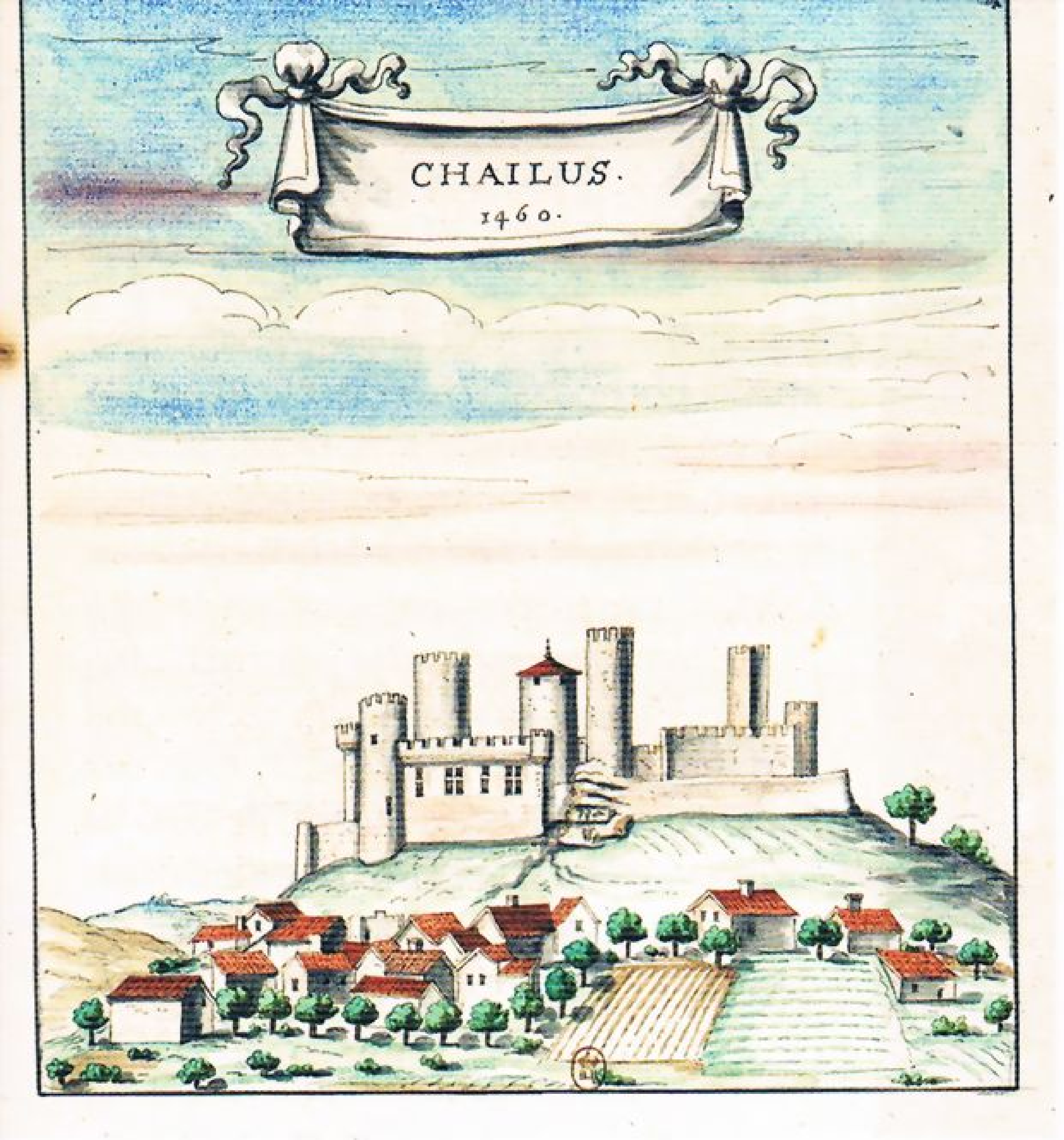

Zamek Chalus, w okolicy którego, wg legendy, poległ król Ryszard, walczący o prawo do skarbu…

bia Ademar V de Limoge, oddał zaledwie jego część, król Ryszard poczuł się oszukany. A w związku z tym, że władza i pozycja króla na ziemiach francuskich nie były zbyt silne, Archard z Ademarem ośmielili się wystąpić przeciwko niemu, wiążąc się sojuszem z Filipem II Augustem. Królem Francji, z którym Ryszard Lwie Serce w tym samym czasie toczył wojnę o władzę i pozycję na kontynencie. Gdy dwaj zdrajcy, pod naporem sił angielskiego króla, schronili się w Twierdzy Chalus, ten rozpoczął jej oblężenie. W jego trakcie Ryszard został raniony strzałą i zmarł w kwietniu 1199.

Czy rzeczywiście skarbowy wątek tej historii jest prawdziwy, wydaje się wątpliwe, chociaż okoliczności śmierci Ryszarda z pewnością wiążą się z walką Plantagenetów o wpływy i władzę we Francji. Jakkolwiek by nie było, kontrowersyjna postawa Ademara, spiskującego z francuskim królem i zdobycie Chalus, były z pewnością ważniejsze dla Ryszarda niż skarb.

W XIII, a więc kolejnym wieku angielscy władcy poszerzyli wyłączne prawo własności już nie tylko do skarbów zakopanych w ziemi, ale również ładunków wraków rozbitych u wybrzeży Anglii oraz wszelkich rzeczy zagubionych i porzuconych. Oczywiście każde poszukiwania prowadzone bez wiedzy monarchy, były surowo zabronione i uznawane za ścigane prawem oszustwo. Co ciekawe, począwszy od 1276 roku dochodzenia w sprawie odnalezionych i poszukiwanych nielegalnie skarbów, były jedną z podstawowych powinności sądowych śledczych – koronerów. Znajduje to potwierdzenie w pismach XIII-wiecznego jurysty Henryka Bractona (1210-1268), najwybitniejszego autorytetu prawnego średniowiecznej Anglii, który nie wahał się określić tego typu działań jako jednego z popularniejszych wykroczeń. Każdy komu udowodniono, że odnalazł skarb, ale nie przekazał go władzom, trafiał do więzienia, gdzie pozostawał do czasu opłacenia grzywny, wysokość której określał król.

Przepisy dotyczące tej kwestii nie zmieniały się przez kolejne wieki.

W 1606 roku Izba Lordów, przy okazji toczącej się dyskusji na temat prawa monarchy do eksploatacji złóż saletry na terenach prywatnych, nie tylko potwierdziła ten przywilej, ale dodatkowo uchwaliła, że władca ma wyłączne prawo własności do wszelkich skarbów zakopanych w ziemi. W epoce Oświecenia problem ten zaczął być rozpatrywany w znacznie szerszym kontekście.

Sir William Blackstone (1723-1780 wybitny prawnik angielski) w swych XVIII-wiecznych komentarzach do prawa angielskiego, w kwestii skarbów, potwierdzał prawo króla do skarbów, chociaż starał się wprowadzić rozróżnienie pomiędzy skarbem, a rzeczą zagubioną (znalezioną). Dedukował, że jeżeli przedmiot jest zakopany w ziemi – należał do korony, natomiast wszędzie poza nią – należny mógł być znalazcy. Tym sa-

REKLAMA

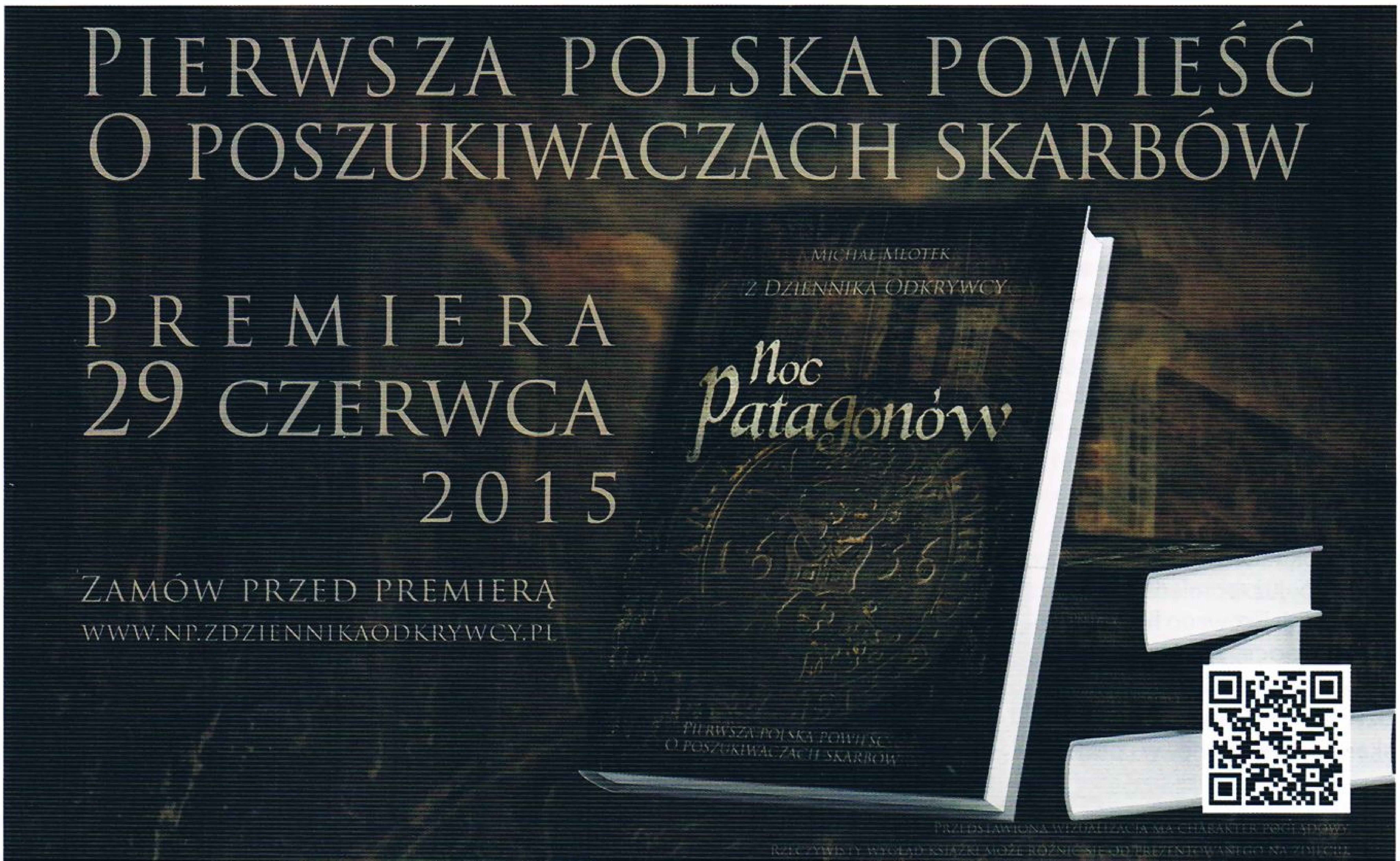

mym bardzo ogólnikowo określił owo rozróżnienie. Wychodził bowiem z założenia, że jeżeli ktoś zwyczajnie porzucił przedmiot, świadomie podzielił się swoją własnością. W pewnym więc sensie oddał ją do wspólnego zasobu. Tym samym przedmiot przestawał być czyjąkolwiek własnością, stając się częścią otoczenia, a każda osoba, która by go podjęła, mogła stać się jej prawowitym właścicielem. Oczywiście tylko w przypadku, gdy ktoś nie zażądał jej zwrotu, po udowodnieniu pochodzenia przedmiotu i wyjaśnieniu okoliczności jego przypadkowego zagubienia. Zakopany skarb, wg Blackstone'a, był już zupełnie inną kwestią. Jeżeli komuś nie udałoby się odzyskać zakopanego wcześniej skarbu, świadczyć to miało, że umarł i nie zdążył przekazać wiedzy na ten temat nikomu ze swych spadkobierców – co również czyni skarb przedmiotem niczyim, choć nastąpiło to wbrew woli osoby, do której pierwotnie należał. Król więc miał pierwszeństwo do przejęcia takiej własności wobec wszelkich innych stron, które zgłosiłyby do niego swoje pretensje.

Francja

W państwie tym w okresie średniowiecza trudno mówić o jakimkolwiek wspólnym prawie, regulującym kwestie podziału odnalezionych skarbów. Podobnie jak w Niemczech sprawy tego typu były rozstrzygane indywidualnie w poszczególnych regionach. Na południu Francji obowiązywały zasady wywodzące się jeszcze z ustawodawstwa rzymskiego, natomiast na północy przepisy opierały się na dominujących tam lokalnych tradycjach i zwyczajach.

Równolegle funkcjonowało więc wiele sprzecznych ze sobą regulacji. I tak np. w Bretanii i Normandii skarb w całości przysługiwał księciu. W Andegawenii zwyczajowe prawo mówiło, że jeżeli skarb zawiera złoto – należy do króla, jeżeli srebro – należny jest miejscowej arystokracji. Jednak po 1508 roku tamtejsze skarby dzielono już pomiędzy znalazcę, a miejscowego hrabię.

W epoce nowożytnej, w miarę umacniania się władzy królewskiej, wszystkie skarby znalezione w podległających jej domenach przypadały władcy, na pozostałych zaś obszarach ich właściciel mógł ubiegać się o zatrzymanie znaleziska dla siebie. Później zaczął się utrwalać podział skarbu pomiędzy: znalazcę, właściciela ziemskiego i przedstawiciela władzy. Ponownie jednak, gdy ktoś starał się ukryć fakt odnalezienia skarbu, automatycznie tracił szansę na jakąkolwiek z jego części. Po Rewolucji Francuskiej wszelkie zasady, prawa i tradycje związane z podziałem skarbów przestały obowiązywać, z czym wiąże się interesująca historia.

Napoleon Bonaparte uwzględnił w swym kodeksie prawo znalazcy i właściciela terenu do skarbu.

W 1800 roku podczas wizyty Napoleona w departamencie Oise miejscowy prefekt pokazał mu niedawno odkryty skarb, złożony ze starożytnych monet, częściowo jeszcze pochodzących z czasów Republiki Rzymskiej. Wspomniał przy okazji, że znalazcy bali się zgłosić łup, ponieważ w świetle prawa całość miała należeć do państwa. Usłyszawszy to Bonaparte odpowiedział, że nie zamierza pozbawiać własnych obywateli szczęścia, które zesłał im los. Nakazał tym samym nie konfiskować skarbu i odkupić od znalazcy tyle monet, ile było to możliwe. Wręczył też kilka rzymskich monet przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych, który z nim akurat przebywał, uznając je jako symboliczny dowód przyjaźni dwóch młodych republik – amerykańskiej i francuskiej. Wydarzenie to znalazło swoje odzwierciedlenie w Kodeksie Cywilnym Napoleona z 1804 roku, który zakładał, iż skarb powinien należeć do osoby, która go odnalazła, chyba że został odkryty na ziemi należącej do kogoś innego. Wówczas właściciel terenu miał otrzymać jego połowę.

Konkluzja

Powyższy przegląd praw, które regulowały kwestię ukrytych skarbów jest efektem żmudnej pracy niemiecko-brytyjskiego historyka, prof. Johannesa Dillingera, który bodaj jako jedyny w Europie podjął się dogłębnego przebadania tej tematyki. Jakże wydawałoby się epizodycznej i z rzadka występującej w źródłach. Tymczasem towarzyszącej ludzkości i systemom prawnym od zarania.

Jest to zatem zaledwie wstęp do szerszego i kompletnie w Polsce nieznanego ujęcia jakże bliskiej nam problematyki. Problematyki, którą do tej pory prezentowaliśmy w kontekście głównie poszukiwań i odkryć XX/XXI wieku. Tymczasem, co okaże się w przyszłym odcinku, poszukiwania skarbów swoje największe apogeum popularności miały w zupełnie innej epoce. Epoce doskonale już udokumentowanej, również pod kątem tej specyficznej działalności, którą parały się wyspecjalizowane grupy ludzi, nie stroniących od niekonwencjonalnych metod i tajemnych praktyk. Ale o tym, już za miesiąc. Cdn.

ZDJĘCIA: WIKIMEDIA. COMMONS

zdarzyło się...

1 VII 1944 r.

71 lat temu rozpoczęła się konferencja w Bretton Woods. W obliczu całkowicie zmienionej sytuacji geopolitycznej i zbliżającego się końca II wojny światowej, pojawiła się konieczność uporządkowania zdestabilizowanych w jej wyniku mechanizmów handlu międzynarodowego. Ponad 730 delegatów z 44 państw alianckich w oparciu o doświadczenia Wielkiego Kryzysu i błędy polityki finansowej lat 30. opracowało zupełnie nowy system monetarny oraz powołały do życia Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, a także jedną z czołowych do dziś instytucji – Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Wydarzenie to pozostające w cieniu polityczno-militarnych ustaleń zwycięskich mocarstw w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, przez kolejnych 30 lat miało największy wpływ na dynamiczny rozwój gospodarczy świata zachodniego, jaki nastąpił po 1945 roku.

Z historii Stalagu VIIIA (cz. 3)

Trudna historia może łączyć

JANUSZ SKOWROŃSKI

Kolejny artykuł z cyklu o historii Stalagu VIIIA („Jeńcy za drutami", „Odkrywca" nr 6/2015) spowodował, że znów przybyło nam nowych faktów i nieznanych pamiątek po jeńcach zgorzeleckiego obozu. Remigiusz Pluciński, wnuk starszego strzelca Józefa Plucińskiego (1900-1975), dostarczył kilkunastostronicowe opracowanie o swoim przodku.[1] Warto prześledzić powikłane losy starszego strzelca, zwłaszcza w interesującym nas fragmencie opracowania, wyjaśniającym, jak trafił on do Stalagu VIIIA.

Na kilka dni przed wybuchem wojny (28.08.1939) mieszkający w Toruniu Józef Pluciński został zmobilizowany i przydzielony, zgodnie ze swoją specjalnością wojskową, do 8. Pułku Łączności. Jednostka ta stacjonowała w tym czasie w jednym z fortów Przedgórza – dzielnicy Torunia. W jej sąsiedztwie mieściła się toruńska radiostacja. Po wybuchu wojny o Józefie Plucińskim wszelki słuch zaginął. Dopiero w listopadzie 1939 r. przesłał on do rodziny równolegle (co miało zwiększyć prawdopodobieństwo dotarcia do celu) dwie kartki pocztowe z wiadomością, że żyje i przebywa w niemieckiej niewoli. Na kartkach wyjaśniał, że w Stanisławowie został wzięty do niewoli radzieckiej 19.09.1939 roku. A następnie, w ramach wymiany jeńców pomiędzy ZSRR a Niemcami, trafił do Stalagu VIIIC w Żaganiu (wówczas Sagan). Obie kartki, w przeciągu dwóch dni, zostały wysłane z Radomia. To tam mieścił się ośrodek i punkt wymiany jeńców wojennych.

Kolejną wiadomością od strzelca Plucińskiego był list wysłany w grudniu 1939 roku. Pochodził ze Stalagu VIIIA w Görlitz-Moys, gdzie trafił polski jeniec, otrzymując numer 3769. Ówczesna korespondencja obozowa mogła odbywać się raz w miesiącu (w obie strony), zaś paczki do jeńca można było wysyłać raz na kwartał. Listy były cenzurowane i Pluciński nie mógł w nich pisać, że znając doskonale język niemiecki, był wielokrotnie nagabywany, aby przeszedł do przymusowej pracy dla III Rzeszy – w zamian za wcześniejsze zwolnienie ze Stalagu. On sam, znając postanowienia Konwencji Genewskiej, nie godził się na takie rozwiązanie. Oczywiście, postanowienia konwencji były notorycznie łamane przez Niemców niemal codziennie, a jeńcy wojenni kierowani do prac dorywczych w gospodarstwach niemieckich bądź do pracy w lesie.

Pobyt w Stalagu VIIIA udokumentowano Józefowi Plucińskiemu osobliwą pamiątką – portretem namalowanym węglem przez współtowarzysza niedoli, belgijskiego jeńca Nicka Helpa.[2] Wiemy, że pierwsi jeńcy z Francji i Belgii pojawili się w Stalagu VIIIA w czerwcu 1940 roku. Belgów dzielono na Flamandów i Walonów. Jak zauważa w swej pracy Roman Zgłobicki, tych pierwszych dość szybko zwolniono z niewoli, celem pozyskania ich dla koncepcji pangermańskich.[3]

Józef Pluciński szybko nabawił się w niewoli choroby reumatycznej stawów. Rodzina potwierdza, że koczowanie w obozie odbywało się w pierwszych miesiącach praktycznie pod gołym niebem. Jeńcy, rozlokowywani w tzw. dulagach, obozach przejściowych, zmuszani byli do wybudowania sobie prymitywnych schronień. Bywało, że aby nie stać w wodzie deszczowej, jeńcy gromadzili się na wzniesieniach. Październik i listopad charakteryzował się ulewnymi deszczami o tej porze roku, więc zdarzało się, że spali w grupach, na stojąco, opierając się o siebie i unikając leżenia bezpośrednio na gołej, nasiąkniętej wodą ziemi. Pluciński, wskutek swoich dolegliwości, często trafiał na izbę chorych. Tam wykorzystywano jego znajomość języka niemieckiego, gdyż pełnił funkcję tłumacza podczas wizyt lekarskich. Jego choroba, *Gelenk-Rheuma*, nie rokowała szybkiego wyzdrowienia. Stał się mało przydatny w Stalagu VIIIA, więc władze obozowe zdecydowały się przenieść go do Stalagu XXIA Schildberg (dziś Ostrzeszów).[4] Po trzech dniach, 12.12.1940 roku, schorowany, został zwolniony do domu z orzeczeniem stałego inwalidztwa. Z różnymi szykanami ze strony Niemców (gdyż nie chciał podpisać volkslisty) Pluciński doczekał w Toruniu końca wojny.

Inne dwie „pamiątki" poobozowe wypłynęły nieoczekiwanie w ostatnich tygodniach. Sygnał od jednego z Czytelników spowodował, że należa-

St. strzelec Józef Pluciński przebywał w Stalagu VIIIA w okresie 1939-1940 jako jeniec 3769. Zb. rodzinne S. Pluciński.

Portret Józefa Plucińskiego wykonany węglem przez belgijskiego współwięźnia Nicka Helpa. Zb. rodzinne S. Pluciński.

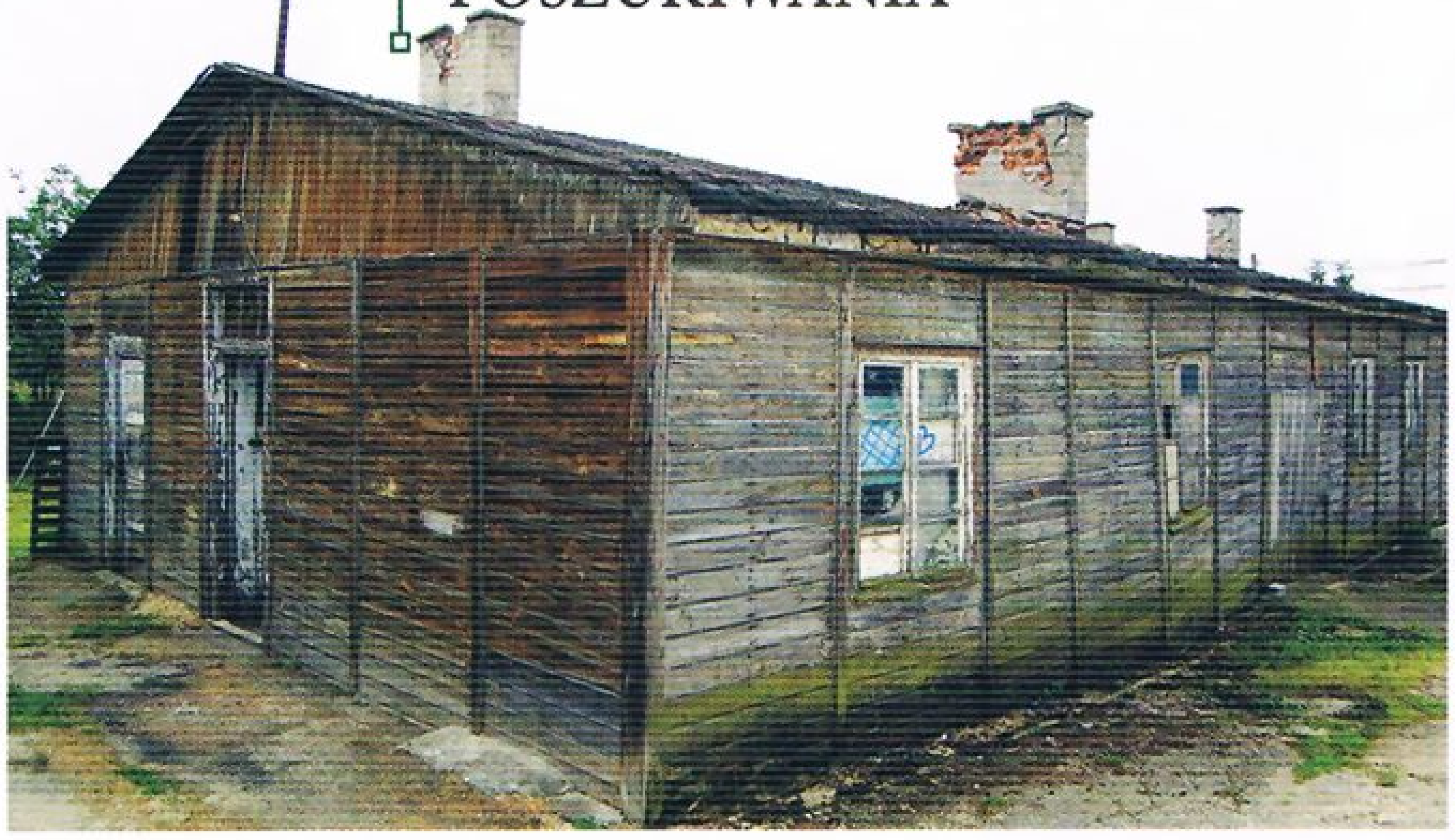

Wieś Koźlice niedaleko Stalagu VIIIA. Tu, jak pamięta Mirosław Zabiełło i jego rodzice, ok. 1950 r. przeniesiono barak obozowy. Służył strażnicy WOP jako kuchnia i stołówka. Fot. J. Skowroński.

ło sprawdzić wieś Koźlice leżącą nad Nysą Łużycką, zaledwie 4 km od Stalagu VIIIA. Po wojnie w jednym z okazałych domostw Koźlic rozlokowała się strażnica Wojsk Ochrony Pogranicza. Jak pamięta Mirosław Zabiełło, mieszkaniec i były sołtys Koźlic, około 1950 roku WOP-iści przenosząc strażnicę do budynku obok potrzebowali miejsca na żołnierską kuchnię i stołówkę. Przygotowano betonowo-ceglaną podmurówkę o wymiarach ok. 14×7 metrów, na której zaczęto stawiać drewniany barak z gotowych elementów. Miejscowi wiedzieli, że pochodzi on z pobliskiego Stalagu VIIIA. W ten sposób „zagospodarowano" jeden z baraków, przenosząc go na nowe miejsce. Jedynym nowym elementem zachowanym do dziś w postawionym w nowym miejscu obiekcie, jest trzon kuchenny z wystającym ceglanym kominem, którego nie posiadał pierwotny barak. Strażnicę nad Nysą Łużycką zlikwidowano w latach 70. Budynek po niej stał się domem opieki dla ludzi starych, później na krótko szkołą podstawową przeniesioną tu z pobliskiego Osieka Łużyckiego. O baraku stojącym obok bezczynnie, zapomniano. Obecnie służy za komórki na opał dla mieszkańców byłej strażnicy, którą w międzyczasie przeznaczono na mieszkania dla pięciu rodzin. Czy barak powróci na swoje pierwotne miejsce jako świadek obozowej historii? Oby.

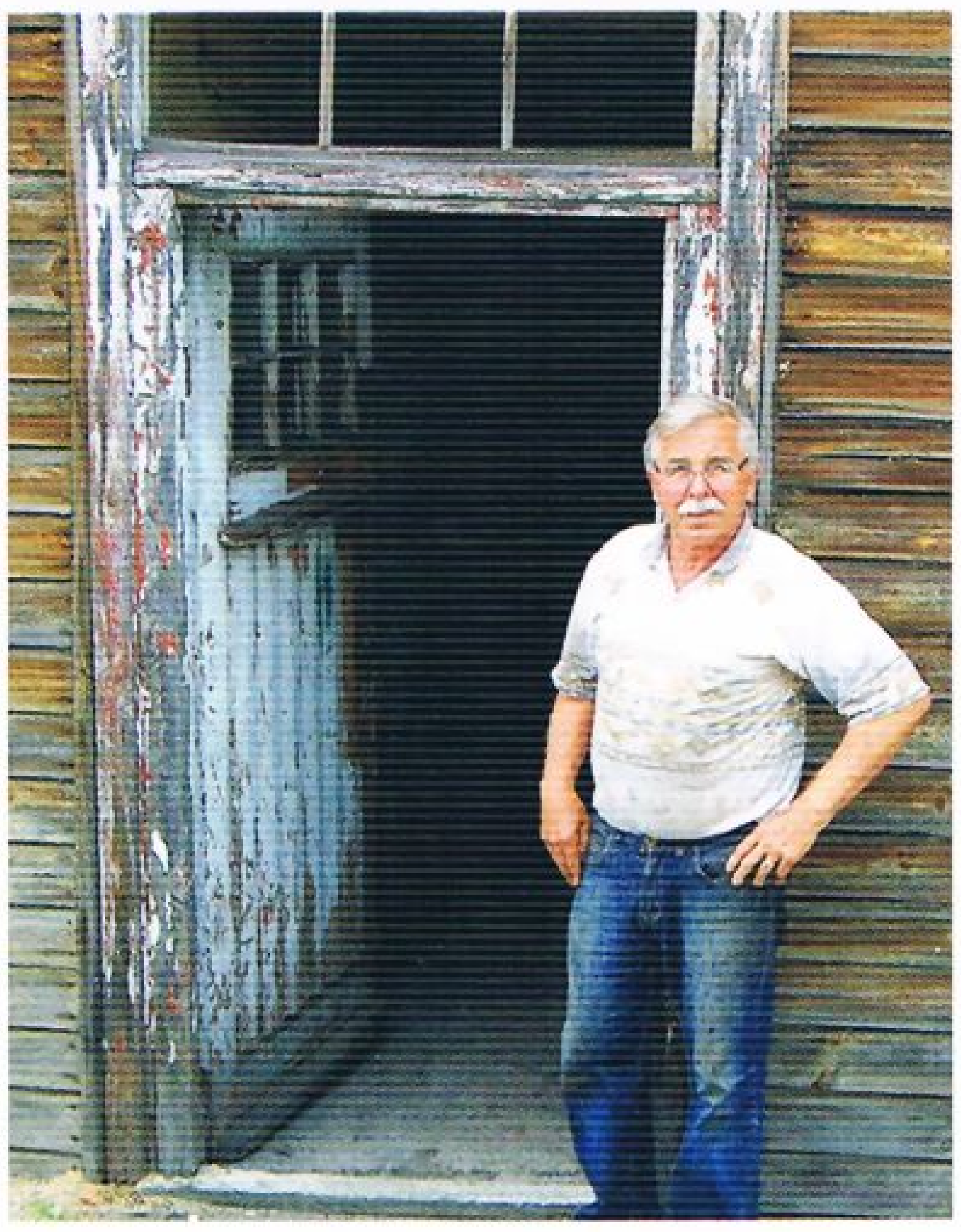

Wiadomość o kolejnym baraku dotarła do Jowity Jeleńskiej kierującej Europejskim Centrum Edukacyjno-Kulturalnym w Zgorzelcu, mieszczącym się na terenie Stalagu, zupełnie niedawno, i to tuż zza... Nysy Łużyckiej. W Görlitz przy Lutherplatz stoi sobie znacznie okazalszy i wcześniej zagospodarowany barak, także pochodzący ze Stalagu VIIIA. Należy do firmy Arbeiterwohlfahrt KV Oberlausitz e.V. z pobliskiego Löbau. W baraku tym niemiecka firma urządziła sobie magazyn, dziś już niepotrzebny. Mieszkańcy zaświadczają, że barak został przeniesiony ze Stalagu leżącego po wschodniej, polskiej dziś części miasta. Ponoć właściciele chcą go rozebrać i wyrzucić na wysypisko, jeśli nie znajdzie się nikt, kto nie będzie na własny koszt chciał go zabrać i wywieźć. Ten barak jest także drewniany, przez co – póki co – miał szczęście, bo... zachował się. Wśród starszych mieszkańców Zgorzelca można usłyszeć głosy, że baraki murowane zostały po wojnie systematycznie rozbierane jako pierwsze, a pozyskiwana cegła wywożona w głąb Polski. Wszak cały naród odbudowywał swoją stolicę...

Budowie baraków Stalagu VIIIA dużo miejsca poświęcił Michał Urbanowski, autor portalu o obozie, gdzie można znaleźć wiele komputerowych wizualizacji ówczesnych obozowych obiektów.[5] Jak pisze, w niemieckiej architekturze systemu jenieckiego podobny kształt baraków (do tego, który dziś znajduje się w Görlitz, choć różniący się detalami, jak np. rozmieszczeniem okien bocznych czy sposobem wejścia – przyp. J. S.) pojawiał się często, był bowiem praktyczny i oszczędny. W ta-

Znacznie większy poobozowy barak można znaleźć po drugie stronie Nysy Łużyckiej, w Görlitz. Fot. J. Jeleńska.

kim baraku – przynajmniej w VIIIA – zakwaterowanych było co najmniej 210 osób. Chociaż źródła podają, że w ekstremalnych sytuacjach, a takie miały odniesienie dla jeńców radzieckich a później włoskich Stalagu VIIIA, w baraku można było umieścić nawet trzykrotnie więcej jeńców. Średnie zaludnienie w VIIIA dla każdego baraku wynosiło od 300 do 350 osób. Baraki składały się z dwóch asymetrycznych części, pomiędzy nimi zlokalizowano umywalnię, czy-

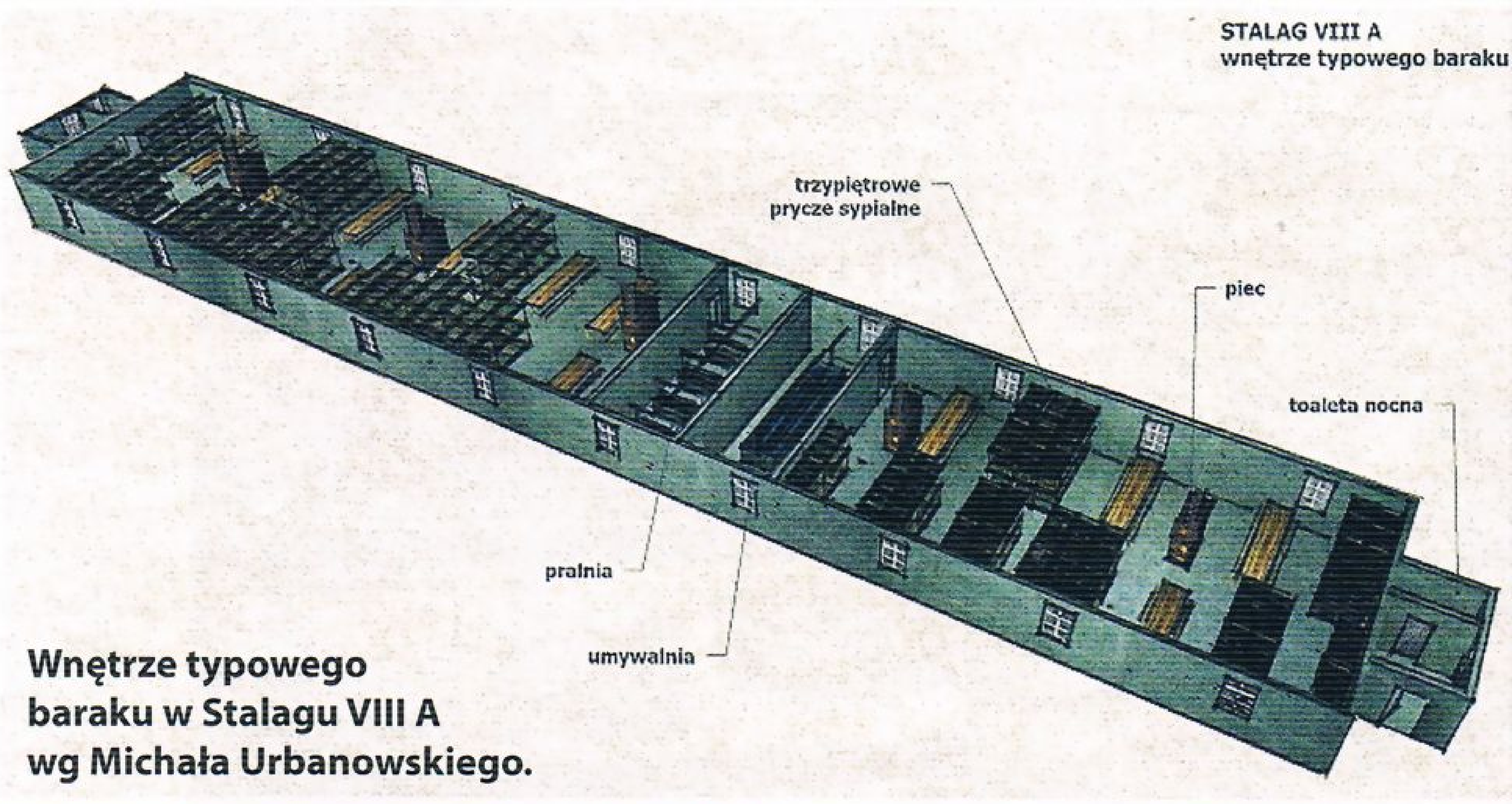

Wnętrze typowego baraku w Stalagu VIII A wg Michała Urbanowskiego.

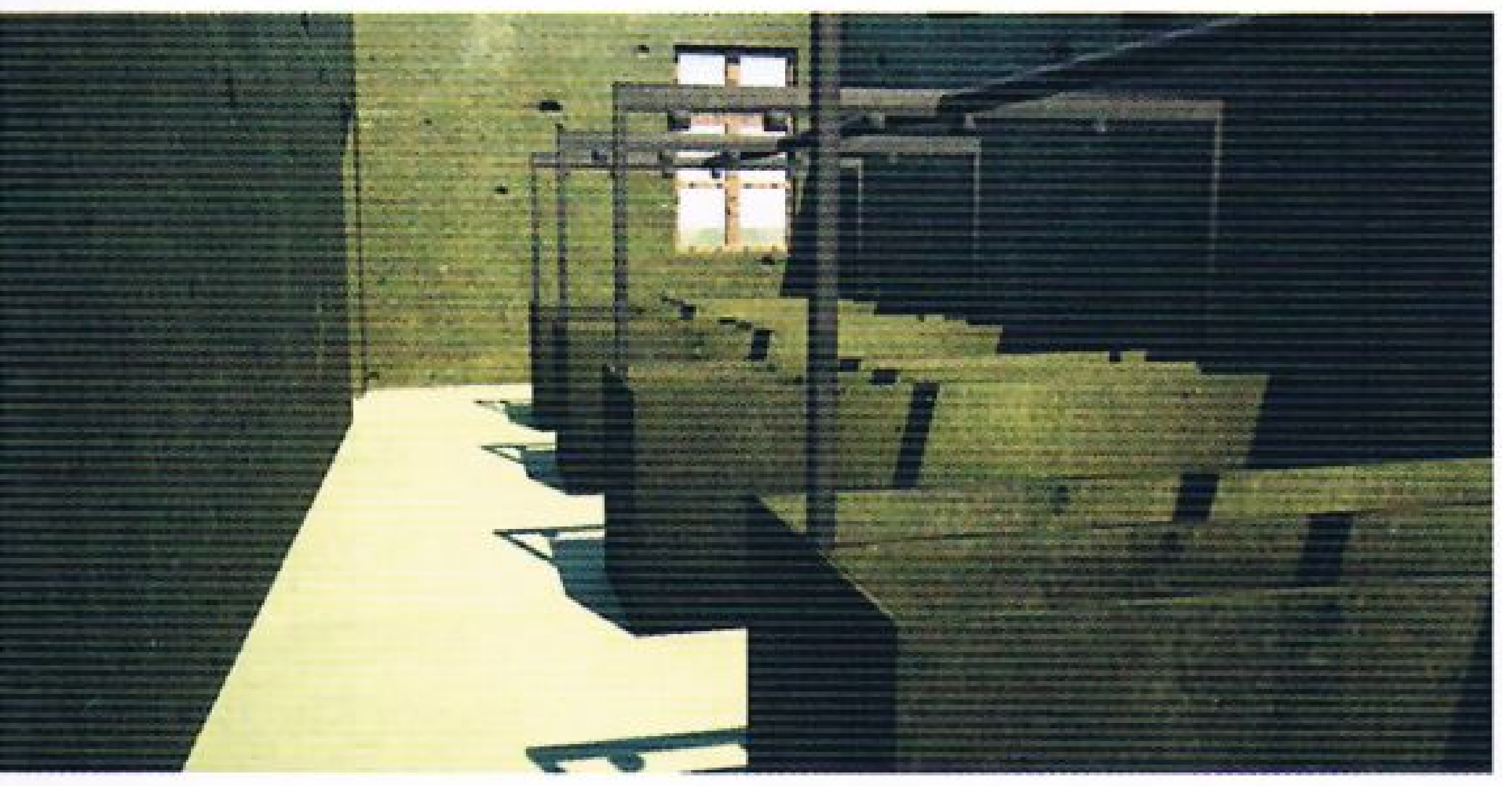

Wizualizacja wnętrza baraku wg Michała Urbanowskiego (grafika utworzona w programie Sketchup).

li długie koryto z doprowadzoną zimną wodą oraz pralnię – mniejsze korytka, które miały służyć do prania bielizny. W charakterystycznych przedsionkach baraków mieściły się toalety nocne. Całe wyposażenie baraku składało się z drewnianych stołów oraz prycz sypialnych, najczęściej trzypiętrowych o wymiarach 2×0,8 m. Odległości między łóżkami w pionie wynosiły 1 metr. Z czasem jeńcy próbowali „meblować" baraki kartonami i skrzynkami. Bieliznę suszyło się wewnątrz, na prowizorycznych sznurach. Jako że nikotynizm był wówczas powszechnym nałogiem a jednocześnie jednym z niewielu luksusów, które można było kupić za głodowe wynagrodzenia z prac w komandach, powietrze w barakach było przesiąknięte mieszanką obydwu.

Michał Urbanowski czyni istotne zastrzeżenie dotyczące ogrzewania baraków. Piece były rozmieszczone w sposób symetryczny. W praktyce opał był racjonowany a konstrukcja baraków utrudniała ich ogrzanie. Z czasem – a szczególnie od 1944 roku – baraków nie remontowano. Niemcy były w wojennej defensywie. Wybite okna łatano listwami i drewnem, opał podlegał coraz większemu racjonowaniu, jeńcy byli bardziej stłoczeni. Dezynteria i inne choroby miały przez to coraz łatwiejsze warunki rozwoju.

○ ○ ○

Roman Zgłobicki, wrażliwy nauczyciel historii w Technikum Górniczym i Energetycznym w Zgorzelcu, przybył do tego miasta w 1962 roku. Pięć lat później władze miasta powierzyły szkołom gromadzenie materiałów i opiekę nad cmentarzami wojennymi Zgorzelca. Zgłobickiemu i jego uczniom „przydzielono" cmentarz jeńców radzieckich, rozlokowany na tyłach obozu jeńców wojennych. Tak rozpoczęło się jego badanie dziejów Stalagu VIIIA. Cierpliwie gromadził i dokumentował wszystko, co wiązało się nie tylko z samym Stalagiem VIIIA, ale i wojennymi cmentarzami Zgorzelca. Pewien wyjątek stanowił cmentarz żołnierzy II Armii Wojska Polskiego, poległych podczas operacji drezdeńskiej i krwawej bitwie pod Budziszynem u schyłku wojny. O innych zgorzeleckich cmentarzach, zwłaszcza tych, które były następstwem funkcjonowania Stalagu VIIIA, historia wcześniej milczała. Po latach Roman Zgłobicki tak pisał o swoich początkach zainteresowania się tym tematem:

„W 1967 roku władze Zgorzelca powierzyły miejscowemu Technikum Energetycznemu i Górniczemu patronat nad cmentarzem jeńców radzieckich. Z okazji Świąt Zmarłych młodzież składała kwiaty i wieńce. Uczestnicy uroczystości stawiali pytania dotyczące obozu i jego cmentarzy. Jako historyk nie mogłem zlekceważyć zainteresowań moich uczniów. By wyjść im naprzeciw, założyłem koło historyczne, którego celem było gromadzenie materiałów. Rozpoczęły się rozmowy z byłymi jeńcami i wizje lokalne na terenie byłego obozu".

Żmudna praca dopiero była przed Romanem Zgłobickim. Przeprowadził wiele rozmów z byłymi jeńcami, często odbywał wizje lokalne na terenie obozu. Z archiwum Zarządu Głównego PCK otrzymał, zawierający ok. 10 tysięcy nazwisk, spis polskich jeńców wojennych oraz imienny wykaz Polaków przybyłych do obozu w ostatniej jego fazie, tj. 8. kwietnia 1945 roku.

„W oparciu o te materiały wysłałem do Głównego Biura Adresowego w Warszawie ponad 3 tysiące formularzy celem uzyskania informacji adresowych – pisał o początkach swojej pracy. *– Po ich otrzymaniu rozesłałem około 1000 ankiet po całym kraju. Następnie zwróciłem się do ambasad koalicji antyhitlerowskiej, mających siedziby w Warszawie, z prośbą o przysłanie mi adre-*

Izbą Pamięci w zgorzeleckiej szkole opiekuje się dziś Kazimierz Korotusz. Wszystkie makiety obozu wykonali uczniowie Technikum Energetycznego i Górniczego w Zgorzelcu. Fot. J. Skowroński.

sów instytucji zajmujących się problematyką jeniecką. Tą drogą nawiązałem kontakty z byłymi jeńcami na Zachodzie".

Kulminacyjnym punktem zainteresowań zgorzeleckiego nauczyciela historii było otwarcie w 1973 roku Izby Pamięci Narodowej w szkole, w której uczył. Do Izby trafiały coraz liczniejsze wycieczki, w tym byłych jeńców, zwłaszcza francuskich, belgijskich i polskich. Za każdym ich pobytem w placówce przybywało unikalnych materiałów historycznych – zdjęć, dokumentów, planów obozu, relacji, artykułów i opracowań. Zaczęto organizować sesje popularnonaukowe. Materiału przybywało, a Roman Zgłobicki coraz poważniej myślał o napisaniu opracowania o Stalagu VIIIA. Miał zebranych 160 relacji jeńców polskich, 15 belgijskich i francuskich, 20 innych osób, w tym robotników przymusowych, którzy mieli styczność z obozem. Jego uczniowie w ramach zajęć warsztatowych wykonywali pomoce poglądowe do Izby: diagramy, rysunki, plany sytuacyjne czy gabloty. A przede wszystkim, wzbudzające do dzisiaj podziw, dwie makiety: obozu i szpitala obozowego (w skali 1:250) czy model belgijskiego baraku jenieckiego.

W roku 1995 ukazała się drukiem praca Romana Zgłobickiego „Obozy i cmentarze wojenne Zgorzelca". Do tej pory stanowi ona podstawę dla wszystkich badaczy zajmujących się wojennymi dziejami granicznego miasta, zwłaszcza Stalagu VIIIA. *„Pracę tę poświęcam moim uczniom, którzy zainspirowali mnie do jej tworzenia"* – tak brzmi motto książki.

Do dzisiaj tradycją szkoły, w której znajduje się Izba Pamięci, jest zapoznanie wszystkich uczniów z dorobkiem Romana Zgłobickiego i zgromadzonymi pamiątkami. W Izbie Pamięci, którą opiekuje się Kazimierz Korotusz, prezentowana jest także wielojęzyczna korespondencja Zgłobickiego z instytucjami, do których się zwracał, i byłymi jeńcami, których zapraszał do Zgorzelca. Rok po ukazaniu się książki, 22 VII 1976 roku, dzięki staraniom zgorzeleckiego historyka, odsłonięto pomnik poświęcony jeńcom Stalagu VIIIA.

W styczniu 2010 roku, spełniając prośbę saksońskiej Minister Nauki i Sztuki, Roman Zgłobicki udał się do Brukseli, by wśród przedstawicieli Unii Europejskiej podzielić się wiedzą o obozie jeńców wojennych. Otrzymał prestiżowy tytuł i medal „Zasłużony dla Europa-Miasta Zgorzelec-Görlitz", dołączając do grona najbardziej zasłużonych dla obu miast osobistości. Jak podkreśla Kazimierz Korotusz, był Roman Zgłobicki promotorem idei, aby w miejscu dawnego Stalagu powstało centrum upamiętniające ponurą historię. I trafił na tak samo myślącego partnera po drugiej stronie Nysy Łużyckiej, Albrechta Goetze – historyka literatury, reżysera i kompozytora. Idea ta została po raz pierwszy zaprezentowana publicznie we Wrocławiu 29 VI 2005 roku podczas spotkania delegacji Dolnego Śląska i Saksonii.

Wśród pamiątek w Izbie Pamięci znajduje się popielniczka, dar jednego z jeńców belgijskich stalagu VIIIA. Fot. J. Skowroński

zdarzyło się...

4 VII 1946 r.

69 lat temu w Kielcach miał miejsce ostatni pogrom żydowski XX wieku. „Zwykli ludzie zwykłego dnia w zwykłym mieście zamordowali swoich sąsiadów"– pisała po latach prof. Krystyna Kersten. Pogromu dokonali polscy mieszkańcy Kielc, żołnierze Wojska Polskiego i KBW oraz funkcjonariusze MO. Bezpośrednią przyczyną była plotka o uwięzieniu przez Żydów w piwnicy budynku przy ul. Planty 7 ośmioletniego chłopca – Henryka Błaszczyka, w celu dokonania na nim mordu rytualnego. W rzeczywistości chłopiec, bez wiedzy rodziców, pojechał do wsi, oddalonej o 20 km od Kielc, w której rodzina mieszkała w czasie wojny. Historia o porwaniu przez Żydów została wymyślona ponoć przez samego chłopca w celu uniknięcia kary. Na Plantach zgromadził się wielotysięczny tłum rozwścieczonych mieszkańców miasta. Motłoch wtargnął do budynku i w bestialski sposób zamordował 39 Żydów i 2 broniących ich Polaków. Próby powstrzymania rozszalałej tłuszczy okazały się daremne. Dopiero pod wieczór pogrom ustał i udało się zatrzymać podejrzanych. Do aktów przemocy i morderstw dochodziło też tego dnia w pociągach na pośrednich stacjach kolejowych na trasie Kielce-Częstochowa. W pogromie zginęło 40 osób, w tym 37 Żydów i 3 Polaków. 35 osób zostało rannych. Do liczby ofiar podanej przez IPN nie wlicza się Reginy Fisz i jej dziecka, którzy padli ofiarą morderstwa na tle rabunkowym oraz osób zabitych na dworcach kolejowych, których dokładna liczba nie jest znana.

Ivonne Loriod (1924-2010) wdowa po kompozytorze Olivierze Messiaenie objęła honorowym patronatem powstałe w Görlitz stowarzyszenie Meetingpoint Music Messiaen, skupiające głównie młodych Niemców. Jego pomysłodawcą był dr Albrecht Goetze. Jak słusznie przypuszczał, teren Stalagu może stać się miejscem, w którym organizowane byłyby koncerty, konkursy i warsztaty kompozytorskie, multimedialne przedsięwzięcia artystyczne i spotkania młodych ludzi. Spoiwem tego wszystkiego jest muzyka oraz postać Oliviera Messiaena. Zdaniem prof. Goetze, Zgorzelec i Görlitz stanowiły idealny punkt na taki kulturalny przystanek. Podatny odzew nadszedł także ze strony władz samorządowych miasta i gminy Zgorzelec. Powołano Fundację Centrum Wspierania Przedsiębiorczości, której powierzono realizację projektu budowy Centrum na terenie byłego Stalagu VIIIA. Dwie wielkie osobowości – Roman Zgłobicki i Albrecht Goetze mogli się spotkać i wspólnie urzeczywistniać swoje idee poznawania trudnej przeszłości i wytyczania wspólnych artystycznych kierunków dla przyszłych pokoleń.

Roman Zgłobicki nie doczekał urzeczywistnienia swojej idei, zmarł 19.08.2010. Mogła się ona ziścić po blisko pięciu latach w wybudowanym i funkcjonującym od niedawna Europejskim Centrum Edukacyjno-Kulturalnym.[6] Albrecht Goetze pisał o międzynarodowym przedsięwzięciu: *„Jest przecież wielowiekowa przyjaźń pomiędzy Polską i Francją, a to świetny fundament, na którym można budować Meeting Point Music Messiaen. Jego zalążkiem, a jednocześnie integralną częścią ma być miejsce pamięci Stalag VIIIA. Przez 16 lat pracowałem nad podobnym projektem w Dachau. Już sam czas pokazuje, że to bardzo trudne przedsięwzięcie. Mam świadomość, że także to zadanie, żeby mogło być zrealizowane, potrzebuje 10-15 lat. Ale też pamiętam podzieloną Europę mojego dzieciństwa i to jak marzyła mi się Europa wspólna, zjednoczona. Zgorzelec i Görlitz to idealne miejsce, żeby tę ideę urzeczywistniać. To może się udać właśnie dzięki muzyce".*[7]

Projekt został współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Saksonia 2007-2013. Dziś jest miejscem pamięci, nauki i prób artystycznych młodych ludzi. Tu historycy, artyści i młodzież z całej Europy spotykają się przez cały rok, realizując różne projekty, w imię poznawania trudnej historii.

Przypisy:

1 Opracowanie na prawach maszynopisu nosi tytuł „Cichy bohater bez orderów" i jest autorstwa synów Józefa – Antoniego i Marcelego Plucińskich.

2 Portret ocalał i wraz z Józefem Plucińskim przeżył wojenną tułaczkę. Dziś – w zbiorach rodzinnych.

3 R. Zgłobicki, „Obozy i cmentarze w Zgorzelcu", s. 27

4 Stalag XXIA istniał od IX 1939 do III 1943. Tu we wrześniu 1939 trafił m.in. O. Maksymilian M. Kolbe. Na terenie byłego stalagu XXIA założono jesienią 1943 r. obóz dla jeńców i oficerów – Oflag XXIC Schildberg , gdzie przebywali oficerowie holenderscy, radzieccy, włoscy, serbscy i norwescy. Oflag XXIC zlikwidowano w końcu stycznia 1945 roku.

5 Zainteresowanych odsyłam do ciekawej strony: www.stalag8a.urbweb.pl

6 Uroczyste otwarcie Centrum miało miejsce 15.01.2015 r. Więcej o Centrum na www.ecek.fcwp.zgorzelec.pl/fundacja

7 Albrecht Goetze, jeden z pomysłodawców budowy centrum zmarł 25 kwietnia 2015 w Berlinie.

Literatura:
1. R. Zgłobicki, „Obozy i cmentarze wojenne w Zgorzelcu", 1995
2. „Od przestrogi przeszłości do nadziei przyszłości", Europejskie Centrum Edukacyjno-Kulturalne Zgorzelec-Görlitz 2015.

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik Odkrywcy, autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Jest prezesem Stowarzyszenia „Zamek Czocha". Kontakt: loginfo@go2.pl

REKLAMA

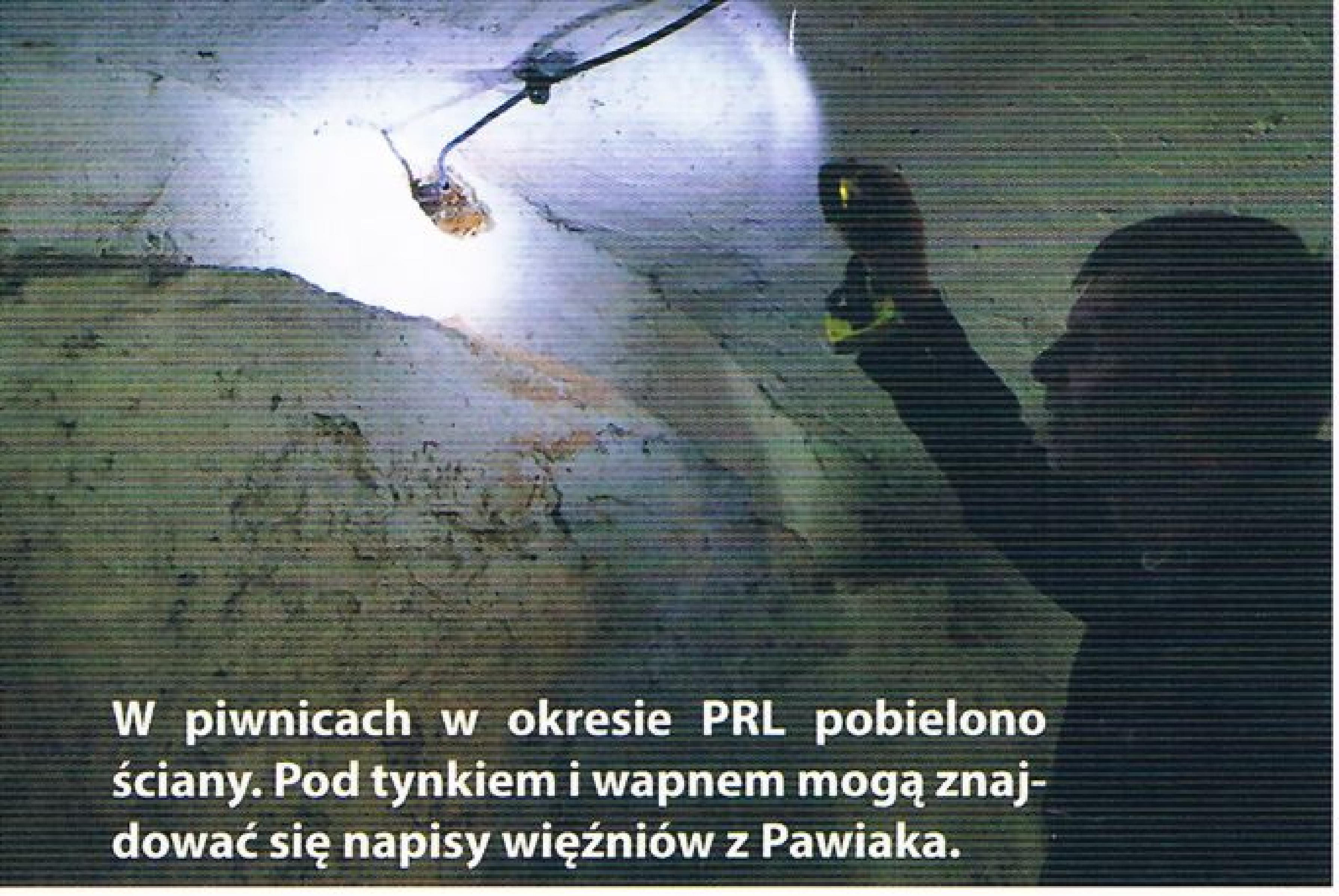

W piwnicach w okresie PRL pobielono ściany. Pod tynkiem i wapnem mogą znajdować się napisy więźniów z Pawiaka.

Cela nr 2. Stworzona w piwnicy przez dostawienie ściany działowej z dwoma okratowanymi okienkami.

Cele w pałacu nie były widne; nie miały żadnego dostępu do słonecznego światła.

– No, szału nie ma – powiedział Mariusz Rowiński, oglądając okrągły aluminiowy przedmiot wyglądający na tabliczkę znamionową jakiegoś niemieckiego urządzenia technicznego. Naniósł koordynaty GPS, przedmiot włożył z numerkiem porządkowym do torebki strunowej i ruszył dalej. Jeszcze tego samego dnia okazało się, że to rzadki identyfikator zakładowy z warszawskiego getta z numerem osoby przypisanej temu metalowemu dokumentowi tożsamości. Nad jego identyfikacją szybko pochyliła się dr Eleonora Bergman z Żydowskiego Instytutu Historycznego, a Krzysztof Bielawski z Muzeum Żydów Polskich na Wirtualnym Sztetlu opublikował apel do żywych świadków historii: po polsku, angielsku i hebrajsku. To tylko jedno z wielu zaskakujących odkryć, jakich od wiosny tego roku dokonali członkowie MSHE w podwarszawskich Falentach. Okazuje się, że nie należy lekceważyć żadnego przedmiotu, który może okazać się cennym zabytkiem. Należy zaglądać pod podłogi w pałacach. Schodzić do piwnic. A przede wszystkim rozmawiać z ludźmi!

Od Rzymu przez Księstwo Warszawskie po SS i getto warszawskie, czyli pełne skarbów zakamarki pałacu w Falentach

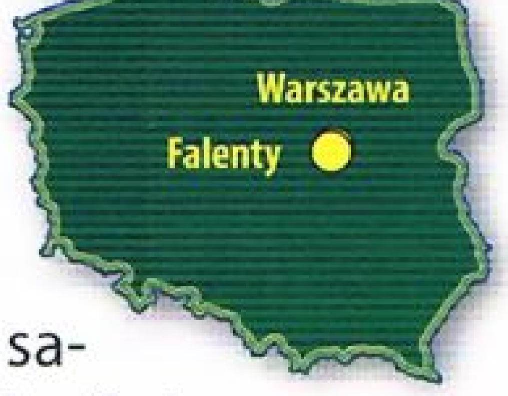

ROBERT WIT WYROSTKIEWICZ

Tym razem mierzymy w okres napoleoński! Celem badań poszukiwawczych Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl" miała być głównie nierozpoznana archeologicznie Bitwa pod Raszynem z 1809 r. – legendarne starcie żołnierzy Księstwa Warszawskiego, armii saskiej i wojsk austriackich. Po pierwsze, wiedza od poszukiwaczy nie potwierdzała kanonicznych terenów bitwy, a po drugie, muzea i izby pamięci nie posiadają niemal żadnych zabytków z tego wydarzenia.

W centrum poszukiwań ulokowany jest olśniewający pałac – majestatyczny zabytek z ok. 1620 r., który – co dla nas było wyśmienitą informacją – nigdy nie został przeszukany i zbadany, a jego zabytkowy park wraz z nieruchomością od końca wojny stanowił własność państwową, ogrodzoną i chronioną, co częściowo zachowało to miejsce od luźnej eksploracji czy zaśmiecenia terenu niebotyczną ilością kapsli po wódce (jak to zazwyczaj ma miejsce na terenach przydworskich przerabianych w PRL na PGR-y czy domy komunalne). Zaczynając badania nie wiedzieliśmy jeszcze, jakie mroczne tajemnice skrywać będzie ziemia, strych, a zwłaszcza piwnice pałacu. Tak naprawdę byliśmy na miejscu może 10 razy, ale jeśli tak będzie do końca, to mamy już materiał na kilka książek...

Z wykrywaczem po stanowiskach archeo

Nie wiadomo ilu w Polsce istnieje tzw. poszukiwaczy skarbów. Ministerstwo Kultury raz jeden pokusiło się o taki szacunek podając liczbę 80 tysięcy. W każdym razie są nas tysiące i większość narzeka na złą ustawę i przymus funkcjonowania na granicy prawa. Nie do końca tak jest. Raszyn i jego okolice to miejsce, które na powierzchni kilku wsi objęliśmy swoimi badaniami poszukiwawczymi, pomimo, że wokół roi się od stanowisk archeologicznych wpisanych do Archeologicznego Zdjęcia Polski. Są to obszary zarówno zidentyfikowane na podstawie badań powierzchniowych, jak i częściowo przebadane metodą wykopaliskową. Datowanie zaczyna się od epoki kamienia (stanowiska osadnictwa pierwszych hodowców i rolników w Jaworowej i Raszynie – wczesny neolit) jak i epoki brązu w tych samych miejscowościach (kultura łużycka). Następnie mamy stanowiska okresu wpływów rzymskich począwszy od czasów przed narodzeniem Chrystusa (okres lateński). Jednak najbardziej znanym archeologicznie okresem jest przełom er, gdzie na terenie obecnej gminy Raszyn, a także w przeszukiwanej przez nas priorytetowo miejscowości Falenty, odkryto osady hutnicze. W samych Falentach zlokalizowano kilkaset pieców hutniczych, czyli tzw. dymarek.

Jak zatem wejść z wykrywaczem na stanowisko „archeo"?

Drodzy Przyjaciele, wystarczy napisać pismo do konserwatora zabytków i zapłacić 82 zł opłaty skarbowej. Po ostatnich zmianach prawnych nie ma nawet konieczności załączania dyplomu archeologa w składzie poszukiwawczym, ale sami z siebie to zrobiliśmy, bo – taka jest nasza filozofia – poszukiwania to pasja, ale też odpowiedzialność. Zresztą, co jest już normą, przy tego typu poszukiwaniach zazwyczaj odwiedzają nas zaprzyjaźnieni archeolo-

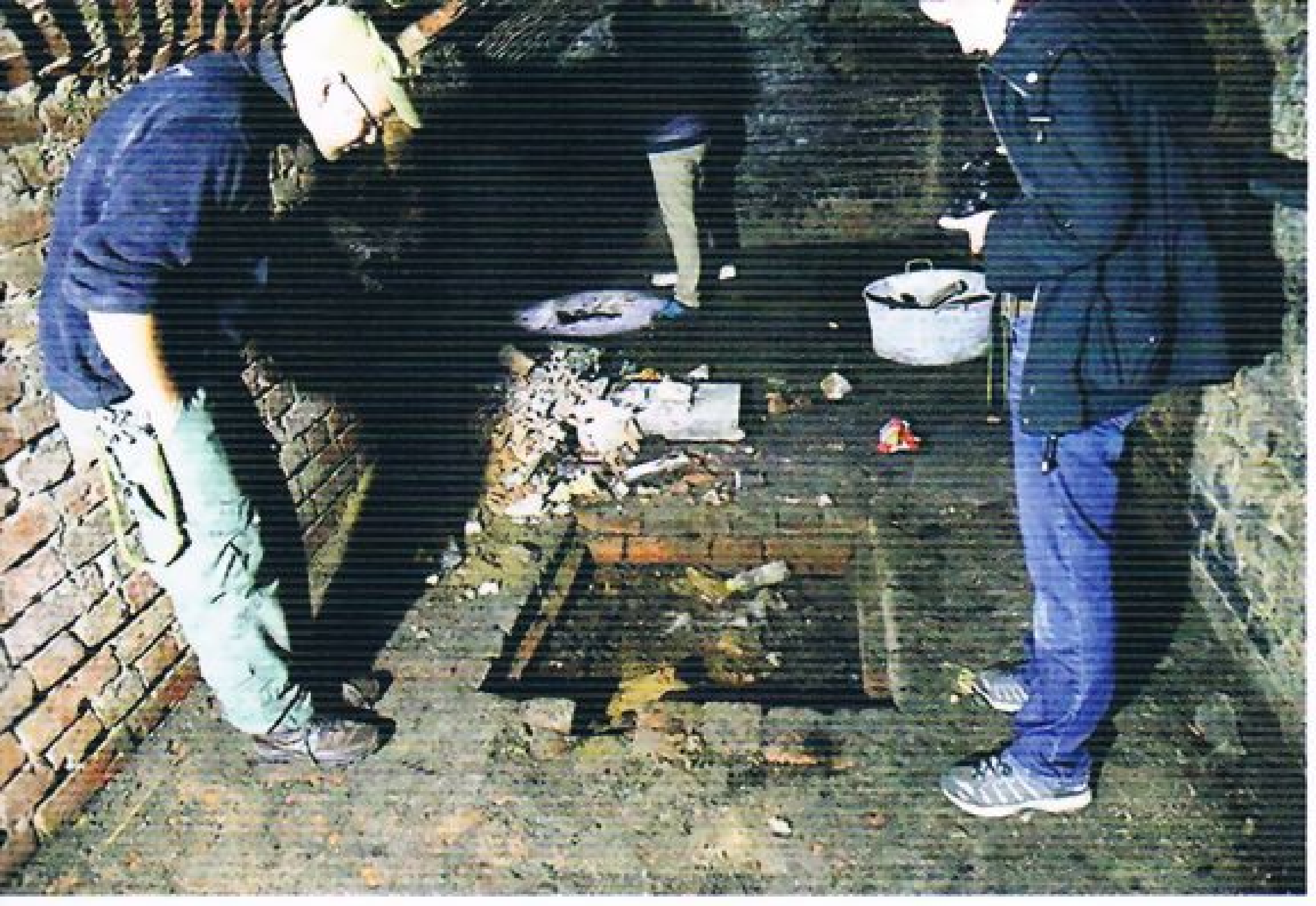

Powtarzające się otwory w piwnicach pod pałacową kuchnią. Być może to obecnie zasypane pomieszczenia na lód opisane w dokumentach IPN? Tę ziemię trzeba będzie przeszukać jako zasypisko wtórne, czyszcząc wnęki „do calca" – jak mówią archeolodzy.

dzy z wykrywaczami, którzy spokojnie i w miłym towarzystwie mogą w końcu pochodzić z wykrywaczem.

Badania miały odbywać się nieinwazyjnie (co nie znaczy, że nie można kopać – „nieinwazyjność", to semantycznie mylnie brzmiące słowo oznacza ni mniej ni więcej, jak tylko poruszanie się po polach ornych, czy łąkach, jedynie w warstwie humusu (czyli powyżej warstw kulturowych). Co w przypadku, jeśli zlokalizujemy duży obiekt głębiej? Spokojnie... i na to jest sposób – rozszerzenie decyzji konserwatorskiej. Tak więc dysponując zgodą Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wiosną 2015 r. weszliśmy na raszyńskie pola i teren przypałacowy. Z zabytków adekwatnych do opisanych stanowisk archeologicznych odnaleźliśmy jedynie kawałek fibuli wykonanej z brązu (zapinki z okresu wpływów rzymskich), jednak czasy najnowsze okazały się dużo ciekawsze...

Bitwa pod Raszynem

Jak wyglądał np. orzeł z nakrycia głowy szeregowego artylerzysty z okresu Księstwa Warszawskiego? No właśnie! Nikt do końca nie wie jak. Istnieją cztery niewyraźne ryciny z epoki i... ani jednego takiego zabytku w muzeach. Co to oznacza? Że pomimo świetnie działających rekonstrukcji historycznych nasza wiedza o umundurowaniu (zwłaszcza wczesnego Księstwa) oraz regulaminowej i zwyczajowej galanterii mundurowej jest znikoma. Chociażby dlatego warto było wybrać Raszyn jako cel poszukiwań. Jednak był też ważniejszy powód. Pola podwarszawskie pokrywające się z kanonicznymi terenami bitwy w 90 proc. to tzw. śmietnik warszawski. W skrócie, od końca XIX wieku do wczesnego PRL wywożono tam m.in. śmieci komunalne ze stolicy, które razem z obornikiem trafiały często do ziemi. Stąd, od lat, okolice te w weekendy licznie odwiedzane są przez poszukiwaczy.

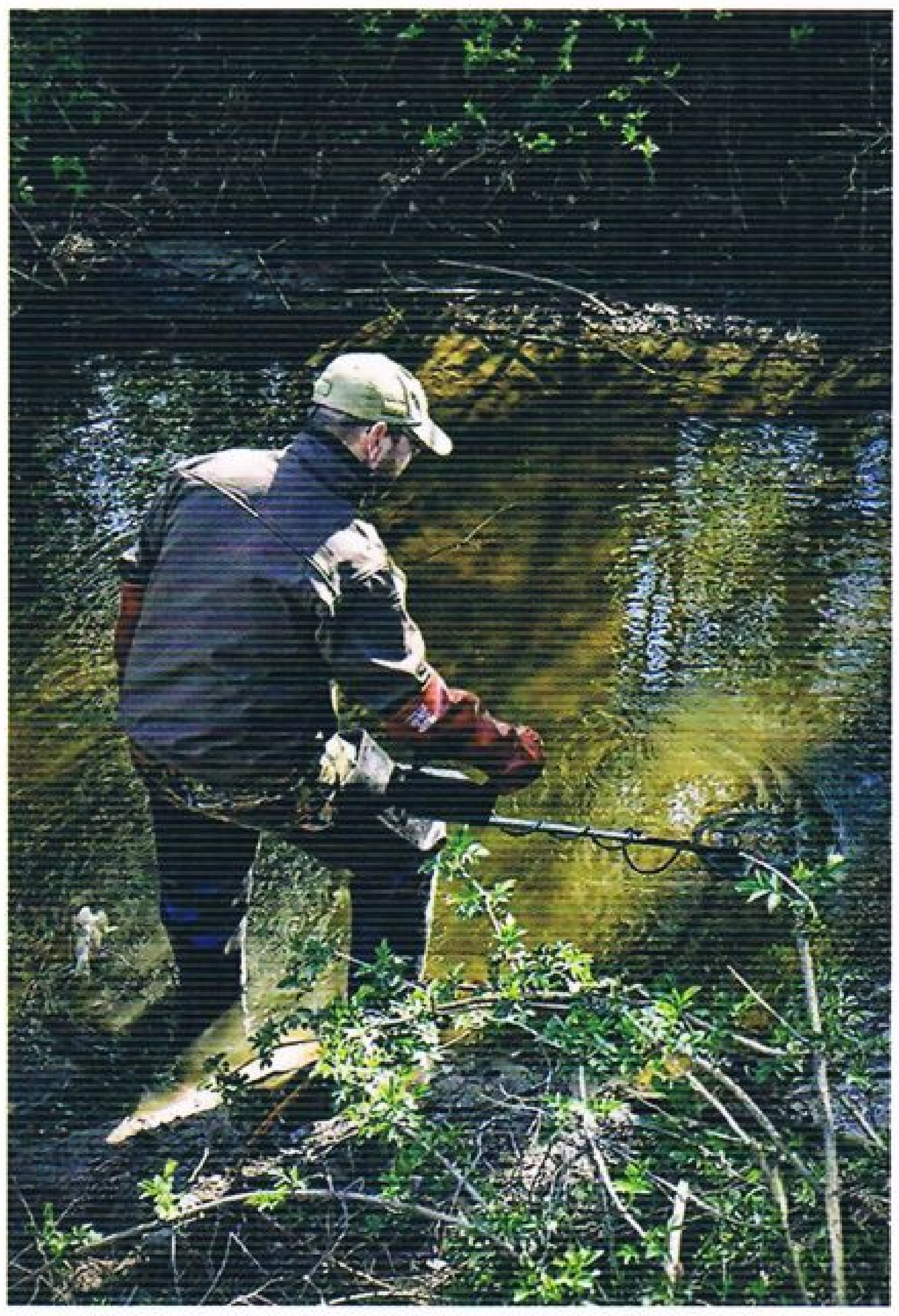

Niezawodny HS-3 „Smętek" w akcji. Ciek wodny przy grobli falenckiej. Miejsce krwawych walk w 1809 roku.

Z ich wiedzy nie wynikało jednak, by na tym terenie „wychodziły" w jakiś szczególny sposób zabytki związane z bitwą z 1809 roku. Należało zatem przesłanki historyczne zweryfikować w terenie.

Bitwa została stoczona w czasie wojny z Austrią w trakcie wojen napoleońskich 19 kwietnia 1809 roku. Stronę polską dowodzoną przez księcia Józefa Poniatowskiego wspierała sojusznicza armia saska. Korpusem wojsk austriackich dowodził arcyksiążę Ferdynand Karol d'Este. Bitwa była taktycznie nierozstrzygnięta, jednak zapoczątkowała kampanię, której efektem było m.in. dwukrotne powiększenie obszaru Księstwa Warszawskiego i zwiększenie polskiej siły zbrojnej z 14 do 60 tys. w niecałe trzy miesiące. Zanim to się stało, nad Pilicą stacjonowały znaczne siły austriackie: 28 tys. bagnetów i szabel w 23 batalionach i 34 szwadronach z 94 działami. Wojska Polskie były o wiele skromniejsze, liczyły bowiem ok. 14 tys. żołnierzy.

Atak rozpoczęli 19 kwietnia rano. Bitwa była zażarta; w jej trakcie Austriacy, którzy mieli w marszu wziąć stolicę, ponieśli dwa razy większe straty niż Polacy, stracili 800 żołnierzy, 1600 odniosło ciężkie rany. Walki toczyły się m.in. wokół miejscowości Falenty i przy dwóch kluczowych groblach: raszyńskiej i falenckiej.

Kartacze na grobli

Poszukiwania na rozległych polach nie przyniosły efektu. Duża część obszaru badań zmieniła strukturę i „nowa" ziemia (śmietnik i warstwy nawozowe Instytutu...) zamaskowały być może to, co głębiej. Oczywiście odnaleźliśmy różnego rodzaju zabytki, jak monety (XVIII, XIX czy XX-wieczne), dewocjonalia, guziki wojskowe z wszystkich możliwych okresów (poza Księstwem Warszawskim!), także psie numerki, tabliczki znamionowe, sztućce i to, co zazwyczaj odnajdują poszukiwacze, ale większość jakby poza kontekstem badań. Dlatego zdecydowaliśmy się ruszyć w trudny, niedostępny, zalesiony i wykorzystywany niestety jako lokalny śmietnik teren legendarnej grobli falenckiej, która miała być miejscem ciężkich walk i ostrzału artyleryjskiego. Każdy z poszukiwaczy otrzymał tzw. niezbędnik: metryczki, torebki strunowe, GPS, długopis – to konieczne, aby z pozyskanych zabytków móc na etapie wniosków badawczych wyciągnąć informacje. – *Same zabytki są ważne, ale ich miejsce znalezienia, ułożenie na mapie znalezisk, mogą pokazać fragment bitwy, usytuowanie wojsk, a następnie dopiero rodzaj używanej broni czy noszonych emblematów wojskowych* – mówiła nam tuż przed poszukiwaniami Joanna Borowska, archeolog, która pełni nadzór archeologiczny nad całością inicjatywy. Tak też robiliśmy. Grobla oczywiście nosiła ślady po wcześniejszych poszukiwaniach, jednak nie była całkowicie spenetrowana, ponieważ zabytki nas interesujące, nie przyciągają (na szczęście) większości detektorystów, a ci (również na szczęście dla nas) zniechęcają się olbrzymią ilością współczesnych śmieci. Być może tylko dlatego zlokalizowaliśmy na grobli kule kartaczowe potwierdzające ostrzał grobli kanonadą artyleryjską, kule karabinowe (dowód wejścia w kontakt na bliższą odległość wojsk piechoty). Różnorodność ołowianych kul jest już przedmiotem analizy fachowców.

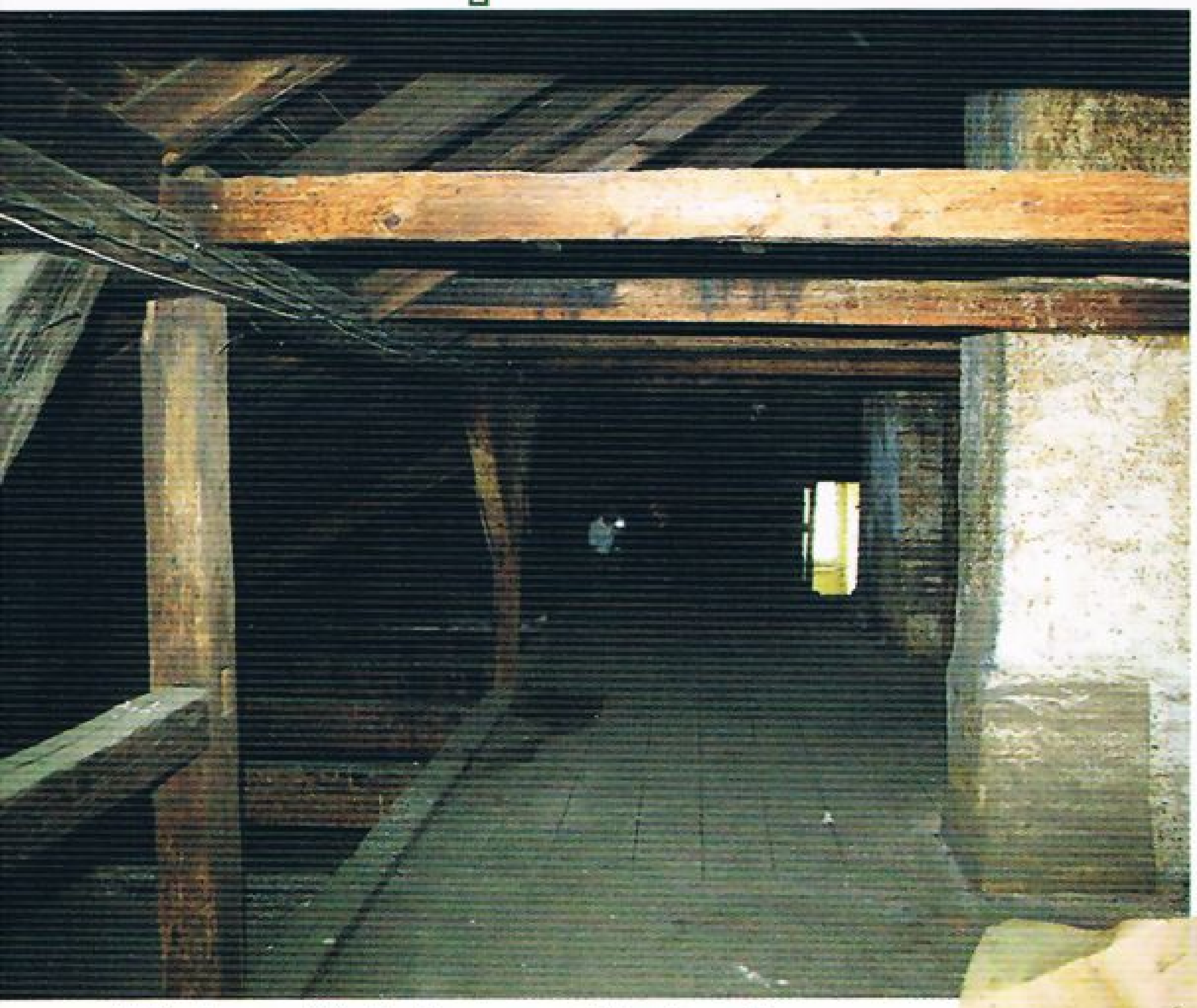

Większość dokumentów/rachunków znalezionych na strychu jest spersonalizowana i podpisana przez hrabiowską rodzinę Przeździeckich, dawnych właścicieli pałacu.

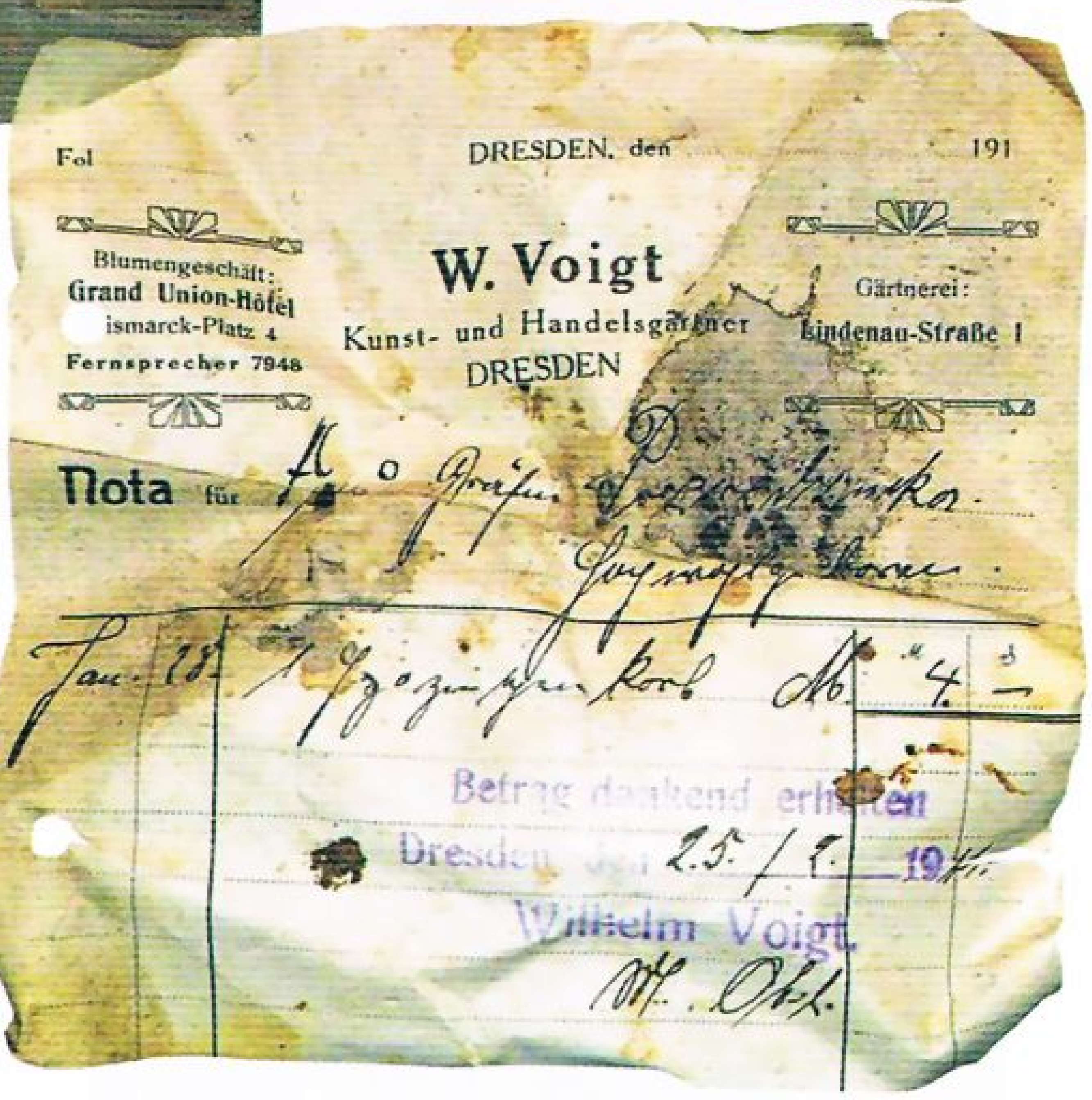
Fol DRESDEN, den 191
Blumengeschäft: Grand Union-Hôtel ismarck-Platz 4 Fernsprecher 7948
W. Voigt
Kunst- und Handelsgärtner
DRESDEN
Gärtnerei: Lindenau-Straße 1
Nota für
Dresden, den 25/1 194
Wilhelm Voigt

Tu znowu zaczyna się coś pionierskiego… Zbierając tzw. muszkietówki, większość poszukiwaczy wrzuca je do jednego worka. A co z typologią, która pozwoli nam na szczegóły: kto i z czego strzelał, i czy w ogóle kula została wystrzelona, jak była wcześniej odlana i w co uderzyła, ewentualnie z jaką prędkością. Tak, to wszystko jest możliwe do udowodnienia, co dobitnie pokazał archeolog Wojciech Krajewski w opublikowanej w tym roku analizie kul karabinowych odnalezionych na Olszynce Grochowskiej i Reducie Ordona. Przy grobli odnaleźliśmy pomnik pomordowanych przez Niemców w Falentach w czasie II wojny światowej. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że nasza napoleońska droga zmierza nieuchronnie w stronę zupełnie innej epoki…

Grobla, podzielona na sektory, została przeszukana, chociaż nie można tego nazwać „sterylizacją saperską". Ta metodyka na „All metal"– zapewne wskazana – nie pozwoliłaby nam na wyjście z grobli przez rok. Tak więc wrócimy tam bez wątpienia z nowymi siłami. Zwłaszcza, że do naszych badań dołączyła w czerwcu dr Monika Wilde-Piórko ze studentami z Zakładu Fizyki Litosfery z Instytutu Geofizyki Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Geofizycy testowali wysokiej generacji magnetometr protonowy i program do jego obsługi. Wycinkowe pomiary dały nam informacje o głęboko zalegających dużych obiektach metalowych. Po zakończeniu prac naukowców i rozszerzeniu terminu oraz zasięgu badań na założenie sondażowych wykopów archeologicznych, sprawdzimy czy zwłaszcza jeden, głęboki podłużny kształt w miejscu ostrzeliwanej artylerii to armata, czy zupełnie coś innego. Nasze zabytki po badaniach trafią do Izby Pamięci w pałacu w Falentach, którą opiekuje się Waldemar Zubek, rekonstruktor historyczny okresu Księstwa Warszawskiego. Armata pasowałaby tu idealnie…

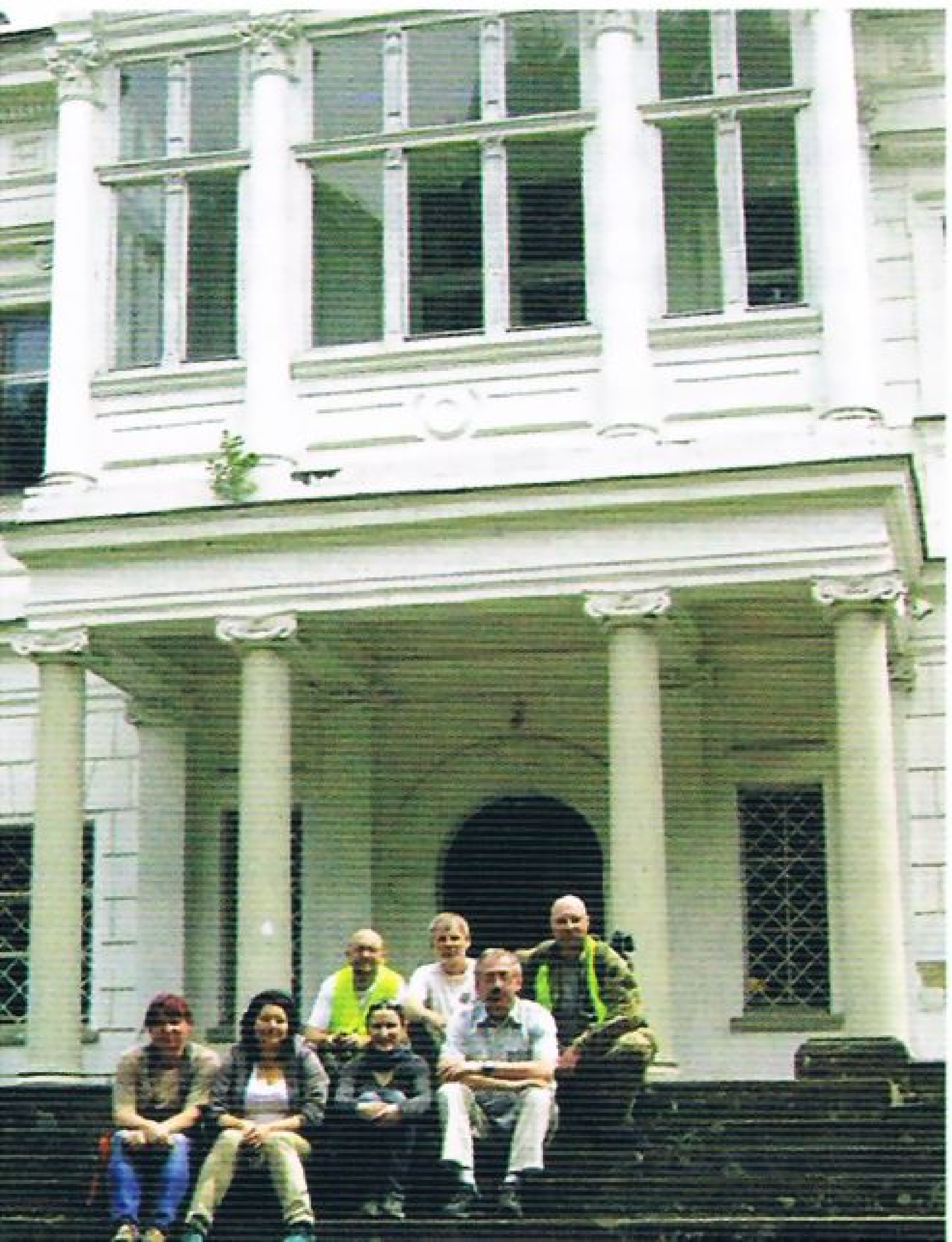

Ekipa z 6 czerwca, dnia „odkrycia" strychu… Od lewej: Joanna Borowska (archeolog), Anna Straszyńska (Kolekcjonerzy Czasu), Patrycja Grądziel-Jakubowska (MSHE), dyrektor Wiesław Dembek (Instytut), Od lewej na górze: Andrzej Praga (MSHE), Jarek Jakubowski (MSHE), Marcin Dudek (MSHE).

Pieczęć dominialna pod pałacem

Każdy z Was szuka zapewne miejsc, gdzie nie było wcześniej poszukiwaczy. My także. Takim miał okazać się pałac w Falentach, miejsce wchodzące w teren działań wojennych z 1809 r., a przede wszystkim cudowny i niespodziewanie mało znany zabytek nieruchomy z początku XVII w. otoczony przypałacowym parkiem, z ukrytą w głębi XIX-wieczną oranżerią połączoną z bramą z wieżyczkami jak z bajki. Wczesnobarokowy pałac zbudowany został ok. 1620 r. przez Zygmunta Opackiego, podkomorzego warszawskiego. Jest otoczony parkiem krajobrazowym z dużą ilością stawów hodowlanych. W pałacu gościli m.in. królowie Zygmunt III i Władysław IV jak również w 1646 r. królowa Ludwika Maria Gonzaga. Jak to zwykle bywa, przynajmniej na Mazowszu, pałac uległ zniszczeniu podczas potopu szwedzkiego. Odnowiono go w 1717 r. i znowu przewinęła się przez sale balowe cała śmietanka ówczesnej Rzeczpospolitej, jak chociażby sam król Stanisław Poniatowski. W 1839 r. powstaje drugi gmach, również piękny, oranżeria. W 1845 r. posiadłość trafiła w ręce Marii z Tyzenhauzów hr. Przeździeckiej i hr. Aleksandra Przeździeckiego. W posiadaniu tej rodziny pałac pozostał aż do wybuchu II wojny światowej. Następnie stał się siedzibą i miejscem wypoczynku dla Gestapo i żołnierzy SS.

W 1945 r. pałac przejęty został przez Skarb Państwa. Urządzono w nim Instytut Technologiczno-Przyrodniczy, dzięki którego życzliwości możemy prowadzić swoje poszukiwania, zaglądać do zakamarków pałacowych i odpoczywać

Piękna pałacowa pieczęć dominialna z XIX wieku...

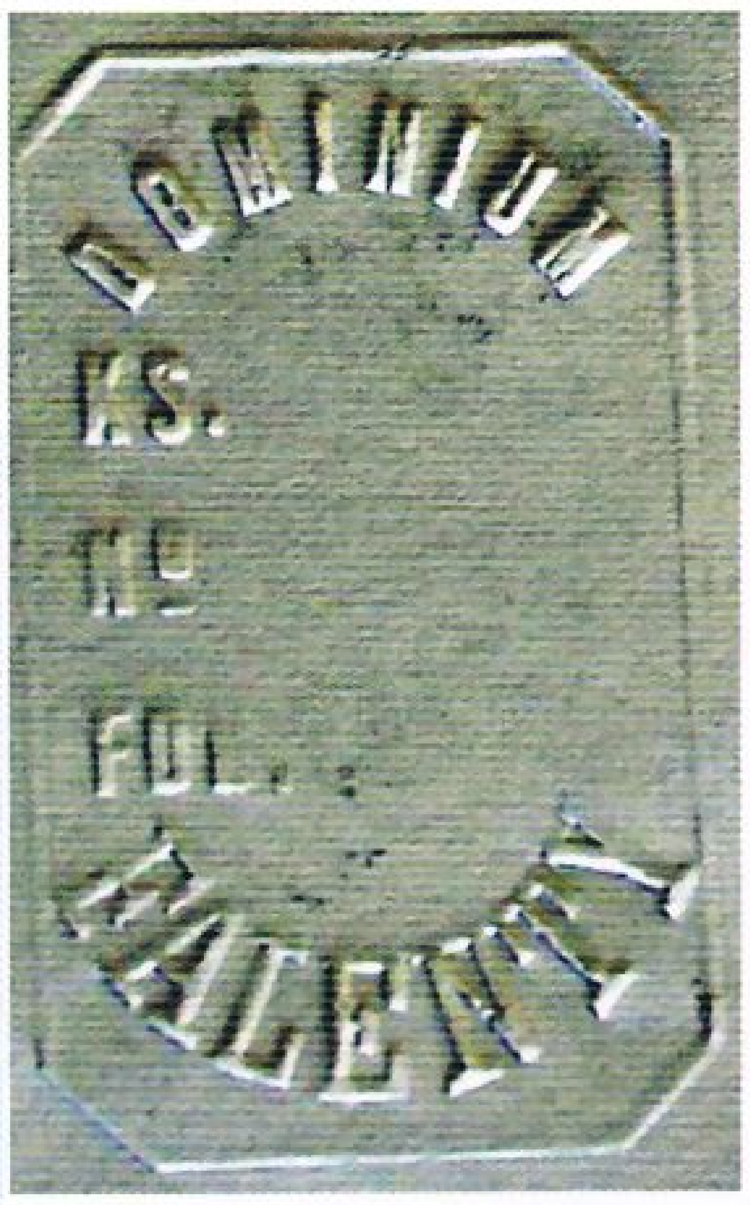

... Z umieszczonym na tłoku napisem: *„DOMINIUM FALENTY"*.

Miejsce odnalezienia pieczęci dominialnej. Od lewej Jarek Jakuowski (MSHE), Waldemar Zubek (Stowarzyszenie Projekt Raszyn 1809), Robert Wit Wyrostkiewicz (MSHE)

w miejscu, gdzie czas się zatrzymał... Do niektórych pomieszczeń pałacowych zdaje się, że nikt od lat nie zaglądał. Na nasze szczęście...

Zaczynamy poszukiwania od przypałacowego trawnika i parku. Niewiele śmieci po spacerowiczach. Jednak na śmietnik innego rodzaju nie można było narzekać. Prawdopodobnie gigantyczne warstwy miału z pałacowych pieców zmieszane z przedmiotami głównie z okresu PRL, ale także wszystkim co wydawało się niepotrzebne, trafiły na tyły posiadłości i zostały tam rozparcelowane, a następnie przykryte trawą. Stąd w pierwszym zasypisku śmieciowym obok siebie można było odnaleźć elementy zdobnych kafli, okuć, pałacowych klamek, przemieszane z wodnikiem do MG-08 lub MG08/15 czy niemieckim hełmem, wanienką dziecięca z II RP i dużą ilością starych butelek, a zwłaszcza z rzuconą w tym całym miszmaszu przepiękną pałacową pieczęcią z XIX wieku. Właściwie jej uroda wyszła dopiero po konserwacji, a jak wiecie, żeliwo nie jest wdzięcznym materiałem do czyszczenia, w odróżnieniu od stali czy żelaza. Jednak, udało się. Na żeliwnym ramieniu umieszczony jest widoczny teraz kaduceusz opleciony dwoma wężami. Laska kaduceusz jest symbolem boga Hermesa – patrona kupców i handlu. Sam tłok pieczętny wykonany jest z mosiądzu i służył do wykonywania suchych pieczęci. Napis na tłoku *„DOMINIUM FALENTY"* wspaniale łączy się z miejscem znalezienia zabytku – pałacowym parkiem. Pieczęcią posługiwał się prawdopodobnie zarządca Dominium. Dodatkowe symbole umieszczone na pieczęci: *„Ks, Nr, Fol"* sugerują konkretne zastosowanie pieczęci do jakichś ściśle określonych czynności związanych z folwarkami podlegającymi pod włości hrabiowskie. Kolejne przedmioty czekają na konserwację i opis. Szczerze mówiąc, jeśli ktoś zna analogiczną, podobną i już zidentyfikowaną dokładnie pieczęć, będziemy wdzięczni za taką wiedzę i pomoc!

Identyfikator z getta

Zabytkiem, który niepozornie wyglądał, a przykuł uwagę zarówno Telewizji Polskiej jak i instytucji żydowskich okazał się mały, okrągły identyfikator fabryczny z warszawskiego getta. O jego rzadkości świadczy fakt trudności ze znalezieniem materiału porównawczego. Jak dotąd,

Okrągły identyfikator fabryczny z warszawskiego getta.

nie natrafiliśmy w przepastnych zasobach internetu, a przede wszystkim w literaturze, na podobny przedmiot z przypisanym kontekstem i opisem.

Na szczęście aluminiowa „blaszka" sama w sobie zawiera już dość precyzyjny „ID" w postaci napisu *„Die Betrabsstätten im Jud. Wohnbezirk Warschau. Werk 3 0280"* (Zakłady w Żyd. Dzielnicy Mieszkaniowej Warszawa. Zakład 3 0280). 0280 może być numerem spersonalizowanym, i to być może najciekawsza i najbardziej intrygująca wiadomość.

Relacjonując odkrycie portal Wirtualny Sztetl poinformował, że: *„Podczas drugiej wojny światowej majątek w Falentach służył jako ośrodek zaopatrzenia i wypoczynku dla funkcjonariuszy gestapo. W tym celu utworzono obóz pracy przymusowej, w którym pracowali m.in. Żydzi z getta w Warszawie. Na groblach pobliskich stawów hodowlanych Niemcy rozstrzeliwali więźniów Pawiaka. Niewiele jednak wiadomo o tożsamości ofiar. Niewykluczone, że wśród nich byli także Żydzi"*. Autor wpisu, Krzysztof Bielawski z Muzeum Żydów Polskich, dodał, że MSHE czeka na wszelkie informacje dotyczące Żydów w Falentach, a wpis Wirtualnego Sztetlu został przetłumaczony na język angielski i hebrajski.

Po odkryciu identyfikatora niemal natychmiast otrzymaliśmy miłe pismo z Żydowskiego Instytutu Historycznego, który poinformował nas, że „blaszka identyfikacyjna" należała *„zapewne do pracownika któregoś z zakładów z terenu getta warszawskiego"*.

„W Falentach w 1940 r., była placówka (tj. miejsce pracy poza gettem) SS i policji, która zatrudniała dziennie przeciętnie 16 osób. Z kolei z napisu na blaszce wynika,

że siedziba zakładu była w getcie warszawskim. (…) istnieje szansa, że uda nam się zidentyfikować wspomniany zakład, a może osobę, która tę blaszkę nosiła" – napisała dr Eleonora Bergman z ŻIH w piśmie do MSHE. *„Trzeba tu dodać, że znalezisko to przyczynia się do uzupełniania naszej wiedzy o systemie zatrudniania więźniów getta. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyśmy ten przedmiot mogli przebadać gruntownie i zwracamy się z uprzejma prośbą o wypożyczenie, albo nawet przekazanie do zbiorów Instytutu"* – dodała dr Bergman.

I to tak naprawdę cel naszych poszukiwań. Odnaleźć przedmiot, zabytek, a wraz z nim historię, za którą kryją się ludzie, sytuacje… A przedmiot? Najlepiej by on także stał się tematem szerszych badań, ekspozycji muzealnych, aby znalazł lepsze miejsce niż zakamarki jakiś tam szuflad…

Zapomniane cele więzienne

Podczas badań i rozważań nad blaszką z warszawskiego getta odwiedził nas były burmistrz Falent, który stwierdził, że niektórzy mieszkańcy wspominali, iż w piwnicach pałacu był areszt podręczny Gestapo lub SS, mało jednak na ten temat wiadomo. Zapytany przez nas o sprawę wicedyrektor Instytutu Wiesław Dembek potwierdził, że są pomieszczenia, które warto sprawdzić pod tym kątem. Zabieramy z administracji klucze do piwnic, ale też strychów, oranżerii i pałacowych zakamarków.

Odnaleziony w pierwszym zasypisku śmieciowym wodnik do MG08 lub MG08 15.

Środkowa piwnica, a właściwie wejście do niej ukryte jest w… toalecie. Współczesna glazura, umywalki, drzwi, a po ich otwarciu, surowa cegła, łuki na sklepieniu, zapach wilgoci, długie mroczne korytarze i dwa, widać wtórnie dobudowane pomieszczenia z osadzonymi okienkami z kratami. Ewidentne cele! Pod tynkiem położonym na cegłach, niestety w PRL „rzucono" zaprawę. Prawdopodobnie pod nią kryją się napisy martyrologiczne więźniów.

Mamy więc dwa wątki. Identyfikator z getta warszawskiego i dwie cele w siedzibie Gestapo i SS. Ruszamy z tym do IPN.

Tam odnajdujemy dokumenty o egzekucjach w Falentach, ekshumacjach, długą listę oficerów i szeregowców SS przebywających w posiadłości oraz informację, że przewożony tu „do tzw. lodowni" więźniów z Pawiaka. Historycy nigdy tego tematu nie zbadali.

Lodownia prawdopodobnie była składowiskiem lodu konserwującego latem produkty spożywcze. Tafle lodu znajdowały się być może w piwnicach. Tu natrafiliśmy na cele… Wśród odnalezionych przez nas dokumentów (głównie z 1947 r.) brakuje informacji o ekshumacjach niemal 200 osób zabitych w okolicach pałacu. Być może przed nami jeszcze jakieś mroczne odkrycie… Można się wszystkiego spodziewać. Tym razem jednak na okres zimowy planujemy odłożyć wykrywacze i ruszyć od domu do domu, na rozmowy z leciwymi mieszkańcami. To niezastąpione źródło wiedzy! A piwnice – tak na zakończenie – to także zerwana posadzka i goła ziemia… Niebawem mamy spotkanie z konserwatorem zabytków dotyczące znacznego rozszerzenia naszych badań. Jesteśmy dobrej myśli!

Strych i kapsuła czasu

Wejście na pałacowy strych – niestety – na pierwszy rzut oka nie powaliło nas na kolana. Jednak towarzyszący nam m.in. pracownik Instytutu rzucił od niechcenia: *„Tu nic nie znajdziecie. Walało się tylko trochę rachunków hrabiego za wynajem karety i takie tam…"*. Aaa, jak tak, to zaglądamy więc pod każdą deskę. W każdy zakamarek. Nos Jarka Jakubowskiego okazał się jak zwykle najlepszy… Jego opis na profilu społecznościowym najlepiej oddaje to, co już pierwszego dnia odkryliśmy na strychu:

„Dzisiaj prowadząc dalsze badania pałacu w Falentach MSHE otworzyło prawdziwą kapsułę czasu. Co jadał na obiady hrabia Przeździecki? Ile kapusty dostarczył do Hal Mirowskich w lipcu 1903 roku? Dla kogo był bukiet kwiatów za 4 Reichsmarki kupiony 25 lutego 1911 r. w Dreźnie w kwiaciarni hotelowej Grand Union Hotel? Czemu będąc w Monte Carlo zamówił dużą ilość sardynek? Ile kosztowały roboty stolarskie wykonane w pałacu 8 lipca 1907 r. przez firmę Zakład Artystyczno-Stolarski Barański Bączek z Warszawy, Krucza 11? Czy po froterki do podłóg trzeba było jeździć na zakupy aż do Berlina? Czy antyki kupione w 1899 r. w Dreźnie trafiły do pałacu w Falentach? Jak wyglądał plan architektoniczny pałacu w 1892 roku? Na te i wiele innych pytań znamy już odpowiedź. Wystarczyło się wczołgać między strychową podłogę a strop najwyższej kondygnacji, gdzie leżą setki dokumentów wymieszanych z gruzem, piaskiem i śmieciami. Dzięki lenistwu osób porządkujących strych wiele lat temu wszystkie te przedmioty zostały upchnięte pod strychową podłogę".

Dlaczego pomimo świetnych dokumentów, rachunków, map, gazet z przełomu wieków, listów tylko część została wyeksplorowana? Dlatego, że te leżały na krawędzi. Resztę, w maskach pyłowych, będziemy niemal archeologicznie wydobywać i konserwować walcząc z pokusą, by ze zbitki gruzu nie wyciągać kawałków papieru zbyt szybko, i nie rozprostowywać wszystkiego naprędce… Całość można przejrzeć w godzinę. Aby uniknąć zniszczeń, przygotowujemy to ze specjalistami, co potrwa zapewne kilka dni. Oczywiście, marzy się nam jakiś dokument starszy… najlepiej z okresu Bitwy Raszyńskiej. Tymczasem odkryliśmy nad schodami jeszcze jedno zasypisko, w szczelinie o dużej kubaturze i głębokości ok. 3 metrów pod poziomem podłogi strychu. Przed nami liny alpinistyczne, wiaderka, sito i kolejny tydzień prac. Jeśli sprzątano „rachunki za karety" wrzucając je do niewidocznych nisz czy pod podłogę, to być może namierzyliśmy strychową kapsułę czasu numer 2. Pozostają jeszcze wieże pałacowe i miejsca, gdzie jakby nie patrzeć, powinny znajdować się zamurowane pomieszczenia…

ZDJĘCIA: JOANNA BOROWSKA, ANNA STRASZYŃSKA, PRZEMYSŁAW KORGUL, KOLEKCJONERZY CZASU, MSHE

Robert Wit Wyrostkiewicz
Poszukiwacz, redaktor naczelny serwisu Archeolog.pl, dziennikarz, współzałożyciel Komitetu Zachowania Reduty Ordona, prezes Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl", uczestnik wielu badań archeologicznych i poszukiwawczych w Polsce i zagranicą. Darczyńca wielu muzeów państwowych i prywatnych.

BARCINEK – zapomniana wieś chorych oficerów

SZYMON WRZESIŃSKI

Na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej, niewielką wioskę pod Jelenią Górą – zwaną wówczas Berthelsdorf – przewidziano na uzdrowisko dla niemieckich żołnierzy. Leczniczy charakter tej podgórskiej miejscowości pozostał również po zakończeniu zmagań militarnych, kiedy na szczeblach najwyższych władz państwowych Rzeczypospolitej Polskiej zapadła decyzja, że wieś nadal będzie przyjmować oficerów i polityków. Pojawił się nawet pomysł, by utworzyć tutaj letnią rezydencję Bolesława Bieruta…

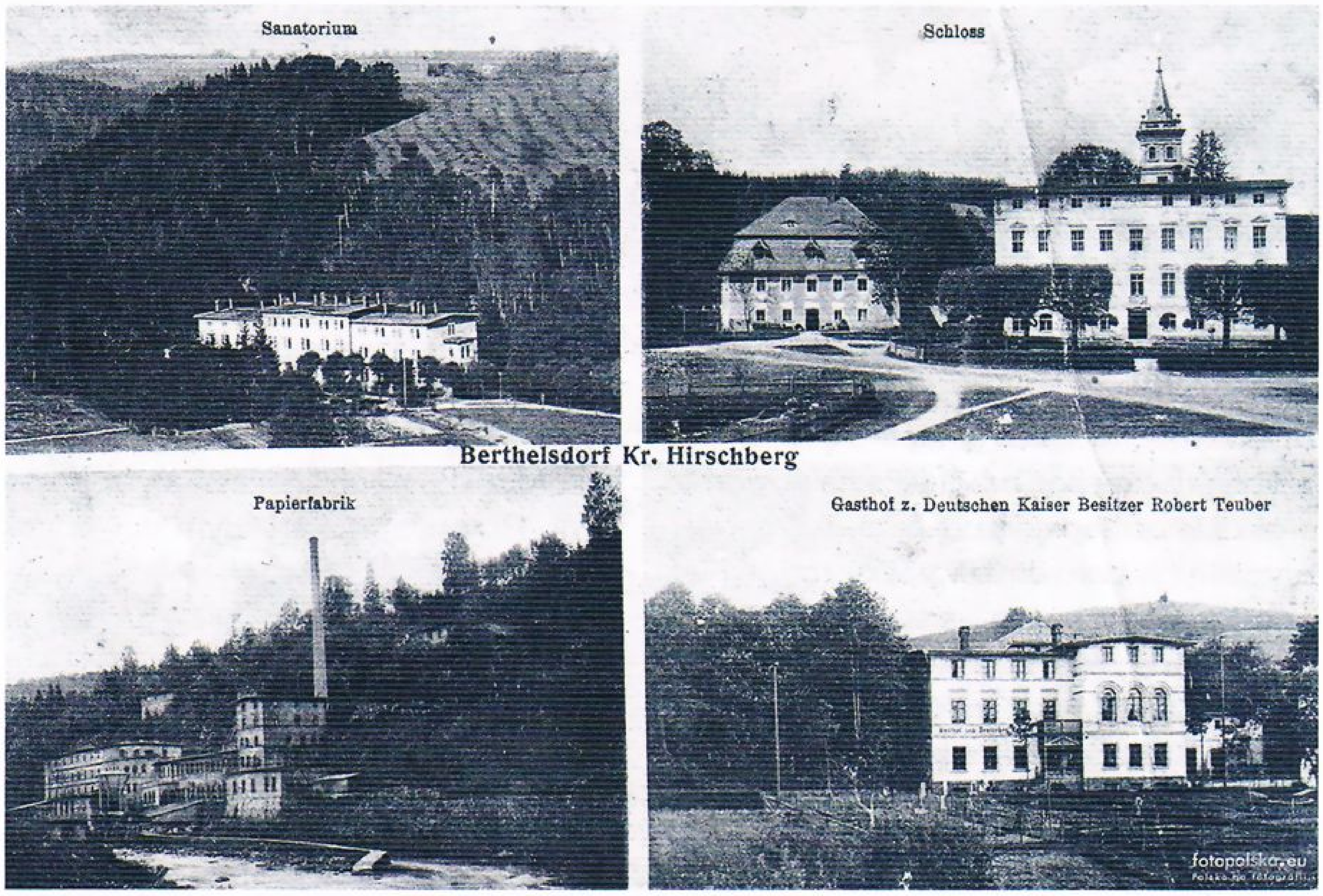

Berthelsdorf w 1911 roku. Sanatorium, pałac, fabryka papieru oraz zajazd. Źródło: www.fotopolska.eu

Powstanie pałacu

Najstarsze dzieje Berthelsdorf, powstałego w drugiej połowie XIII stulecia, początkowo związane były z kasztelanią w Starej Kamienicy. Osada służebna straciła swój charakter dopiero po przejściu w ręce rodu von Zedlitz. Do dzisiaj na murach zewnętrznych kościółka zachował się zespół kamiennych płyt nagrobnych z drugiej połowy XVI wieku. Najcenniejszą z nich jest epitafium rycerza Hansa von Zedlitz (zm. 1577 r.) oraz całopostaciowa płyta nagrobna jego małżonki, Urszuli z domu Falkenhain (zm. 1574 r.). Przedstawiciel tej właśnie rodziny wzniósł nad Kamienicą niewielki dwór. Dowodzi tego zachowana w murze okalającym założenie, kamienna arkada bramy z datą „1565" oraz renesansowe obramienie okienne w przyziemiu ruin dawnej rezydencji.

W czasach rozprzestrzeniającej się reformacji osada stała się silnym ośrodkiem protestanckim. Wyrażało się to zarówno przyjęciem nowego wyznania przez większość mieszkańców, jak i częstymi odwiedzinami ludowych kaznodziejów. Lata 1588-1589 to czas wielkich protestów, skierowanych przeciwko właścicielom wielu okolicznych wsi, których przyczyn należy upatrywać w wieloletnim wyzysku i ucisku poddanych. Setki uzbrojonych chłopów niszczyło i plądrowało okoliczne majątki, przez pewien czas stawiając opór nawet wojskom cesarskim. Dopiero obietnice cesarza Rudolfa II dotyczące obniżenia pańszczyzny i innych nakładanych przez lata ciężarów, przekonały zbuntowanych chłopów do zakończenia walki i powrotu do swych domów. Do ponownych wystąpień ludowych doszło w 1637 roku, kiedy to miejscowi chłopi odmówili płacenia podatków, z racji wieloletnich rewizji i konfiskat ich dóbr przez rozmaite wojska w okresie trwającej wówczas wojny 30-letniej.

Na przełomie XVII i XVIII stulecia Berthelsdorf posiadała rodzina von Nostitz, a następnie von Schaffgotsch. W 1737 roku właścicielem wsi był baron von Richthofen. Z kolei dekadę później na dokumentach zaczął figurować kolejny dziedzic – jeleniogórski kupiec Smith. Wdowa po nim sprzedała Barcinek zamożnemu posiadaczowi licznych dóbr ziemskich, hrabiemu Karlowi Sigismundowi von Rothkirch, którego małżonką była Charlotte Elizabeth von Paczensky. Zasługą rodziny von Rothkirch była przebudowa renesansowego dworu. W 1772 roku stara rezydencja została pozbawiona wysokiego dachu, a następnie nieznacznie podwyższona. O wydarzeniu tym informowała, niezachowana dzisiaj, kamienna tablica z kartuszem herbowym i datą.[1]

Izerskie Davos

Od lat 80. XVIII stulecia, poza dochodami z uprawy roli i hodowli kilkuset owiec, właściciele Barcinka zaczęli coraz bardziej wspierać lokalnych rzemieślników, chałupników oraz handlarzy. Jednak dopiero początek kolejnego stulecia stał się wyznacznikiem istotnego rozwoju gospodarczego wsi. Poza sporym folwarkiem funkcjonowały tam dwa młyny wodne z czterema kołami, trzy garbarnie, dwa młyny do mielenia kory dębowej, olejarnia, folusz (budynek, w którym zajmowano się obróbką, czyli folowaniem, sukna), cegielnia i wiele innych drobnych zakładów, które zapewniały miejscowej ludności niemal zupełną samodzielność. Kolejnym krokiem było wzniesienie tartaku, fabryki maszyn z odlewnią oraz wytwórni papieru należącej do spółki Schubert & Co.

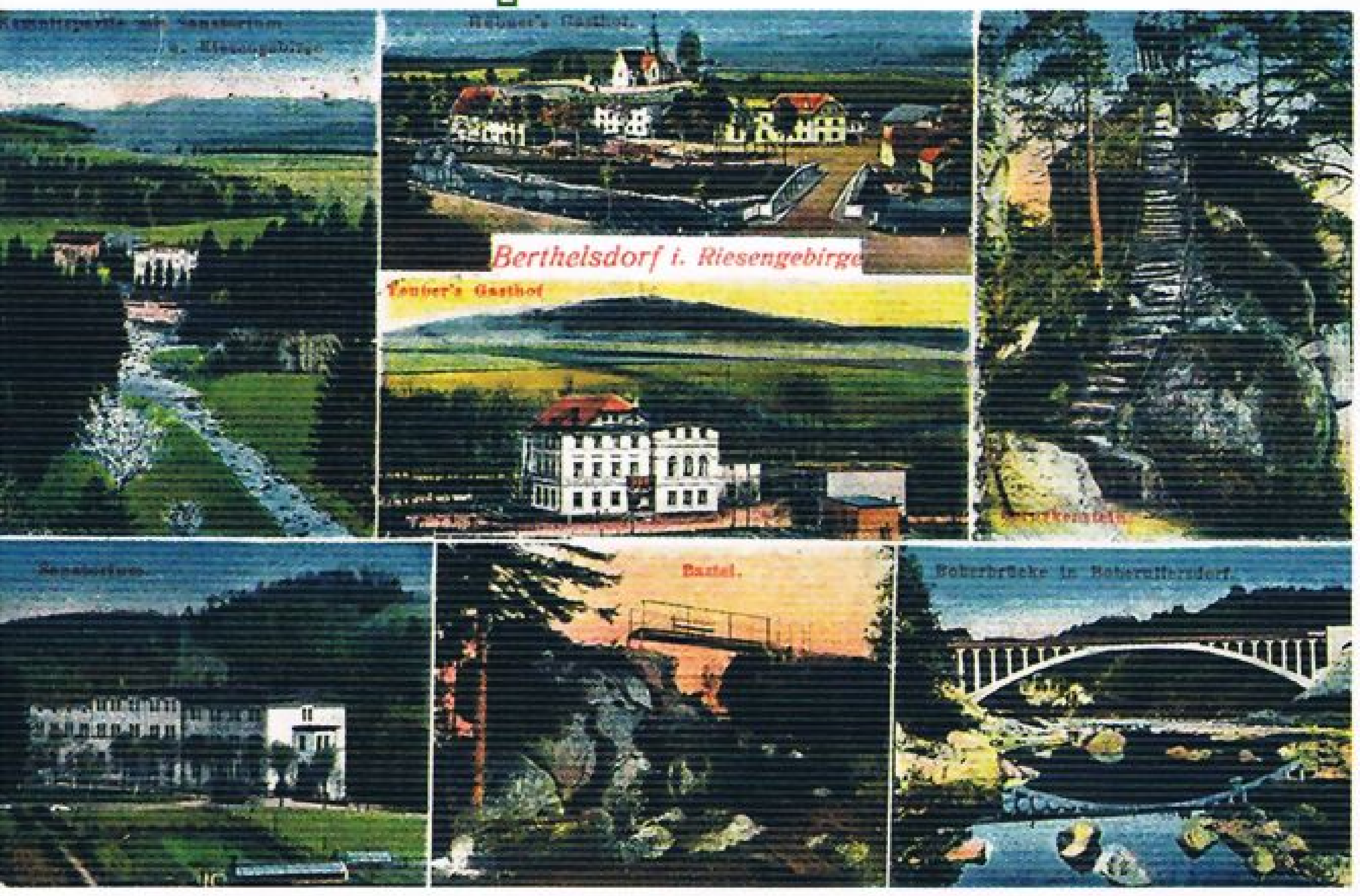

Archiwalny, kolorowy „folder" turystyczny, czyli co warto zobaczyć w Berthelsdorf. Źródło: www.snip-view.com

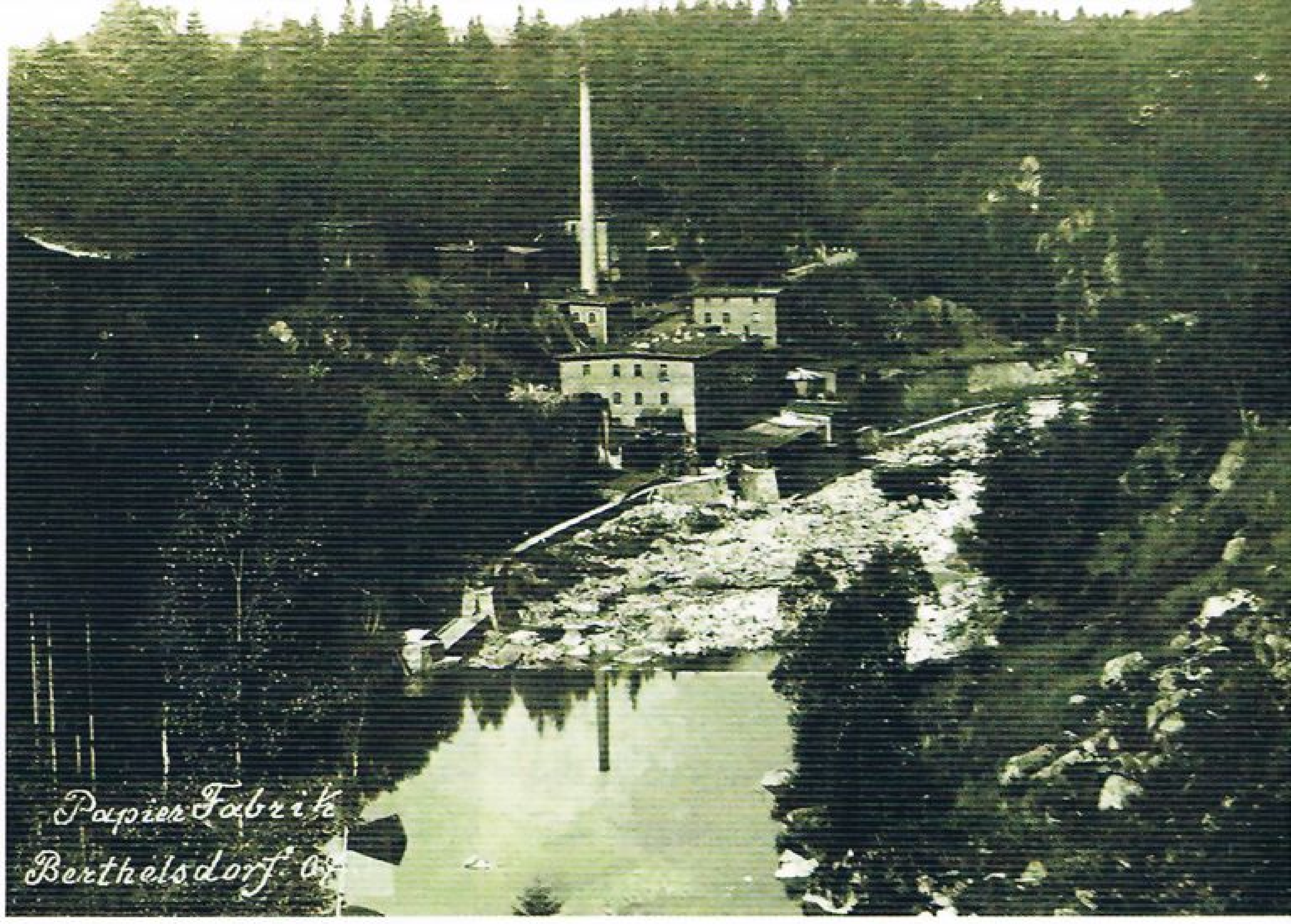

Starszy zakład wyrobu papieru – rok 1900. Obecnie zostały jedynie fundamenty. Źródło: www.fotopolska.eu

Sprawnie zarządzana, stale się rozwijała, osiągając roczną produkcję na poziomie ok. 5 tys. ton papieru.

Druga połowa XIX wieku to również historia pojawienia się we wsi szwajcarskiego obywatela Richarda Brewhausa, który osiadł tu ze względu na majątek jego żony. Po stwierdzeniu, że tutejszy mikroklimat ma pewne analogie z modnym wówczas szwajcarskim Davos i korzystnie wpływa na zdrowie, w 1887 roku w dolnej części wsi wzniósł zakład zdrojowy. Miejsce to szybko zyskało renomę, z powodu bogatej, jak na ówczesne czasy, oferty specjalistycznych zabiegów, sprzyjający klimat, skuteczność wodolecznictwa oraz zastosowanie nowoczesnych urządzeń. Obiekt posiadał 50 dużych pokoi, salę jadalną, salę bilardową oraz czytelnie z balkonami, osobne dla kobiet i mężczyzn.[2]

Popularność Barcinka stale rosła i to nie tylko z powodu zakładu. Rozwijająca się ówcześnie turystyka doprowadziła w 1880 roku do powołania we wsi oddziału Towarzystwa Karkonoskiego (Riesengebirgsverein, RGV), który zachęcał do odwiedzenia malowniczej okolicy. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać kolejne zajazdy z miejscami noclegowymi. Niestety, zakończenie działalności miejscowej grupy RGV (1930 r.) oraz przekształcenie zakładu zdrojowego w sanatorium-ośrodek wypoczynkowy dla oficerów Luftwaffe (1935 r.), doprowadziło do odpływu turystów. Dzięki zachowanej książce adresowej powiatu jeleniogórskiego (Adressbuch für den Kreis Hirschberg) – wiadomo, że w 1937 roku kierownikiem całego zakładu był dr Ernst Berger, zamieszkały w posesji nr 43. Innym materialnym dowodem wieloletniego zaangażowania tejże rodziny na rzecz miejscowego sanatorium, jest wielki grobowiec rodzinny, położony na cmentarzu w Barcinku.

Tajna produkcja

W okresie II wojny światowej w Berthelsdorf w miejscowych zakładach zatrudniano wielu robotników przymusowych, w tym Polaków. Według ustaleń Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, pod koniec 1944 roku we wsi ulokowano również dwa oddziały robocze jeńców o nie ustalonej narodowości, podległe Stalagowi VIIIA z siedzibą w Görlitz. Wiadomo, iż komando nr 351 zatrudnione było w położonej w centrum wsi fabryce maszyn Kurta Fliegera, przy której działała odlewnia detali z żeliwa. Zdaniem dawnego mieszkańca Berthelsdorf, Oswalda Hilgera, powstałe produkty wysyłane były m.in. do zakładów „Füllner" w Bad Warmbrunn (ob. Cieplice) i „Raupach" w Görlitz. Udało się ustalić, że jednym z inżynierów pracujących w fabryce maszyn pod koniec lat 30. XX wieku, był Herbert Hübner, który później został powołany do pracy w zakładach lotniczych firmy Junkers. Z kolei kierowcą w firmie „Flieger" był, zamieszkały we wsi, August Latzke.[3] Pod koniec wojny fabryka odgórnie została przestawiona na produkcję zbrojeniową, a skromnymi pamiątkami po wykonywaniu poszczególnych zamówień, są odnajdowane do dziś rozmaite detale, np. duże koła zębate.

Sanatorium Chorób Płuc w Korczakowie, późniejszym Barcinku. Źródło: www.fotopolska.eu

Znacznie więcej tajemnic usłyszymy z ust okolicznych mieszkańców. Część z nich przekonana jest, że podczas wojny w Barcinku miał funkcjonować podziemny lazaret. Nie brakuje też opowieści, iż w miejscu pierwszej (czytaj: starszej) fabryki papieru miano wytwarzać torpedy bądź miniaturowe okręty podwodne! Gotowe produkty testowano w korycie rzeki, do której prowadziły zalane, podziemne kanały. Dzięki tym zabiegom wszelkie testy mogły być wykonywane w tajemnicy. Pozornie pasuje nawet znajdująca się w pobliżu zapora, dostarczająca prąd i dająca możliwość podniesienia poziomu rzeki… Niestety, prawda była zupełnie prozaiczna: *„Znaczne oddalenie od miejscowości i bardziej uczęszczanych okolic spowodowało, że (…) to*

XIX-wieczny pałac i barokowa oficyna w Barcinku. Źródło: www.fotopolska.eu

właśnie tu [w miejscu ruin dawnej papierni], jak chce przekazywana wśród części rozmówców legenda, miały znajdować się wloty do podziemi, połączone kanałami prowadzącymi do koryta Bobru. Co ciekawe, poziom rzeki waha się o kilka metrów; niekiedy pozostawiając na powierzchni jedynie fragmenty, a czasem, kiedy woda opadnie, w całości ukazując pozostałości po różnego rodzaju technologicznej infrastrukturze. Widok ten każdego obserwatora, miłośnika historii, nie pozostawia obojętnym – pisze Łukasz Orlicki w artykule „Tajemnica »Boberloch« – fabryka w Barcinku". – *Choć chcielibyśmy dłużej pozostać wśród domniemanych śladów tajemniczej produkcji i doświadczalnych »zbiorników testowych« dla okrętów, rzeczywistość okazała się nieubłagana. Mimo rzetelnego sprawdzenia ruin, piwnic, przemurowań i wchodzących w zbocze niewielkich komór, żadne z nich nie wyglądało, aby miało cokolwiek wspólnego z tajemniczą, wojenną produkcją. Ruiny stanowią pozostałości zabudowań fabrycznych bądź mieszkalnych, typowych raczej dla architektury początku XX w. niż związanych z surowymi, betonowymi strukturami drugowojennych obiektów. Teoria o produkcji i wodowaniu miniaturowych okrętów, od samego początku niezbyt poważna, nie wytrzymała pierwszej, terenowej próby weryfikacji. Wszystkie wskazywane nam miejsca, związane jakoby z tajemniczymi kanałami, bądź komorami, okazały się mieszaniną pobożnych życzeń i autentycznych pozostałości po procesie produkcji, jaki miał tu miejsce jeszcze przed I wojną światową (…).*

Trudno dokładnie określić, kiedy w opisywanym miejscu położonym u zbiegu rzek Kamienicy i Bobru, rozpoczęła się produkcja związana z wytwarzaniem papieru. (…) W drugiej połowie XIX w. była to prawdopodobnie ścieralnia, produkująca tzw. ścier – włóknisty półprodukt powstający z drewna przez rozdrabnianie i mechaniczne ścieranie go na kamieniu. Do powstawania zarówno tego półproduktu, jak i papieru, niezbędna była woda, dającą energię potrzebną w procesie produkcyjnym, dlatego też budynki fabryczne sytuowano bezpośrednio w pobliżu rzeki".[4]

Barcinek – dawna fabryka części metalowych wraz z odlewnią, stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

Spółka Schubert & Co., która w 1908 roku została wzięta w dzierżawę, trzy lata później stała się własnością jej dotychczasowego dyrektora, Paula Bartscha. Z czasem jednak, z powodu budowy tamy na Bobrze, wzniesiono nową fabrykę papieru (ob. spółka „ARF Domino"), która w pierwszych latach II wojny światowej należała do jego syna, Ericha Bartscha. W cytowanym już artykule czytamy: *„Według wspomnień dawnego niemieckiego kronikarza Bertelsdorf, Oswalda Hilgera, w wyniku jakiegoś rodzaju niejasności związanych z umową dzierżawy Erich Bartsch musiał opuścić fabrykę, której właścicielem stała się enigmatyczna firma z Berlina produkująca armaturę – Schmidtchen & Co.".* Co ciekawe, zakład ten figuruje w tajnym wykazie ważniejszych zakładów zbrojeniowych, przeniesionych w 1944 r. na Dolny Śląsk! Pod pozycją nr 52 podano lakoniczną wzmiankę: „Schmidtchen & Co. Bertelsdorf, Papierfabrik":

„Wytropienie śladów jej wojennej działalności okazało się bardzo trudne. Niewątpliwie firma miała główną siedzibę w Berlinie, a jedyną jej filią i najwyraźniej miejscem, gdzie przeniesiono całą produkcję, był właśnie Barcinek – wspomina Łukasz Orlicki. – *Ostatecznie udało się nam trafić na poważniejszy ślad, który prowadził do Bundesarchiv. Tam, w zespole związanym z Niemieckim Bankiem Lotniczym, znalazły się raporty finansowe Schmidtchen & Co., określonej jako Präzisionswerkzeugfabrik, czyli fabryka narzędzi precyzyjnych. Wszystko wskazuje na to, że nowy właściciel papierni nie znalazł się tam przypadkowo, ale w ramach całego procesu przenoszenia i rozczłonkowywania produkcji zbroje-*

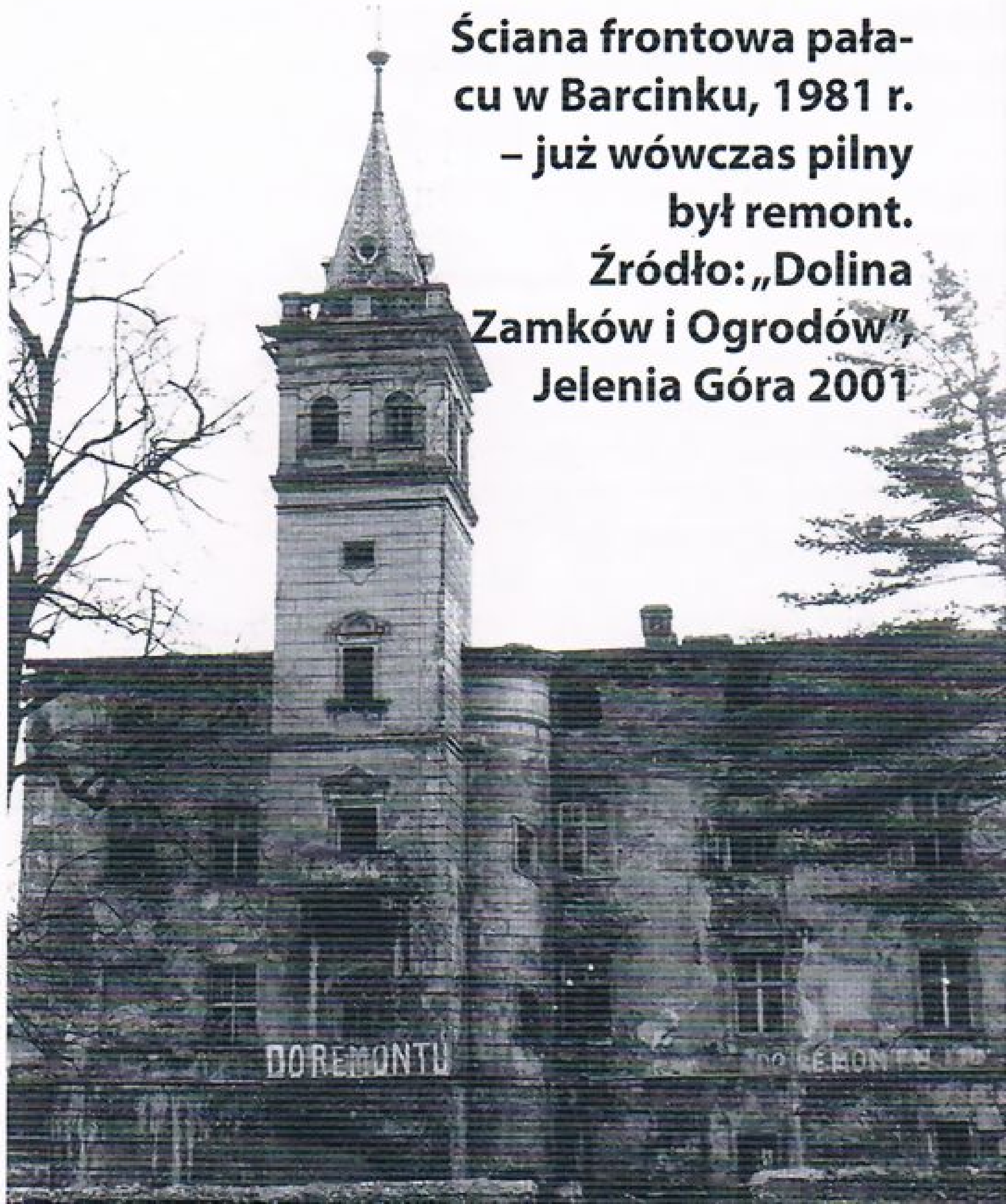
Ściana frontowa pałacu w Barcinku, 1981 r. – już wówczas pilny był remont. Źródło: „Dolina Zamków i Ogrodów", Jelenia Góra 2001

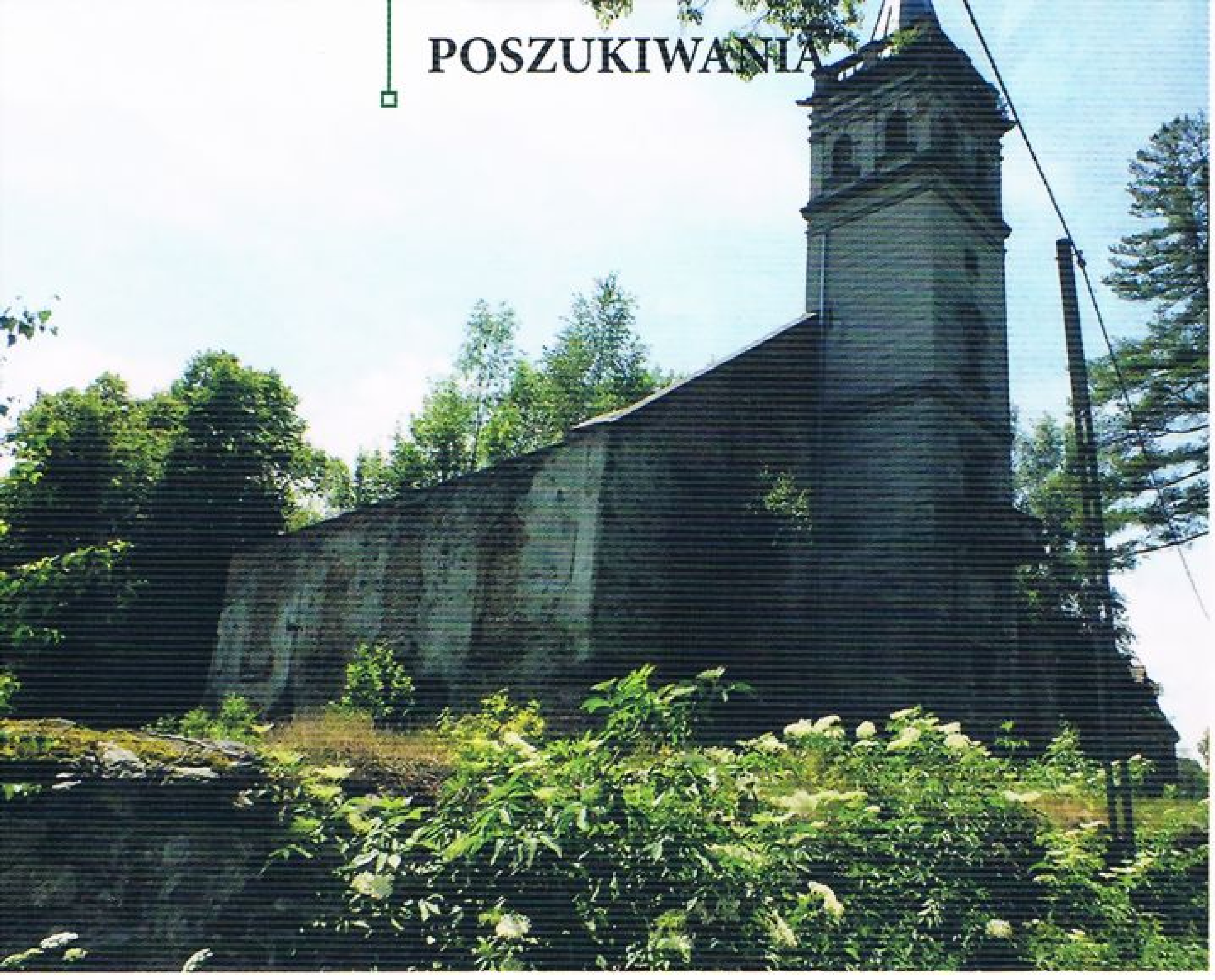

Ruiny pałacu w Barcinku. Fot. Sz. Wrzesiński.

niowej na obszarach mniej zagrożonych bombardowaniami. Firma Schmidtchen, zgodnie z cytowanym raportem, produkowała niewielkie elementy na potrzeby Luftwaffe, a ich rodzaj stanowi zagadkę. Udało się nam jedynie ustalić jedną, konkretną część produkowaną z całą pewnością na terenie Barcinka – ręczną pompę do opuszczania klap w myśliwcu Heinkel He 162, określanego często nazwą »Salamander« lub »Volksjäger«".[5] A jeśli dodamy do tego fakt, że w Berthelsdorf od lat funkcjonował ośrodek wypoczynkowy dla oficerów Luftwaffe, wówczas możemy sobie wyobrazić, iż dzięki temu można było łatwo ukryć każdą wizytację pod pretekstem urlopu zdrowotnego. Niewykluczone, że to właśnie istnienie wojskowego sanatorium miało pewien wpływ na wybór niewielkiej fabryki położonej między lasami, na skraju niedużej wioski gdzieś na Dolnym Śląsku… Prawdopodobnie w fabryce byli zatrudnieni jeńcy z drugiego komanda (nr 306). Na pewno część prac wykonywali pracownicy przymusowi, skoro zachował się przekaz, iż we wsi miała miejsce egzekucja trzech robotników przymusowych z tegoż zakładu. Po wojnie ekshumowano ich razem z ośmioma więźniami, którzy zostali rozstrzelani na terenie wsi w marcu 1945 roku. Ofiary pochowano kilka miesięcy później w zbiorowej mogile na przykościelnym cmentarzu.

Pałac prezydenta?

Jedna z polskich nazw nadana w 1945 r. wsi Berthelsdorf, była dość nietypowa: Korczakowo (inne to: Baryłów, Korczaków). Nie ulega wątpliwości, że chciano w ten sposób uczcić Janusza Korczaka (właściwe nazwisko Henryk Goldszmit), lekarza, pisarza, działacza społecznego, Polaka-Żyda. W 1912 r. objął on funkcję dyrektora żydowskiego Domu Sierot w Warszawie. Jesienią 1940 r. Dom Sierot – jako instytucja żydowska – nakazem okupanta został przesiedlony do getta na ul. Chłodną 33, zaś Korczak trafił do aresztu za nienoszenie nakazanej Żydom opaski z gwiazdą Dawida. Rankiem 5 sierpnia 1942 r., w czasie trwania tzw. „wielkiej akcji" (głównego etapu eksterminacji ludności warszawskiego getta), Korczak wraz z pracownikami i ok. 200-toma wychowankami Domu Sierot został wywieziony do obozu zagłady w Treblince. Tam zginął 6 sierpnia 1942 roku.

Korczakowo funkcjonowało w nazewnictwie zaledwie rok. W 1946 r. stało się Barcinkiem. Na łamach regionalnego miesięcznika „Śląsk", kiedy jeszcze funkcjonowało Korczakowo, pojawił się tekst opisujący polskie pomysły na wykorzystanie pałacu:

„Rok 1945 przyniósł wszelako tę zdumiewającą przemianę. Dawny majątek niemiecki von Wartburgów, Berthelsdorf, przejęty został przez Wojewódzki Urząd Ziemski Rzeczpospolitej Polskiej i dzięki staraniom Dyrektora Prezydium Rady Ministrów doktora Józefa Żuniaka i podpułkownika Kazimierza Włada, oddany do dyspozycji Prezydium Rady Ministrów, jako miejsce wypoczynkowe dla członków rządu, ich rodzin i pracowników Rady Ministrów. Przy tej okazji nazwa niemiecka została zastąpiona przez polską – Korczakowo. Zarząd majątku powierzono podpułkownikowi Kazimierzowi Władowi, znanemu z sumienności i energii wojskowemu, który swe talenty organizacyjne wykazał już przy administrowaniu dóbr Kosowo w powiecie gostyńskim.

Trzy dekady wystarczyły, by dawne sanatorium MSW w Barcinku zmieniło się w ruinę. Fot. Sz. Wrzesiński.

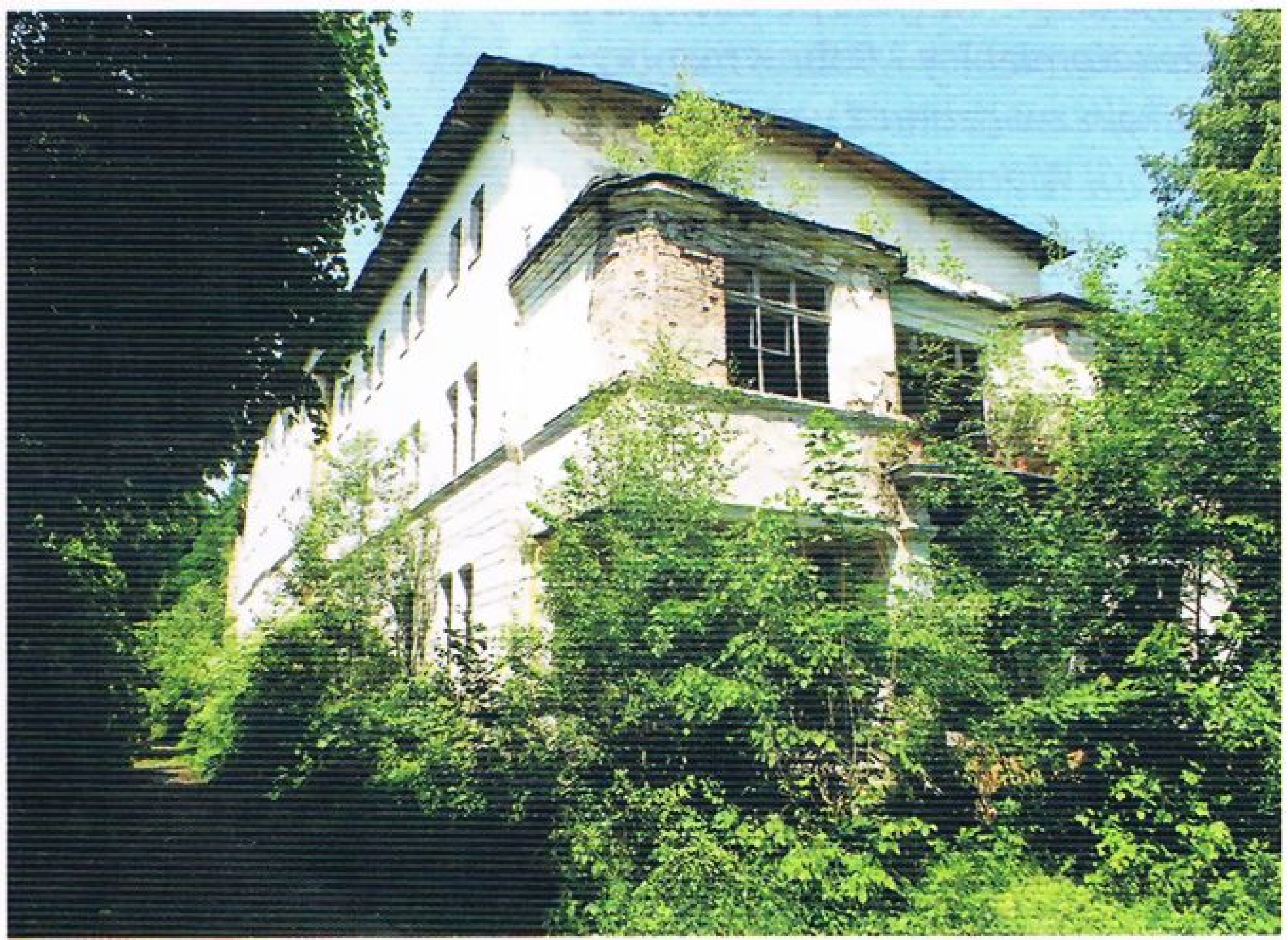

Pułkownik Wład objął Korczakowo w połowie października 1945 roku, zastając pełną dewastację pałacu i otoczenia. Nie było ani jednej bramy, ani jednego okna. W opustoszałych oborach tuliło się do siebie kilka trzęsących się z zimna i głodu krów. Nieliczna obsługa niemiecka z nienawiścią i niewiarą przyjęła zapowiedź polskiej gospodarki. W lesie pod folwarkiem obozowali bandyci odwiedzający regularnie okolice. (…) [W obliczu tych problemów] *podpułkownik Wład na własną rękę oczyścił okolice z bandytów. Poza tym kazał oszklić obory. Szkła nie było, więc znaleziono je w niemieckich portretach i landszaftach. Krowy ocalały. (…) Pałac oczyszczono, umeblowano i przygotowano na przyjęcie wysokich gości. Nad drzwiami wejściowymi pałacu widnieją herby z motywem polskim i napis mówiący, że ongiś była to posiadłość von Paczenskych z Tenczina.*[6] *W gmachu mieści się kilkadziesiąt pokoi, dookoła piękna okolica, las, rzeka i przewidziana plaża z dojściem betonowym do wody. Folwark liczy około 300 ha pola i lasów, posiada oborę zarodową, specjalne piwnice na lód dla szpitala i użytku własnego. (…) Obok wielu cennych zabytków w pałacu przechowuje się jedną osobliwość. Jest to fotografia Wilhelma II z własnoręczną dedykacją dla von Wartburga z Berthelsdorfu z roku 1900. Bardzo ładne zdjęcie. Szkoda tylko, że Wilhelm drugi (…) nie może oglądać, jak to z Berthelsdorfu wyrasta wzorcowa osada polskiej gospodarki na Śląsku. Motywy polskie w herbie nad bramą mają widocznie jakąś magiczną siłę przyciągania polskości".*[7]

Po zakończeniu prac remontowych i porządkowych, przez pewien czas rozważano, czy nie oddać ów obiekt do dyspozycji Bolesława Bieruta, Prezydenta Rzeczypospolitej z lat 1947-1952.

Co działo się z tym miejscem w kolejnych latach? Trudno powiedzieć.

Jedna z wersji mówi, że pałac „padł łupem" funkcjonariuszy Służb Bezpieczeństwa. Jeśli tak się stało, to zapewne traktowali go po macoszemu. Dewastacja i brak remontów, a następnie opuszczenie starej rezydencji na początku lat 70. ubiegłego stulecia, doprowadziło do znacznego pogorszenia stanu budynku. Co prawda w 1977 roku na łamach lokalnego tygodnika oznajmiono czytelnikom, że w przeciągu najbliższych trzech lat dawna rezydencja w Barcinku zostanie przywrócona do stanu świetności – planowano urządzić w niej budynek wczasowy na 130 miejsc[8] – z planów tych jednak nic nie wyszło. Pałac przekazano miejscowemu PGR-owi, które postanowiło wykorzystać dawne sale jako pomieszczenia magazynowe! Nie zamieszkały od lat 80., mimo wpisania do rejestru zabytków (!), popadł w kompletną ruinę. Obecnie dostrzec można jedynie ściany nośne, zdewastowane pomieszczenia na poziomie parteru i piwnic oraz wieżę zwieńczoną czterospadowym daszkiem.

Leczenie funkcjonariuszy?

W drugiej połowie lat 40. w dolnej części wsi trwały przygotowania do otwarcia sanatorium. Nie dość że pałac miał być wykorzystywany jako ośrodek wczasowy dla politycznych i wojskowych prominentów, dodatkowo otwarty zakład postanowiono również przeznaczyć dla uprzywilejowanych, specjalnych gości. Choć początkowo wydawało się, że będzie to miejsce otwarte dla wszystkich potrzebujących. Oto bowiem w „Informatorze na sezon wiosenny 1946", wydanym przez zarząd Państwowych Uzdrowisk Dolnośląskich, podano szczegółowe dane o sposobie dotarcia i skontaktowania się z sanatorium w Korczakowie. Aby zachęcić przyszłych kuracjuszy do przyjazdu, wspomniano o „łagodnym i oszczędzającym zdrowie" klimacie, leczniczo działającym na drogi oddechowe, i leczeniu gruźlicy płuc. W rzeczywistości Informator miał charakter wyłącznie propagandowy, ponieważ tylko nielicznym było dane tutaj dotrzeć.

Nic zatem dziwnego, że Józef Sykulski, przygotowujący w 1947 roku materiał do

REKLAMA

ORGANIZATORZY
Bielsko-Biała
PATRONAT
PREZYDENT MIASTA BIELSKO-BIAŁA
SPONSORZY

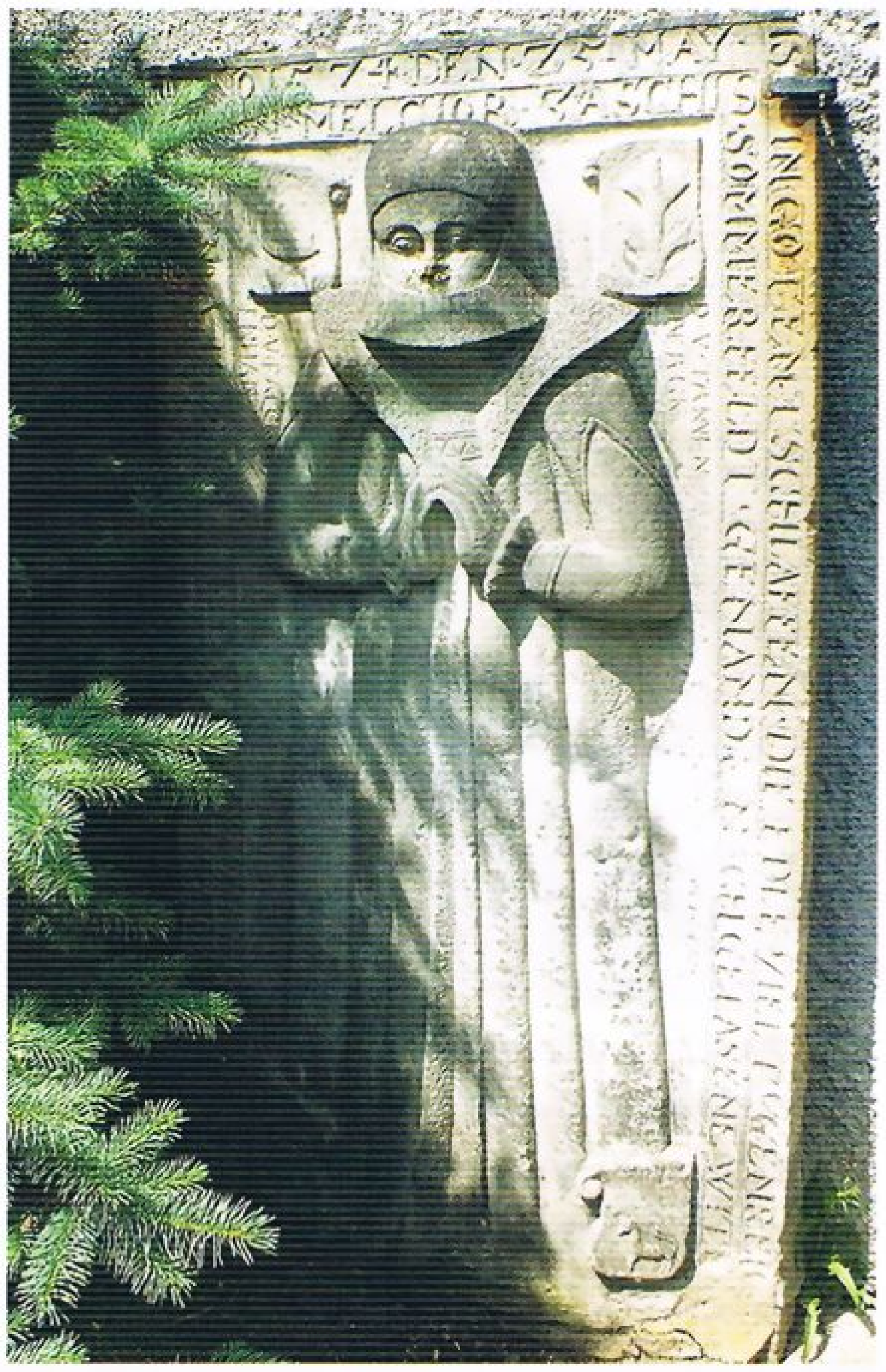

Wizerunek właścicielki Berthelsdorf – Urszuli von Zedlitz na nagrobku z 1574 roku. Fot. Sz. Wrzesiński.

Wspólna mogiła robotników przymusowych i więźniów zmarłych podczas wojny w Barcinku. Fot. Sz. Wrzesiński.

jednego z pierwszych przewodników turystycznych po Dolnym Śląsku, pisał:

„W Barcinku zwanym początkowo Korczakowo (…), znajduje się sanatorium dla płucno-chorych. Sanatorium ma charakter zamknięty, nie przyjmuje ono chorych prywatnie. Jest położone śród wysokich wzgórz zalesionych drzewami mieszanymi w dolinie rzeki Kamiennej. Budynek sanatoryjny wystawiony na południe, otacza piękny park. (…) [Przyjmuje się tutaj osoby mające takie] *wskazania lecznicze: gruźlica płuc i inne choroby płucne, rekonwalescencja, stany wyczerpania. Sanatorium przeznaczone jest dla mężczyzn i kobiet,* [którym oferuje się] *wszelkie zabiegi z zakresu chirurgicznego leczenia gruźlicy, z wyjątkiem torakoplastyki, leczenie klimatyczne, leżakowanie.*[9] Autor przewodnika dodał, że w lecznicy jest 150 łóżek, zaś reszta znajduje się w prywatnych willach.

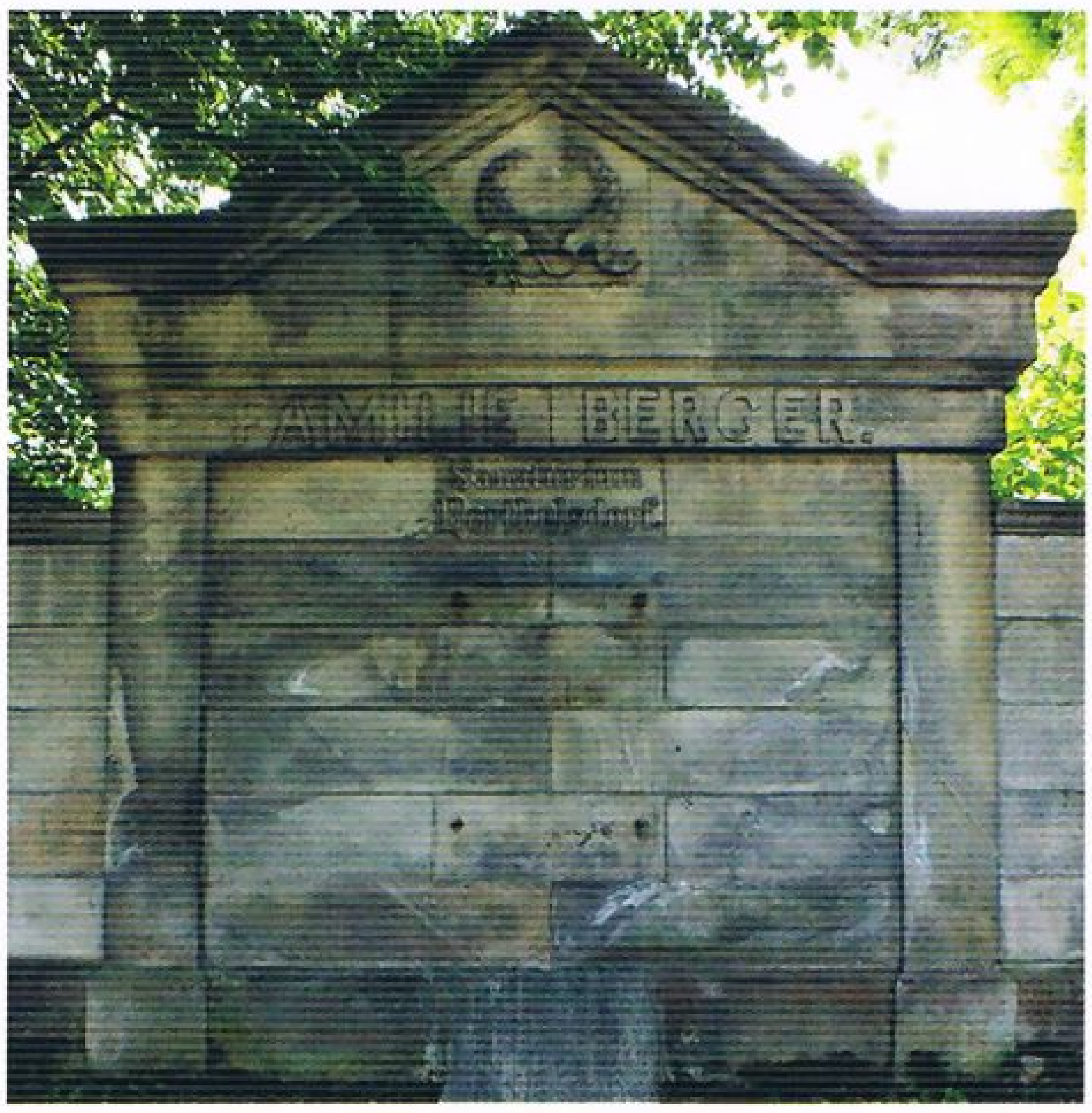

Na grobowcu rodziny Berger wyraźnie zaznaczono ich ścisły związek z sanatorium. Stan obecny. Fot. Sz. Wrzesiński.

O pałacu nie wspomniał ani słowem; wszak nie chciano tutaj jakichkolwiek turystów oraz przypadkowych świadków libacji ówczesnych dygnitarzy. Tym samym Barcinek stał się na pewien czas osadą niejako odizolowaną, podległą w znacznym stopniu dyrektywom prezydium kilku kolejnych rządów Józefa Cyrankiewicza.

W latach 50. sanatorium w Barcinku miało przejść pod zarząd Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Od tego czasu, zamiast funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, zaczęto gościć głównie przedstawicieli Milicji Obywatelskiej. Od lat 70., po znacznej zmianie charakteru oferowanych usług, przybywali tutaj nie tylko mający problemy zdrowotne z układem oddychania, lecz także z chorobami na tle nerwicowym. Nieoficjalnie ośrodek stał się miejscem spotkań tych, którzy chcieli nabyć stosowne uprawnienia emerytalne. Kilkukrotny pobyt w sanatorium dawał bowiem dodatkowe przywileje w postaci wyższej emerytury…

Co ciekawe, według relacji dawnej pracownicy mieszkającej do dziś naprzeciw bramy wjazdowej do dawnego zakładu, sanatorium największe obłożenie miało w okresie stanu wojennego! Niestety, przy próbie uzyskania dodatkowych informacji, kobieta zasłoniła się lukami w pamięci. Na szczęście dotarłem do innego świadka, który powiedział, że w owym czasie sanatorium wykorzystywano, jako ośrodek internowania opozycjonistów. Miano przywozić tutaj osoby z głębi Polski, by zatrzymać je przez pewien czas na „przymusowym leczeniu"…

Sanatorium w Barcinku funkcjonowało do 1990 r., kiedy to dokumentację i część pracowników przeniesiono do Cieplic. Opustoszały budynek sprzedano osobie prywatnej, która nie podjęła się remontu obiektu. Jeszcze dekadę temu budynek zachęcał do stworzenia tutaj niezwykłego hotelu. Obecnie, całkowicie zdewastowany, coraz mniej zachęca do zainwestowania…

Na podstawie książki Sz. Wrzesińskiego i K. Urbana „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej", nakładem wyd. CB z Warszawy. (premiera 25 lipca 2015 r. na Zamku Grodziec).

Przypisy:

[1] Kolejna przebudowa pałacu miała miejsce ok. 1890 r. Od strony płn. dobudowano wieżę. Ponadto zmieniono wystrój wnętrz powyżej parteru, zaś elewacja zyskała modny wówczas wygląd w stylu neorenesansu i neobaroku.

[2] O zdrowie kuracjuszy dbali m.in. dr Heymer z Lubomierza, dr Mühlenbach, posiadający tu własną aptekę, czy dr H. Ronge (na pocz. XX w.).

[3] O. Hilger, „Meine Lieben aus der lieben Heimat Berthelsdorf", maszynopis z 1971 r.

[4] Cyt. za: Ł. Orlicki, „Tajemnica »Boberloch« – fabryka w Barcinku", [w:] „Odkrywca", nr 9/ 2014

[5] tamże

[6] Informacja wypaczona dla potrzeb uzasadniania polskości. Charlotte Elizabeth von Paczensky und Tenczin (1715-1778), wywodząca się z górnośląskiej rodziny szlacheckiej, od 1733 r. była małżonką Karla Sigismunda von Rothkirch und Panthen (1714-1791), pana na Berthelsdorf.

[7] Cyt. za: „Korczakowo, powiat jeleniogórski", [w:] „Śląsk. Miesięcznik ilustrowany", nr 1 z 1946 r., s. 23-24.

[8] „Pan na kilku zamkach", [w:] „Nowiny Jeleniogórskie", nr 13/1977 ; „Turystyka w Sudetach", Tom 2, A. Kornaka (red.), Jelenia Góra 1977

[9] Cyt. za: J. Sykulski, „Ilustrowany Przewodnik Turystyczno-Uzdrowiskowy po Dolnym Śląsku", cz. IV, Wrocław 1947

Szymon Wrzesiński

Historyk, autor książek: „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku. Indoktrynacja – Siedziby – Poświęcenie"; „Zamek Książ – legenda III Rzeszy"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki". Kontakt: Sz_Wrzesinski@wp.pl

Biało-czerwona nad Polizei Präsidium

LESZEK ADAMCZEWSKI

Grupom szturmowym Szarych Szeregów nie udało się odbić z rąk Niemców byłego szefa. Harcmistrza Floriana Marciniaka zamordowano w Gross-Rosen niemal równo w czwartą rocznicę incydentalnego zdarzenia, które widziało niewielu, ale wielu cichcem o nim rozprawiało. Oto, nad tak zwaną dzielnicą rządową okupowanego Poznania, pojawiła się biało-czerwona flaga. Powiewała krótko na wyniosłej kopule gmachu, koło którego przez 14 lat Marciniak przechodził niemal codziennie. Ta biało-czerwona niosła nadzieję w czasach totalnego zwątpienia…

Dla polskich mieszkańców Posen to był gmach Collegium Medicum, gdzie swą siedzibę miały władze Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego. Tu m.in. urzędował dziekan tegoż wydziału. Dla starszych poznaniaków, którzy w 1940 r. dobrze pamiętali czasy zaboru pruskiego, ten charakterystyczny budynek był przede wszystkim siedzibą znienawidzonej przez Polaków Komisji Kolonizacyjnej, powołanej przez Sejm Pruski z inicjatywy kanclerza Ottona von Bismarcka w 1886 r. w celu wykupu ziemi z rąk polskich i przekazania jej niemieckim osadnikom. I właśnie dla Komisji Kolonizacyjnej ów gmach zbudowano. Jego projektanci nie przewidzieli jednego. Że po klęsce Rzeszy w wojnie światowej i przegraniu wywołanego przez Polaków antyniemieckiego powstania, przeniesie się tu Naczelna Rada Ludowa – polska władza w formalnie nadal jeszcze niemieckiej Provinz Posen. Po powrocie Poznania do Polski w gmachu dawnej Komisji Kolonizacyjnej utworzono Urząd Osadniczy, który likwidował kolonie pruskie utworzone przez ową komisję.

Harcmistrz Florian Marciniak na jednym z nielicznych zachowanych jego zdjęć.

W 1940 r. stojący przy An d. Paulikirche (obecnej ul. Fredry) gmach, będąc siedzibą Prezydium Policji, znowu reprezentował niemiecką władzę. I chociaż najbardziej przez Polaków znienawidzona tajna policja polityczna zajęła Dom Żołnierza, to także w dawnym Collegium Medicum urzędowali policjanci niemieccy. Wprawdzie nie gestapowcy a stróże porządku publicznego, lecz i oni byli również na usługach władz spod znaku swastyki. Władz, których symbolem był stojący po drugiej stronie An d. Paulikirche pocesarski zamek, gdzie urzędował Arthur Greiser, namiestnik Rzeszy w Kraju Warty i poznański gauleiter NSDAP.

W MARCOWYCH DNIACH 1940 R. na półkach księgarskich pojawił się „Führer duch Posen", w którym Arthur Greiser nazwał Poznań: „niemieckim miastem położonym w praniemieckim Kraju Warty". A tu nagle biało-czerwona flaga, zawieszona przez tajemniczych, nieuchwytnych sprawców. Polscy mieszkańcy Posen wiedzieli swoje…

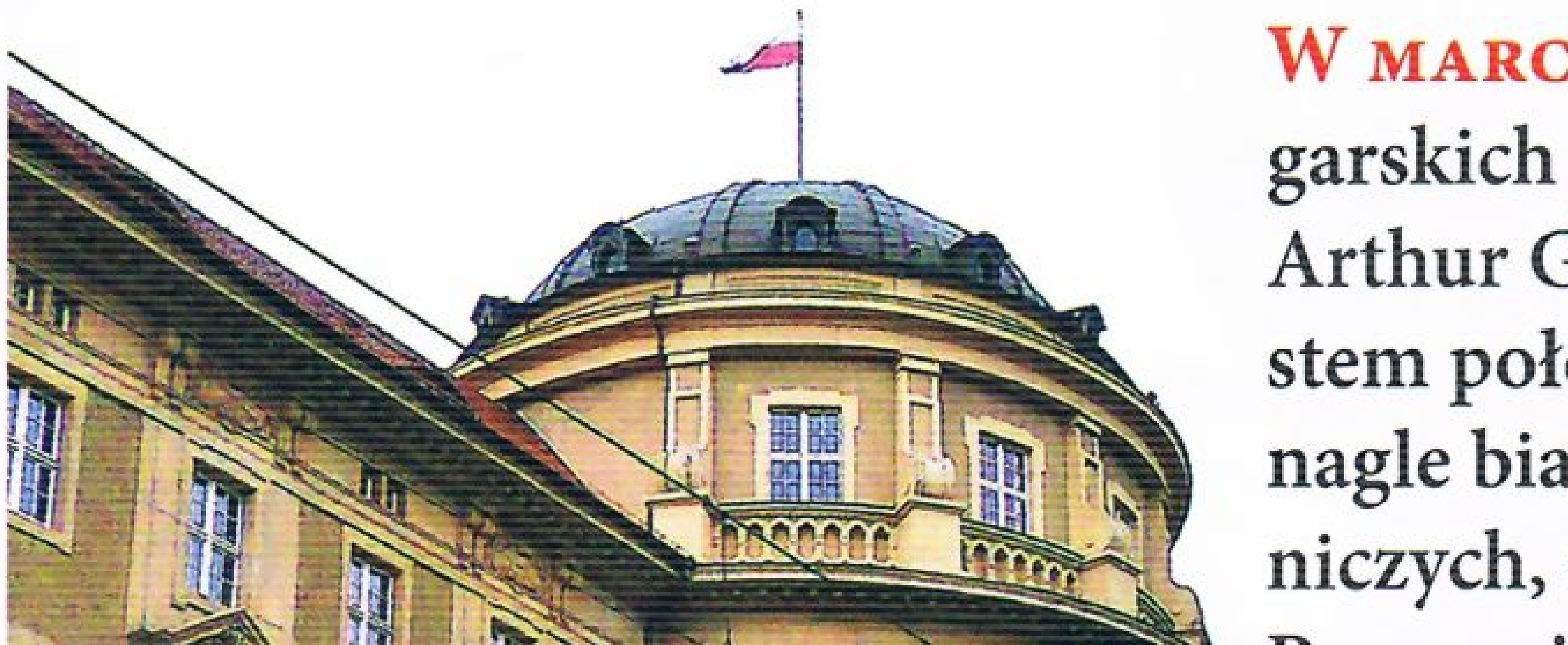

Biało-czerwona nad kopułą Collegium Maius Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu, 3 maja 2015 roku.

Po II wojnie światowej interesujący nas gmach, jako Collegium Maius, znowu służył nauce i życiu akademickiemu, będąc siedzibą dwóch poznańskich uczelni: Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Akademii Medycznej, która przekształciła się w Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego i przeniosła w inne miejsce. Tuż obok wejścia do siedziby obecnego Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM od 1992 r. wisi tablica pamiątkowa z następującym napisem: *„Na kopule tego gmachu, w którym w czasie okupacji mieściło się prezydium niemieckiej policji, harcerze z Szarych Szeregów: Zygmunt Ciesielski i Bernard Intek, pod komendą phm. Adama Plucińskiego w dniu 2 marca 1940 roku wywiesili polską flagę".*

Prezydium Policji w okupowanym Poznaniu na kolorowej widokówce z lat wojny.

Widoczną na zdjęciu flagę hitlerowską, powiewającą nad gmachem Prezydium Policji przy ruchliwej An d. Paulikirche (ulicy Fredry), poznańscy harcerze na krótko zastąpili biało-czerwoną.

Pod biczem swastyki

Drugi dzień marca w 1940 r. przypadł w sobotę. Tego dnia – jak podaje Czesław Łuczak w książce „Dzień po dniu w okupowanym Poznaniu" – z obozu przesiedleńczego na Głównej odszedł transport kilkuset Polaków do leżącego w Generalnym Gubernatorstwie Ostrowca Świętokrzyskiego. W Posen nadal szalał antypolski terror, chociaż na ulicach stolicy Kraju Warty nie był on widoczny. Normalnie kursowały tramwaje, jeździły samochody i wozy konne, spieszyli się przechodnie. W mieście jednak coraz częściej pojawiały się napisy „Nur für Deutsche", zakazujące Polakom wstępu do wielu lokali publicznych, do parków, teatrów oraz na niektóre seanse w kinach. Nawet siadanie na publicznych ławkach było zabronione, a osoby naruszające ten zakaz surowo karane.

W tych też marcowych dniach 1940 r. na półkach księgarskich pojawił się „Führer duch Posen" (Przewodnik po Poznaniu), w którym namiestnik Rzeszy i gauleiter NSDAP Arthur Greiser nazwał Poznań: *„niemieckim miastem położonym w praniemieckim Kraju Warty"*. A tu nagle biało-czerwona flaga, zawieszona przez tajemniczych, nieuchwytnych sprawców…

Tablica przed wejściem do Collegium Maius UAM upamiętniająca zawieszenie biało-czerwonej na kopule tego budynku 2 marca 1940 roku.

Polscy mieszkańcy Posen wiedzieli swoje. To dzieło *„naszych harcerzyków"* – mówili z dumą i opinie takie musiały dotrzeć na Ritterstrasse (ul. Rycerską, obecnie Niezłomnych), gdzie swą siedzibę miało gestapo.

Przed wybuchem wojny Związek Harcerstwa Polskiego skupiał tysiące wychowywanych w duchu patriotycznym dziewcząt i chłopców. W tragicznych dniach września 1939 r. w wielu miejscowościach organizowano Pogotowie Harcerskie, a starsi skauci brali udział w obronie swych miejscowości, działając w łączności, służbie informacyjnej i sanitarnej. Po zakończeniu walk właśnie harcerze pierwsi przechodzili do działalności konspiracyjnej. W pierwszych tygodniach okupacji hitlerowskiej w Wielkopolsce był to żywiołowy odruch buntu i oporu młodzieży. Zdzierano afisze i rozporządzenia władz hitlerowskich, błędnie informowano Niemców nieznających topografii Poznania i innych miast, organizowano ucieczki osób zagrożonych represjami. Kazimierz Janowski, ps. „Mirosław", tak po latach wspominał ówczesną działalność harcerską: *„Tworzyliśmy grupę konspiracyjną. (…) Naszym wyczynem było rozrzucenie stłuczonych butelek na szo-*

Przed wejściem do Prezydium Policji w Posen w pierwszych tygodniach wojny.

W drugiej połowie 1943 roku, gdy w obozie urządzonym w poznańskim Forcie VII przebywał Florian Marciniak, nad bramą nie wisiał już napis „Konzentrationslager Posen".

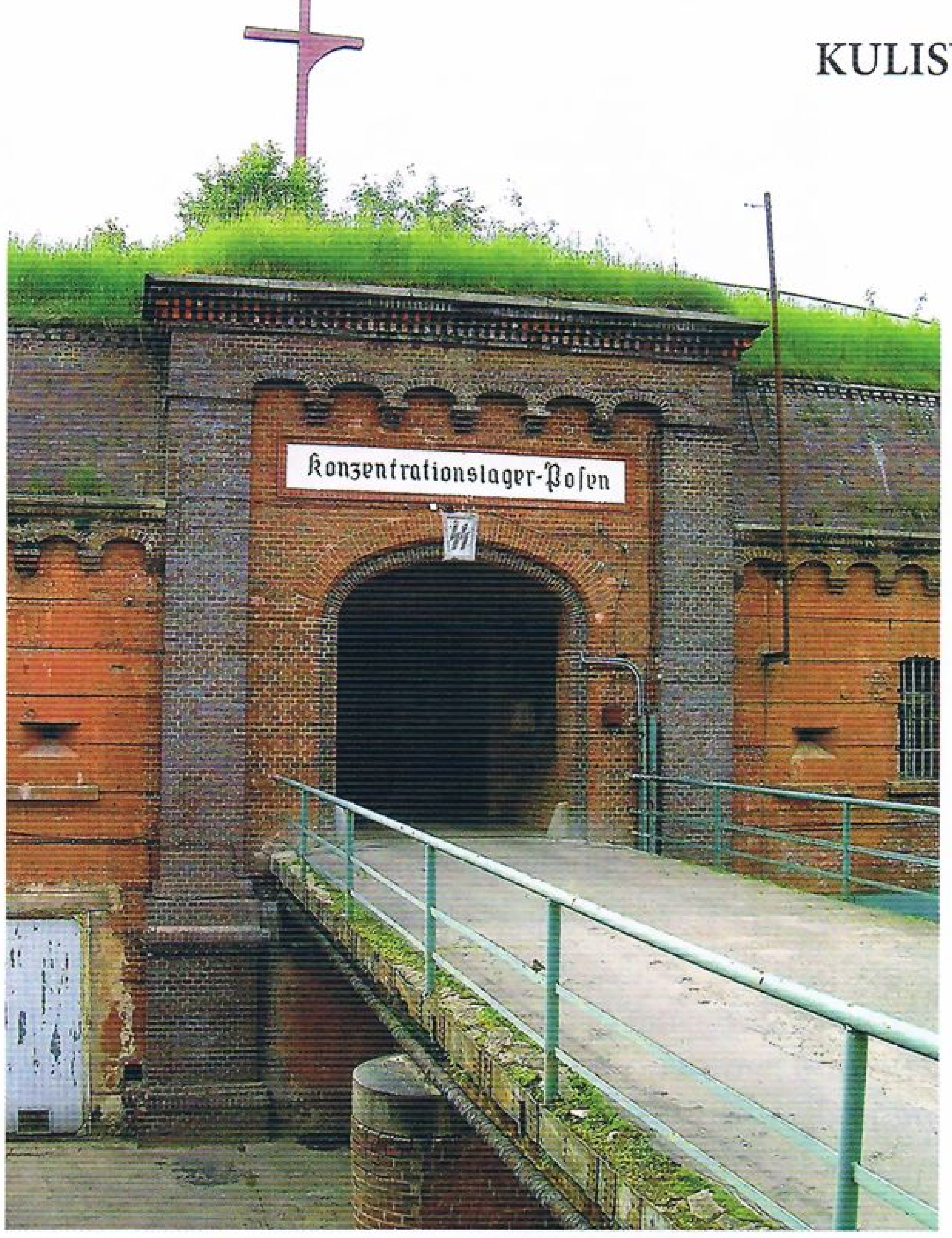

sie Obornickiej, a także pisanie listów z pogróżkami do urzędników niemieckich, których adresy udało się nam ustalić. Były to, jakby to dziś określić, początki małego sabotażu". Dziełem harcerzy były też ulotki, które jesienią 1939 r. pojawiły się na poznańskich murach, wzywające Polaków do „wytrwania aż do zwycięstwa", a w pobliskich Obornikach grupa harcerzy zaczęła wydawać biuletyn z nasłuchu radiowego, co przy odcięciu ludności polskiej od źródeł niezależnej od władz hitlerowskich informacji, miało niebagatelne znaczenie.

W tej sytuacji wywieszenie biało-czerwonej flagi na kopule gmachu Prezydium Policji w Posen było szczeniackim wygłupem, mogącym przynieść więcej szkód niż pożytku. Normalnej miary nie da się jednak przykładać do codzienności okupacyjnej nocy w Poznaniu. Ta, szybko zresztą ściągnięta, biało-czerwona, przypominała pozbawionym wszelkich praw Polakom, że Polska odradza się w formie państwa podziemnego. I ostrzegała Niemców, że zmiana nazwy Poznań na Posen jest tymczasowa.

W organizowaniu patriotycznej konspiracji młodzieżowej ważną rolę pełnili członkowie kół starszoharcerskich, zwłaszcza prężnego w Poznaniu Akademickiego Koła Harcerskiego im. Heliodora Święcickiego. Członkiem tego koła był harcmistrz Florian Marciniak. Urodził się on 4 V 1915 r. w Gorzycach niedaleko Kościana. W dziesiątym roku życia przyjechał do Poznania i zamieszkał u starszego o 6 lat brata Antoniego. Podczas nauki w Państwowym Gimnazjum im. św. Jana Kantego związał się z harcerstwem. Pozostał mu wierny aż do dnia, gdy śmiertelny zastrzyk przerwał życie tego niespełna 30-letniego człowieka… Tak w szkole średniej, jak i podczas studiów prawniczych na Uniwersytecie Poznańskim Marciniak czynnie uczestniczył w działalności harcerskiej. Zbiórki, wycieczki i obozy wypełniały mu wolny po nauce czas. A nie miał go wiele, ponieważ udzielaniem korepetycji zarabiał na utrzymanie. Pod koniec studiów, które ukończył w 1938 r., pełnił funkcję z-cy komendanta Harcerskiej Szkoły Instruktorskiej w Górkach Wielkich koło Skoczowa. Jej komendantem był Aleksander Kamiński, legenda polskiego harcerstwa, który wkrótce zadecyduje o wojennych losach młodego Wielkopolanina. W maju 1938 r. Florian Marciniak został najmłodszym harcmistrzem w ZHP.

Gdy we wrześniu 1939 r. Wielkopolska wpadła w ręce hitlerowców, koledzy Marciniaka ze wspomnianego Akademickiego Koła Harcerskiego utworzyli pierwszą konspiracyjną komendę ZHP. Byli to: Franciszek Firlik, Józef Wiza, Roman Łyczywek, Witold Marcinkowski i jedyny z tego grona, którego nazwisko zapisało się złotymi zgłoskami w historii Polski lat II wojny światowej. To dr Franciszek Witaszek, naukowiec, wynalazca, a podczas wojny lekarz-społecznik, który za zgodą władz hitlerowskich prowadził w Posen gabinet lekarski, gdzie udzielał pomocy medycznej polskim mieszkańcom stolicy Kraju Warty. Witaszek stanął na czele grupy konspiratorów, która w odpowiedzi na terror i zbrodnie hitlerowskie postanowiła walczyć z Niemcami przy użyciu nietypowej, ale zabójczo skutecznej broni: trucizn i chemicznych środków zapalających. Grupa ta rychło przyłączyła się do Związku Odwetu ZWZ-AK.

Dawne schody śmierci na terenie muzeum w Forcie VII w Poznaniu.

Z rekomendacji Aleksandra Kamińskiego

Pod koniec pierwszej dekady września 1939 r. hrcm. Florian Marciniak wyjechał do Warszawy, by od naczelnych władz ZHP otrzymać instrukcje lub wytyczne do działalności na wypadek zajęcia Wielkopolski przez Wehrmacht. *„Nie zastawszy nikogo na miejscu, objął komendę warszawskiego ośrodka i przystąpił natychmiast do prac organizacyjnych. Oddaje harcerstwo do dyspozycji prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego, i dowódcy obrony Warszawy. Marciniak zorganizował tzw. pogotowie harcerzy, grupy harcerskie, które miały być pomocne głównie w służbie zwiadowczej. Po upadku Warszawy Marciniak staje na czele podziemnego harcerstwa"* – czytamy w „Harcerskiej Kuźni" z 1957 roku. W konspiracji używał on kilku pseudonimów:

„Jerzy Nowak", „Jerzy Krzemień", „Szary", „Jerzy Grzegorzewski" i „Mieczysław Kujawski". To wysokie stanowisko – dodajmy – Marciniak uzyskał dzięki protekcji Aleksandra Kamińskiego, który chciał, by na czele konspiracyjnego harcerstwa stała osoba mało w kraju znana. Mocno zaangażowany w działalność Służby Zwycięstwu Polski, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej Kamiński był jednocześnie członkiem ścisłej Głównej Kwatery („Pasieki") Szarych Szeregów.

Wojenny kryptonim tej kwatery nawiązujący do terminologii z pszczelarstwa i sama nazwa Szare Szeregi były pomysłem Marciniaka, chociaż nie można wykluczyć, że pomysł utajnienia samodzielnej organizacji konspiracyjnej harcerzy właśnie pod kryptonimem Szare Szeregi narodził się wśród poznańskich działaczy ZHP. Pomysł ten miał dotrzeć do przebywającego w Warszawie Marciniaka, który go zaakceptował i polecił upowszechnić w okupowanym kraju.

Niektórzy historycy przypuszczają, że już przed wojną w otoczeniu Aleksandra Kamińskiego podjęto decyzję, że w przypadku okupowania kraju przez wroga, właśnie nieznany w Polsce Marciniak stanie na czele podziemnego harcerstwa. Nie ma wprawdzie na to żadnego dowodu materialnego, ale ta hipoteza jest wielce prawdopodobna. I tłumaczy, czemu najmłodszy w Wielkopolsce harcmistrz nagle opuścił Poznań, bo to, że pojechał po instrukcje lub ewakuował się razem z władzami państwowymi, nie wytrzymuje krytyki.

Konzentrationslager Gross-Rosen. To tu dobiegło kresu krótkie życie Floriana Marciniaka.

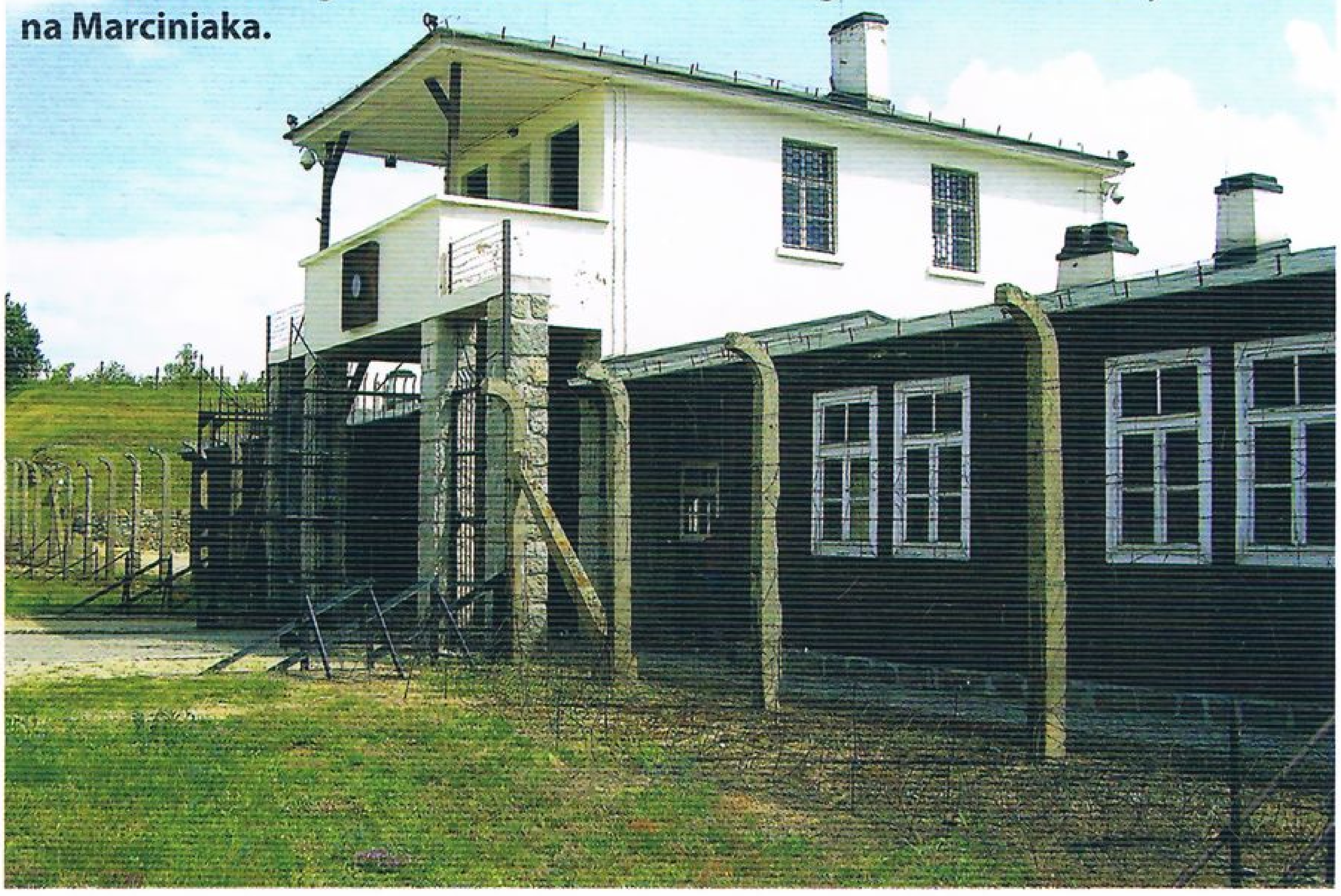

„Październik, listopad i grudzień – pisał Marciniak w zachowanych notatkach z końca 1939 roku – *upłynął nam na gorączkowej pracy organizacyjnej, polegającej na konstytuowaniu się władz centralnych, nawiązywaniu łączności z terenem, tworzeniu komend terenowych i nawiązywaniu łączności z właściwymi czynnikami, kierującymi całością walki konspiracyjnej na terenie kraju. Główna Kwatera przystąpiła do pracy z wyraźną wolą wykorzystania w pracy młodzieżowej wszystkich, którzy będą mieli chęć wniesienia do niej swego wysiłku w zgodnej i harmonijnej atmosferze, bez względu na wzajemne stosunki przed wrześniem".*

Ani przed, ani po wrześniu te stosunki nie były dobre. Konflikt polityczny na linii sanacja – endecja dotyczył także środowiska instruktorów harcerskich. Niestety, przeciwko Marciniakowi i współpracy z Główną Kwaterą Szarych Szeregów opowiedzieli się niektórzy instruktorzy poznańscy, dawni członkowie Akademickiego Koła Harcerskiego, którzy podczas wojny zostali wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa. Mały i duży sabotaż, walka zbrojna i zamachy na życie najbardziej krwawych przedstawicieli hitlerowskich władz okupacyjnych, rozwój podziemnego szkolnictwa i wychowanie młodzieży w duchu patriotyzmu, to tylko przykłady działalności Szarych Szeregów, których pierwszym naczelnikiem był właśnie Florian Marciniak. Wśród różnych przedsięwzięć harcerzy wymierzonych w okupanta, było także wywieszenie biało-czerwonej flagi na kopule gmachu Prezydium Policji w Posen. To Marciniak przeważnie inicjował i patronował różnym akcjom podziemnego harcerstwa polskiego. To z grup szturmowych Szarych Szeregów na ogół wywodzili się żołnierze Kedywu KG AK. Bez działalności Szarych Szeregów nie można sobie też wyobrazić woli walki i bohaterstwa tysięcy kilku- i kilkunastoletnich dziewcząt i chłopców w tragicznych dniach Powstania Warszawskiego w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Ale Marciniak nie dożył już dni powstania...

Zdrada

Wiosną 1943 r. w ręce gestapo wpadł łącznik naczelnika Szarych Szeregów na „Ul Przemysław", czyli Komendę Chorągwi w Poznaniu. Wkrótce po tym nastąpiły liczne aresztowania wśród działaczy podziemnego harcerstwa. 6 maja tegoż roku w Warszawie został zatrzymany i Marciniak. Gestapowcy dobrze wiedzieli, jaką funkcję pełnił on w podziemiu. Obawiając się zapewne odbicia aresztowanego, zapadła decyzja o jego natychmiastowym przewiezieniu do Posen.

W 40. rocznicę śmierci pierwszego naczelnika Szarych Szeregów, Florianowi Marciniakowi poświęciłem obszerny artykuł „Pozostała pamięć", który ukazał się w „Głosie Wielkopolskim" 18-19 II 1984 roku. Podpisałem go wymyślonym jeszcze w czasach studenckich pseudonimem Alicja Szczecińska. Tyle gwoli ścisłości. Nie spodziewałem się jednak, że ta rocznicowa publikacja, by nie rzec laurka, spotka się ze sporym odzewem czytelników. Wśród kilku listów, które w następnych dniach trafiły na moje biurko, były sensacyjne wspomnienia człowieka, który w obozie policyjnym urządzonym w poznańskim Forcie VII siedział z Florianem Marciniakiem. Był nim ppłk Ludwik Rzepecki z Poznania. Po aresztowaniu przez gestapo Rzepecki 13 X 1943 r. znalazł się w Forcie VII. *„Tam* – wspominał w 1984 roku – *przebywał już wcześniej aresztowany Florian Marciniak. Po umieszczeniu mnie w celi 66., w której znajdowało się około 60 osób, podszedł do mnie i przywitał się. Florek wprowadził mnie w nowe warunki bytowania, a przede wszystkim ostrzegł przed konfidentami i osobami podejrzanymi. Mając do siebie wzajemne zaufanie opowiedzieliśmy sobie okoliczności naszego aresztowania. Florian został aresztowany do początku maja*

zdarzyło się...

7 VII 1944 r.

71 lat temu miała miejsce Operacja „Ostra Brama". Żołnierze wileńskiego okręgu AK dowodzeni przez płk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka" rozpoczęli atak na Wilno. „Ostra Brama" była częścią akcji „Burza", podczas której AK wyzwalała spod niemieckiej okupacji miasta na Kresach Wschodnich II RP, by występować wobec wkraczających do niej wojsk sowieckich w roli gospodarza. W południe do walczących o miasto Polaków przyłączyły się oddziały radzieckie, a 13 lipca Wilno zostało zdobyte. Po 4. dniach Sowieci podstępnie aresztowali polskie dowództwo, w tym „Wilka". Internowano kilka tysięcy partyzantów, z których większość przymusowo wcielono później do armii Berlinga. Wiele oddziałów zdążyło jednak uciec do Puszczy Rudnickiej i na Białostocczyznę, część przedostała się na Pomorze, a niektóre walczyły aż do 1947 roku.

1943 roku w Warszawie w kawiarni, która była miejscem spotkań konspiracyjnych. Z Warszawy natychmiast przewieziono go do siedziby gestapo w Poznaniu, do przedwojennego Domu Żołnierza. Florian Marciniak był przesłuchiwany przez 6 tygodni. Przesłuchiwanie, celem wydobycia zeznań, polegało na codziennym torturowaniu do utraty przytomności. Florek do zarzucanych mu czynów się nie przyznawał i niezmiennie powtarzał, że w konspiracji był osobą mało znaczącą, że pełnił tylko rolę »skrzynki kontaktowej«. Funkcja jego miała rzekomo polegać na tym, że raz w tygodniu między godziną 12 a 13 na placu Zbawiciela w Warszawie odbierał od nieznanych mu osób listy, które przekazywał dalej. Gestapo widocznie w początkowym okresie nie posiadało właściwego rozeznania co do pełnionej przez Marciniaka funkcji i uwierzyło w podaną przez niego wersję. I dlatego w lipcu 1943 roku zawieziono go w podane przez niego miejsce, dzień i godzinę. Florek liczył na to, że uda mu się zbiec, względnie że zostanie zauważony przez swoich współtowarzyszy i uwolniony. Ucieczka okazała się niemożliwa, ponieważ był mocno obstawiony przez gestapo; wprawdzie został zauważony przez znajomych, ale na tym się też skończyło.

Funkcjonariusze gestapo zorientowawszy się, że ich wyprowadził w pole, odgrażali się, że porozmawiają sobie z nim w Poznaniu. W obawie przed torturami, Florek wyskoczył w drodze powrotnej z samochodu osobowego pędzącego z szybkością 80 kilometrów na godzinę. W wypadku doznał tylko ogólnych obrażeń oraz wstrząsu mózgu i był z tego powodu nieprzytomny przez trzy dni. Po wyjściu z szoku, gestapo skierowało go do Fortu VII. Po tym incydencie Florek cieszył się »względami« gestapo, był przez nich podziwiany i nie był już więcej torturowany. Florian, mimo że wiedział (wynikało to z naszych rozmów), kto spowodował aresztowanie jego i poznańskich harcerzy, nigdy na ten temat szerzej się nie wypowiadał. W październiku 1943 roku w Forcie VII został umieszczony brat Floriana, którego zwolniono z oflagu po to, żeby go natychmiast aresztować. Był on więziony w celi numer 64. I Florian miał okazję parokrotnie z nim krótko rozmawiać. Z Florianem Marciniakiem w celi 66 Fortu VII w Poznaniu przebywałem od 16 października do 1 grudnia 1943 roku".

Tyle w liście do „Alicji Szczecińskiej" napisał ppłk Ludwik Rzepecki, który z pierwszym naczelnikiem Szarych Szeregów przebywał zaledwie półtora miesiąca. W tym też czasie działający w podziemiu harcerze planowali przeprowadzenie akcji odbicia Marciniaka, ale – na co chyba wszystko wskazuje – była ona z góry skazana na niepowodzenie. Posen nie był bowiem okupowaną Warszawą. Tu Niemcy czuli się pewniej, a ponadto aresztowanego naczelnika rzadko przewożono z miejsca na miejsce. Najpierw przetrzymywano go w piwnicach poznańskiej siedziby gestapo, a później w Forcie VII, który dla polskich konspiratorów był nie do zdobycia.

Marciniakowi nie pozostało już wiele życia. Pod koniec drugiej dekady lutego 1944 r. wyruszył on w swą ostatnią podróż do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen na Dolnym Śląsku. Towarzyszyło mu 22 instruktorów harcerstwa, więzionych w podpoznańskim karno-śledczym obozie policyjnym w Poggenburgu (Żabikowie). Byli wśród nich m.in. znani w przedwojennym Poznaniu harcmistrze: Alojzy Kozłowski i Jan Skrzypczak oraz podharcmistrz Jan Grodzicki. Przywiezionych z Posen więźniów nie wciągnięto nawet do kartoteki obozowej. Taki rozkaz z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy otrzymał komendant Gross-Rosen. Poznańscy gestapowcy, z im tylko znanych powodów, obawiali się zamordować tych 23 ludzi w którymś z miejsc kaźni w stolicy Kraju Warty. Oni mieli zginąć z dala od domu, w tajemnicy, żeby wszelki ślad po nich zaginął.

„A jednak nie zaginął. Okoliczności mordu nie udało się ukryć. Pozostała pamięć" – w 1984 roku napisała „Alicja Szczecińska".

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCH. AUTORA, INTERNET, BUNDESARCHIV.

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego Autora to, wydana nakładem Repliki, „Ucieczka przed bombami".

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Powojenne losy bunkra na Szrenicy

TOMASZ RZECZYCKI

16 października 1946 r. o godzinie 11, do Komendy Odcinka Wojsk Ochrony Pogranicza w Kłodzku zgłosił się meteorolog i badacz polarny z Uniwersytetu Wrocławskiego, Aleksander Kosiba. Otrzymał on specjalne zezwolenie Szefa I Wydziału Odcinka, na mocy którego dopuszczony został na niedostępną dla zwykłych śmiertelników górę na granicy polsko-czechosłowackiej, znaną wtedy szerzej pod nieaktualną już niemiecką nazwą, Schneeberg (1426 m n.p.m.). To oczywiście późniejszy Śnieżnik. Kosiba poszukiwał na szczycie poniemieckiego obserwatorium meteorologicznego, którego oczywiście nigdy tam nie było, a które zamierzał uruchomić. Wobec braku rezultatu, tego samego dnia wrócił z powrotem.

Ta zabawna wpadka przydarzyła się naukowcowi, dzięki któremu kilkanaście lat później zaadaptowany został do nowych celów bunkier na szczycie Szrenicy. Pomyłka wynikła z tego, że tuż po II wojnie światowej dwa odległe od siebie przygraniczne szczyty nosiły *de facto* identyczną nazwę: Śnieżka. Jeden z nich znajdował się w Karpaczu – to przedwojenna Schneekope, a drugi koło Stronia Śląskiego – to wspomniany Schneeberg. Młody wówczas naukowiec nie zdawał sobie sprawy z tego zamętu nazewniczego, wiedział jedynie, iż na Śnieżce działało niemieckie obserwatorium meteorologiczne. Tyle, że nie o tę „Śnieżkę" chodziło.

Nawiasem mówiąc, strategiczne znaczenie Śnieżnika jako punktu pomiarowego temperatury, opadów, czy siły wiatru, było dostrzegane w tamtych czasach. Świadczyć o tym może żołnierski meldunek sytuacyjny 75. Samodzielnego Batalionu Ochrony Pogranicza dotyczący tego, co wydarzyło się na Śnieżniku 22 lipca 1948 r.: *„W godzinach popołudniowych przybyła grupa oficerów, w skład której wchodził 1 pułkownik, 1 podpułkownik i 2 majorów. Wyżej wymienieni przybyli z Warszawy z Wojskowego Instytutu Geograficznego. Z rozmów można wywnioskować, że jest prawdopodobieństwo wybudowania stacji meteorologicznej na górze Śnieżnik".*

Jakim celom miałoby służyć hipotetyczne obserwatorium meteorologiczne na Śnieżniku, można się tylko domyślać.

Niedługo potem, w okresie zimnej wojny, dane uzyskane ze Śnieżnika zapewne mogłyby być przydatne Ludowemu Wojsku Polskiemu w razie konieczności niesienia „bratniej pomocy" uciemiężonemu ludowi pracującemu Skandynawii… Taka stacja meteorologiczna jednak na Śnieżniku nie powstała, a ciężar zainteresowania badaczy zjawisk atmosferycznych przeniósł się na Karkonosze.

Żołnierze montują wieżę

Już w 1947 r. znany nam prof. Aleksander Kosiba rozpoczął na wierzchowinie Karkonoszy prowadzenie zimowych badań niwalnych – to znaczy badań pokrywy śnieżnej – w okolicy Łabskiego Szczytu, Śnieżnych Kotłów i Szrenicy. Jak wspominał po latach, już na samym początku badań nasunął mu się pomysł za-

Rozbiórka drugiej przybudówki do bunkra, czerwiec 2008. Fot. Piotr Ropuszyński.

Pierwsza przybudówka do bunkra. Fot. ze zbiorów P. Ropuszyńskiego.

łożenia Filii Górskiej obserwatorium meteorologicznego na Szrenicy (1362 m n.p.m.). Chociaż w Karkonoszach funkcjonowało wtedy obserwatorium meteorologiczne na Śnieżce, to, jego zdaniem, Szrenica lepiej nadawała się do prowadzenia pomiarów, gdyż były one bardziej reprezentatywne dla otaczającego ją terenu. Natomiast wysoka, wyniosła Śnieżka odstawała swymi rezultatami od najbliższego otoczenia.

W tym czasie nikt jeszcze nie myślał o zagospodarowaniu starego, kamiennego schronu zwanego później potocznie bunkrem, jaki znajdował się na samym szczycie Szrenicy. To dosyć zagadkowy obiekt. Nic konkretnego na temat jego genezy nie udało się ustalić w jeleniogórskim archiwum, do którego zwróciłem się z zapytaniem. Odpowiedź była krótka: *„Odpowiadając na pismo w sprawie schronu, zwanego bunkrem, znajdującego się na Szrenicy, Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze uprzejmie informuje, iż w zasobie swoim nie odnalazło żadnych informacji dotyczących tej budowli. Nie wiemy też, gdzie dokumenty takie mogłyby się znajdować".*

Wiadomo na pewno, że schron na Szrenicy był niewielkim obiektem murowanym, przypuszczalnie pełniącym pierwotnie funkcję punktu obserwacyjnego. Nie posiadał drzwi ani zadaszenia, lecz pozwalał na ukrycie żołnierza znajdującego się w postawie stojącej. Szrenica, mimo niewielkiej wysokości względnej, w stosunku do otaczającej ją wierzchowiny Karkonoszy, stanowiła bowiem dogodny punkt obserwacyjny na dolinę rzeki Kamiennej, pobliski grzbiet Gór Izerskich, a nawet na położoną nieco dalej Kotlinę Jeleniogórską. Można stąd było obserwować ruchy wojsk w dolinach. Szczyt Szrenicy był doskonałym punktem obserwacyjnym, do czasu, aż w 1922 r., w odległości kilkudziesięciu metrów od niego, zbudowano schronisko turystyczne, które ograniczyło widoczność z wierzchołka w kierunku zachodnim. Prof. Krzysztof R. Mazurski, znawca Sudetów i autor wielu przewodników turystycznych przypuszcza, że bunkier mógł powstać w okresie Anschlussu Austrii przez Rzeszę Niemiecką, w związku ze wzrostem napięcia w stosunkach międzypaństwowych.

Ogródek meteorologiczny. W tle z lewej strony schronisko na Szrenicy, z prawej – podest nad bunkrem.

Szczyt Szrenicy nie zapisał się specjalnie w annałach II wojny światowej. Taki a nie inny rozwój wydarzeń na froncie sprawił, że nie było sensu toczyć bitwy o Szrenicę. Najbardziej rzucającą się pozostałością militarnych czasów stał się więc nie sam schron, lecz to, co było widoczne u podnóża góry, w Szklarskiej Porębie. Tam, jeszcze przez kilka lat po wojnie, drogę z miasta na Halę Szrenicką tarasowały potężne armaty na kołach, z których przedsiębiorczy Polacy zdarli gumę do swych potrzeb. Schron na Szrenicy pozostał zapomniany… Do czasu, aż górą zainteresowali się wrocławscy klimatolodzy.

W 1954 r. udało im się pozyskać od Zarządu Zakładów Energetycznych Okręgu Dolnośląskiego stalową, czworoboczną wieżę wysokiego napięcia o wysokości 23 m, stojącą gdzieś na wschód od Wrocławia. Robotnicy w czynie społecznym zdemontowali ją i przetransportowali do Wrocławia. Środkowy człon wykorzystano na miejscu, jako wieżę meteorologiczną, natomiast górny człon, o wysokości 6 m, w 1957 r. przewieziono w Karkonosze.

Na Szrenicę wieźli ją żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza, użyczając swego

Stara, metalowa tabliczka zamontowana niegdyś przez meteorologów przetrwała do dzisiaj. Fot. ze zbiorów P. Ropuszyńskiego.

sprzętu motorowego a także koni. Najtrudniejszym chyba zadaniem było przeciągnięcie stalowej konstrukcji przez rumowisko kamiennych głazów w kopule szczytowej. Wieżyczka ustawiona została nieco na wschód od wierzchołka Szrenicy, w odległości 78 m od schroniska, na wysokości 1357 m n.p.m. Do wieży dostawiono drabinkę, a na górze zamontowano metalowy podest, na wysokości ok. 7 metrów. Na nim umieszczono heliograf – czyli przyrząd do pomiarów usłonecznienia – i dwa termostosy do

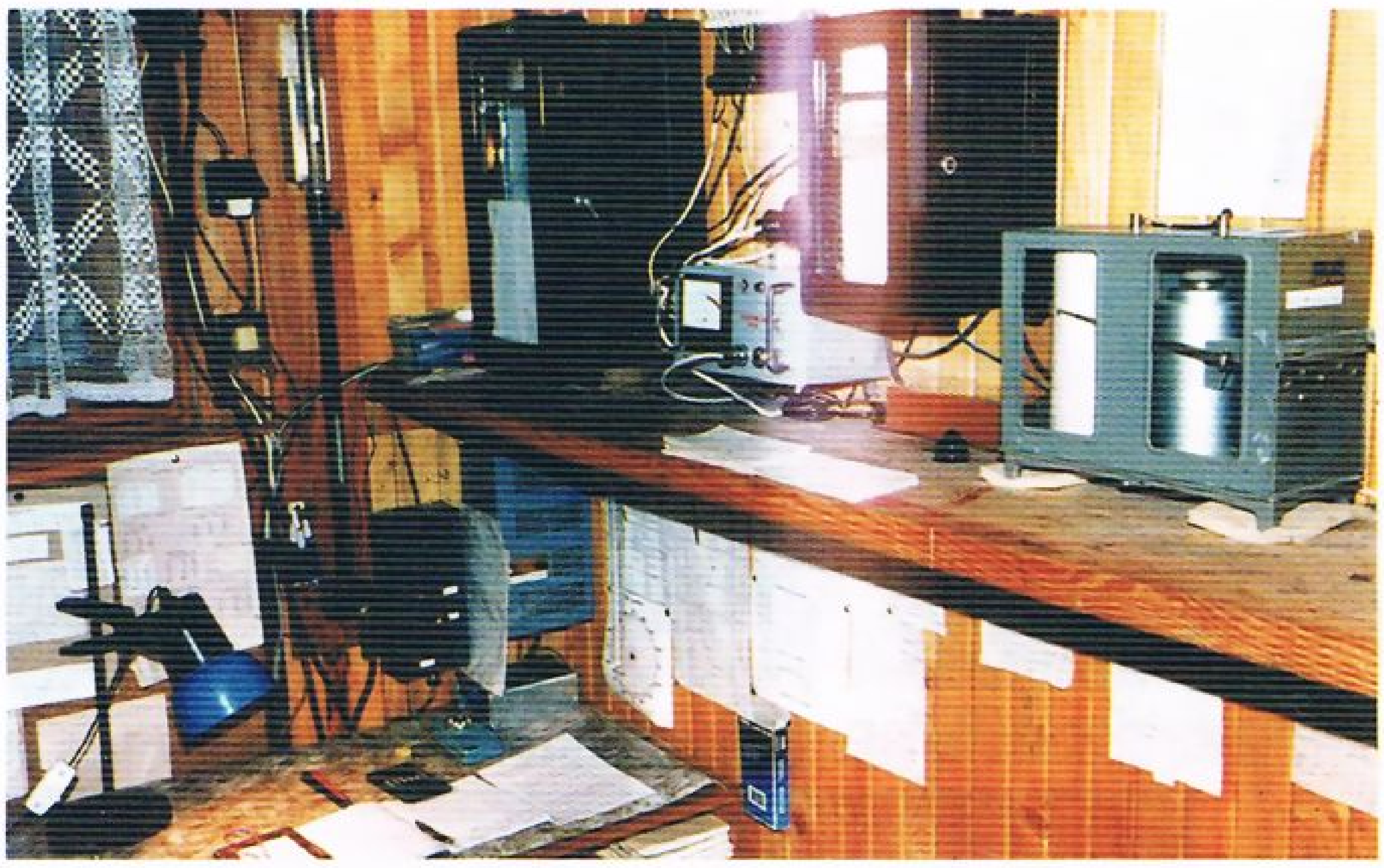

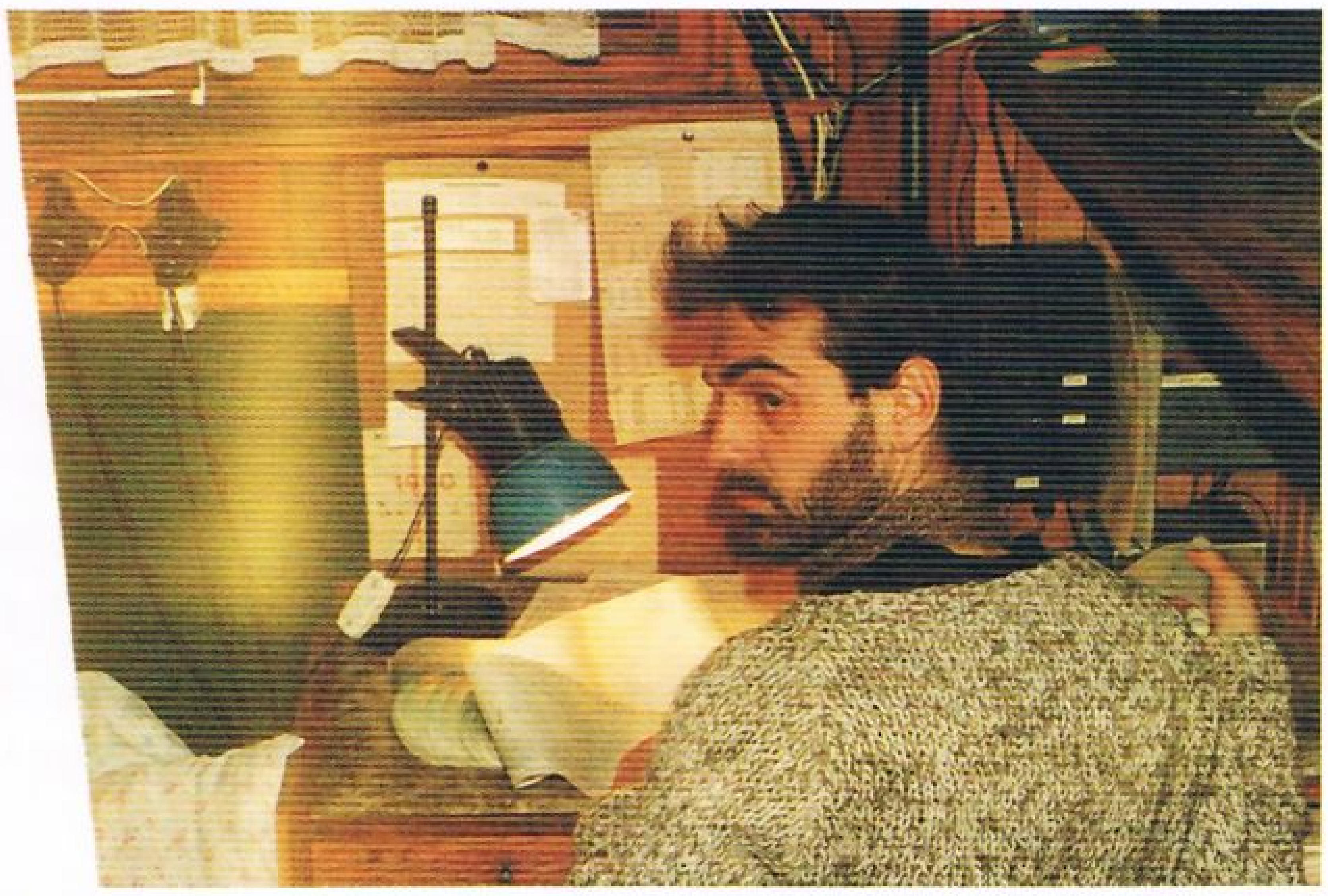

Wnętrze bunkra po zaadaptowaniu przez klimatologów wyglądało całkiem przytulnie. Fot. ze zbiorów P. Ropuszyńskiego.

mierzenia promieniowania słonecznego – całkowitego i rozproszonego. Tak urządzony punkt pomiarowy, zwany fachowo wieżą aktynometryczną, połączono kablem ze schroniskiem PTTK na Szrenicy. Dodajmy, że uzyskanie kabla nie było w tamtym czasie rzeczą prostą, konieczna była przychylność Okręgowej Dyrekcji Poczt i Telegrafów we Wrocławiu. W schronisku meteorolodzy mieli odtąd nie tylko swój pokój obserwacyjny, wynajęty na zasadach ulgowych od PTTK, lecz także taśmowe rejestratory galwanometryczne, barometr, barograf i anemograf. Podest pomiarowy umieszczono na dachu schroniska. Oprócz tego, w odległości 165 m od szczytu w kierunku granicy czechosłowackiej, urządzono ogródek meteorologiczny z klatką meteorologiczną i innymi przyrządami, położony na wysokości 1331 m n.p.m.

Takim oto sposobem w 1957 r. zaczęła funkcjonować Filia Górska na Szrenicy Obserwatorium Meteorologii i Klimatologii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Opisana nieco wcześniej siedmiometrowa wieża aktynometryczna, nie była wówczas dominantą krajobrazową Szrenicy, nie licząc oczywiście schroniska PTTK. Na samym bowiem szczycie, a więc tuż nad interesującym nas bunkrem, wznosiła się drewniana wieża triangulacyjna. Chociaż turyści nie raz i nie dwa wspinali się na tego typu wieże aby prowadzić dalekie obserwacje, było to prawnie zabronione. Nic dziwnego, że bunkier znajdujący się pod wieżą, po prostu nie rzucał się w oczy. Kiedy zaś trianguł na wierzchołku Szrenicy przestał istnieć? Trudno to ustalić. Na niewyraźnej fotografii, jaką zamieściła w kwietniu 1971 r. w jednym z numerów „Trybuna Ludu", widać jeszcze Szrenicę z wieżą triangulacyjną. Jednak z relacji meteorologów pamiętających Szrenicę z tamtego okresu wynika, że trianguła już wtedy nie było, gdyż zniknął pod koniec lat 60. Był za to bunkier…

– *Bunkier nie miał dachu, miał tylko ścianki* – opisuje go meteorolog, dr Jerzy Pereyma, który od października 1971 r. był pracownikiem Uniwersytetu Wrocławskiego i spędził wiele lat na Szrenicy. – *Zbudowany był z kamieni złączonych cementem. Miał chyba sześć metrów kwadratowych. Przygodnym turystom służył za… WC. Wysoki był po głowę. Jak ktoś stanął wewnątrz, to mu głowa wystawała.*

„Telefon był wojskowy, na korbę. Połączenie było możliwe tylko z wyciągiem. Raz dzwoniłem z Wrocławia do obserwatora na Szrenicy. Wyglądało to tak: wykręciłem numer do GOPR w Jeleniej Górze. Przekazałem wiadomość dyżurnemu ratownikowi na centrali. Ten przez radio skontaktował się z wyciągiem na Szrenicy. A potem pracownik wyciągu dzwonił telefonem na korbę do obserwatora. Odpowiedź szła tą samą drogą. Ech, to były czasy…"

Bunkier składał się wtedy z dwu części. Wchodziło się do okrągłej rotundy, z której po dwóch schodkach schodziło się do nieco niżej położonej części prostokątnej. Całość była bardzo brudna i zaniedbana. Tak wyglądało to mniej więcej do 1969 r., do czasu jego wstępnej adaptacji. Wtedy zadaszono bunkier, wybetonowano strop i wstawiono solidne drewniane drzwi, których wcześniej nie było. Na stropie położono papę, a na niej blachę. Na tym zamontowano podest obserwacyjny mieszczący szadziomierze i wiatromierze. Do bunkra podciągnięty został kabel elektryczny. Wnętrze wyłożono drewnianą boazerią. Wówczas nikt zapewne nie spodziewał się, że już wkrótce bunkier przymusowo stanie się siedzibą meteorologów…

Przeprowadzka do bunkra

Przyczynił się do tego pogarszający się stan schroniska PTTK na Szrenicy. Stopniowo ograniczano w nim liczbę miejsc noclegowych, aż wreszcie, od 1 sierpnia 1963 r., zaprzestano przyjmować turystów na noc. Odtąd działał tylko bufet, ale i ten decyzją Sanepidu 28 czerwca 1965 r. został zamknięty. Odtąd nieczynne schronisko stało puste, a decydenci nie mogli dojść do zgody, co do zakresu remontu – czy miał być kapitalny, czy skromniejszy. Chociaż dla turystów schronisko było zamknięte, to mało kto zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nadal jedynymi jego mieszkańcami byli meteorolodzy z Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmowali oni kilka pokoi na drugim piętrze schroniska. Tak było do czerwca 1971 r., kiedy to w schronisku zjawił się przedstawiciel wykonawcy remontu i poprosił meteorologów o pilną przeprowadzkę na parter, gdyż lada moment miał ruszyć remont. Naukowcy posłusznie wynieśli się z drugiego piętra do pokoiku na parterze, ale zapowiadanego remontu trudno się było dopatrzeć. Dopiero późną jesienią 1971 r. przyjechała ciężarówka ekipy remontowej. Robotnicy przywieźli

ze sobą piecyki, tzw. kozy. Widząc to meteorolodzy zwrócili im uwagę, aby nie palili w piecykach, gdyż ciągi kominowe były dziurawe i nieszczelne...

Aż wreszcie nadszedł dzień 25 stycznia 1972 roku.

Tego dnia na dyżurze w schronisku na Szrenicy przebywał obserwator-klimatolog Zbigniew Dulian. To on zawiadomił telefonicznie Zakład Meteorologii i Klimatologii Uniwersytetu Wrocławskiego o tym, że schronisko płonie. Z relacji osób, które dotarły do schroniska w dniu pożaru wiemy, że robotnicy mający prowadzić remont byli nietrzeźwi. Pożar udało się ugasić i schronisko uratować, ale straty były znaczne. Jeszcze tego samego dnia z Wrocławia na Szrenicę udała się grupka meteorologów, by ratować wyposażenie. Samochodem

Wieża aktynometryczna ustawiona w pobliżu bunkra, od której zaczęły się pomiary na Szrenicy. Fotografia z 1965 roku. Fot. ze zbiorów Zakładu Klimatologii i Ochrony Atmosfery Uniwersytetu Wrocławskiego.

marki Wołga dotarli w Karkonosze m.in. Danuta Kłak, Jerzy Michels i Jerzy Pereyma. W dniu pożaru zapadła decyzja o wyprowadzce ze schroniska na Szrenicy. Wszystkie przyrządy pomiarowe i cała aparatura jaka mieściła się w schronisku, została przeniesiona do bunkra. Jeszcze w dniu pożaru ze schroniska do bunkra przeniesiona została wersalka.

Przeprowadzkę dostrzegła lokalna prasa: *„Przed 17 laty z inicjatywy profesora Aleksandra Kosiby* – donosiła we wrześniu 1972 r. w jednym z lokalnych wydań „Gazeta Robotnicza" *– Zakład Klimatologii i Meteorologii Uniwersytetu Wrocławskiego zorganizował w schronisku na Szrenicy obserwatorium naukowo-badawcze. (...) Liczne przeszkody, na jakie napotykają obserwatorzy – dwukrotny pożar schroniska, wyłączenie z eksploatacji obiektu i obecny remont – zmusiły naukowców do znalezienia innego pomieszczenia. (...) Pracownicy placówki swoją siedzibę urządzili w starym bunkrze, który znajduje się na szczycie Szrenicy".*

Chociaż bunkier stał się punktem pomiarowym, to początkowo nie traktowano go jako jedynego punktu noclegowego. Odtąd, przez kilka lat aż do 1975 r., alternatywnym lokum dla meteorologów stał się wynajęty pokój w sąsiednim schronisku PTTK na Hali Szrenickiej. Stamtąd meteorolodzy mogli dochodzić do bunkra, a na noc wracać do położonego znacznie niżej schroniska. Aczkolwiek system pracy nie sprzyjał temu. Obserwacja wieczorna odbywała się o godzinie 21, a poranna o 6:30, więc zniechęcało to do nocnych wędrówek w głębokim śniegu zimą i mimo niewygody wolano spać w bunkrze.

Meteorolodzy nie mieli jednak szczęścia, bo oto 20 sierpnia 1975 r. spłonęła część schroniska PTTK na Hali Szrenickiej. Jeszcze przez jakiś czas po pożarze schroniska zajmowali oni na piętrze dwuosobowy pokój (od wschodniej strony), lecz gdy wkrótce rozpoczął się błyskawiczny remont i odbudowa, trzeba było opuścić i to lokum. Na szczęście nieco wcześniej zaczęto adaptację i rozbudowę bunkra. W 1974 r. powstała tak zwana pierwsza przybudówka. Splantowano skały, wyrównano teren i dobudowano pomieszczenie, w którym później, na skalnej półce, umieszczono dwa posłania na materacach piankowych. Po pożarze schroniska PTTK na Hali Szrenickiej pozostało sporo belek ze zniszczonej konstrukcji dachowej. Były one przeznaczone do wyrzucenia. Część z nich wykorzystali meteorolodzy, nosząc je mrówczym sposobem z Hali Szrenickiej na Szrenicę, używając ich do rozbudowy bunkra. W 1976 r. powstała tam druga przybudówka, mieszcząca m.in. łazienkę i toaletę, ale bez wody. W połowie lat 80. zaczęło w niej działać laboratorium hydrochemiczne. Wówczas to rozpoczęto pomiary zanieczyszczeń wód opadowych i z osadu mgielnego. Przybudówki były pierwotnie pokryte papą. Na dachu obu przybudówek, pod koniec lat 80. lub na początku 90., ułożona została blacha. Na tym wszystkim istniała drewniana konstrukcja umożliwiająca chodzenie po dachu bunkra. Natomiast stojąca na wschód od bunkra wieża aktynometryczna – od której zaczęły się pomiary – przestała funkcjonować w latach 70.

Niedługo potem bunkier na Szrenicy zyskał znowu rangę obiektu strategicznego, do którego zwykli śmiertelnicy przestali mieć dostęp.

13 grudnia 1981 r. po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, góry opustoszały. Schroniska położone w bezpośredniej bliskości granicy państwowej zostały, decyzją władz wojskowych, pozamykane. Podobny los spotkał szlaki turystyczne w Karkonoszach, biegnące wzdłuż granicy czy w jej pobliżu. Ze Szrenicy zniknęli narciarze i wędrowcy.

– W stanie wojennym był święty spokój – wspomina dr Jerzy Pereyma. *– Mieliśmy warunki luksusowe. Dowódca strażnicy WOP Kamieńczyk, Zbigniew Skoczylas, opiekował się nami. Z nim chodziliśmy na piwo do Voseckiej boudy. Skoczylas przywoził chleb i jedzenie naszym obserwatorom, bo wyciąg na Szrenicę nie chodził. WOP-iści pełniący służbę przychodzili się do nas zagrzać na chwilę, wypić herbatę. Takie względy mieliśmy z tego powodu, że jedna z naszych obserwatorek była córką wojskowego.*

Nie tylko dowódcy WOP, ale także żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza, pełniący służbę patrolową, zaglądali do bunkra, gdzie mogli liczyć na schronienie przy bardzo złych warunkach pogodowych. W zamian WOP-iści czasem przynosili klimatologom coś do jedzenia, lub też służyli im swoimi środkami transportu. Sami klimatolodzy, owszem, niekiedy stawali się „naruszycielami" granicznymi, np. wybierając się na spacer do odległego o kilka minut drogi czechosłowackiego schroniska Vosecka bouda.

Kopuła szczytowa Szrenicy. Fot. T. Rzeczycki.

Bunkier pozbawiony przybudówek. Stan z sierpnia 2014 roku. Fot. T. Rzeczycki.

WOP jednak przymykał na to oko i zwykle kończyło się tylko na pouczeniu.

Rozbiórki i pożegnania

Warunki panujące wewnątrz bunkra nie należały do rozkosznych. Dzięki doprowadzeniu prądu elektrycznego zapewnione było ogrzewanie i oświetlenie, ale niewielka kubatura nie zapewniała komfortu. Zimą problemem były duże ilości śniegu gromadzące się przy drzwiach wejściowych. Wejście było nieraz dosłownie zasypane białym puchem, bo obiekt stanowił naturalną barierę dla wiatru. Bunkier wrocławskich klimatologów narażony był nie tylko na zasypanie śniegiem. Chociaż tuż przed nim zamontowano piorunochron, to i tak dochodziło do uszkodzeń aparatury zamontowanej na podeście nad obiektem.

– *Instalację odgromową stanowiły: 2 maszty-iglice, ustawione po obu stronach budynku, i piorunochron na wieży. W czasie burz bywało bardzo groźnie i chyba tylko dzięki Bożej Opaczności nikomu nic się nie stało. To temat na osobne opowieści* – wspomina Witold Gorączko, który jako obserwator pracował na Szrenicy w 1982 r. oraz w latach 1989-2002. – *Warunki były spartańskie: powierzchnia nie więcej niż 7 m kw., początkowo ogrzewana kozą na węgiel, woda donoszona w bańce z wyciągu, mycie w misce, toalety brak, częste były przerwy w dostawie prądu. W tamtych czasach ludzie mieli zupełnie inne podejście do pracy i w ogóle do życia. Przepisy BHP, przeciwpożarowe, prawo pracy istniały tylko w teorii i nikt się tym nie przejmował. Spędzało się tam 1-2 tygodnie na samotnych dyżurach, przez okrągły rok. Jedynym towarzyszem był pracownik w górnej stacji wyciągu, który także mieszkał tam na tygodniowej służbie. Siłą rzeczy utrzymywało się przyjacielskie stosunki, odwiedzając się wzajemnie wieczorami i zapraszając na własnoręcznie ugotowane posiłki. Było bardzo romantycznie. Dzięki pomysłowości jednego z obserwatorów, dr. Mieczysława Sobika, mieliśmy różne udogodnienia, np. instalację do zbierania z rynny wody opadowej do celów gospodarczych. Niestety, olbrzymie zanieczyszczenie powietrza przez liczne w okolicy elektrownie spalające węgiel brunatny powodowały, że woda ta niekiedy nadawała się tylko do spłukiwania ubikacji. Dopiero na początku lat 90. poziom zanieczyszczeń uległ radykalnemu obniżeniu. Wodę do celów spożywczych przynoszono w bańce z górnej stacji wyciągu, a gdy był nieczynny – w tamtych czasach były to dość częste przypadki – ze studzienki poniżej szczytu.*

Stojący na szczycie Szrenicy bunkier nie rzucał się w oczy.

Tłumy turystów ciągnących szlakiem granicznym obok szczytu nie miało pojęcia o jego istnieniu. To zresztą dobrze świadczy o budowniczych tego obiektu, że potrafili go umiejętnie wkomponować w skalne otoczenie. Mimo tego klimatolodzy pamiętają, że zdarzali się zbłąkani turyści i niezapowiedziani goście. Poczucie bezpieczeństwa mógł dawać telefon „na kręciołek", umożliwiający połączenie z górną stacją wyciągu krzesełkowego na Szrenicę, skąd najbliżej mogłaby nadejść pomoc. – *Telefon był wojskowy, na korbę* – opisuje Witold Gorączko. – *Połączenie było możliwe tylko z wyciągiem. Raz dzwoniłem z Wrocławia do obserwatora na Szrenicy. Wyglądało to tak: wykręciłem numer do GOPR-u w Jeleniej Górze. Przekazałem wiadomość dyżurnemu ratownikowi na centrali. Ten przez radio skontaktował się z wyciągiem na Szrenicy. A potem pracownik wyciągu dzwonił telefonem na korbę do obserwatora. Odpowiedź szła tą samą drogą. Do prawdziwego telefonu trzeba było iść na Halę Szrenicką. Ech, to były czasy... Na początku lat 90. pojawiło się CB radio.*

W 1989 r. skończył się w Polsce komunizm, ale rozpoczęty kilka dekad wcześniej remont schroniska PTTK na Szrenicy jak trwał, tak trwał i końca nie było widać. Obiekt przez ćwierć wieku wyłączony był z eksploatacji, co być może stanowi niepobity dotąd rekord niegospodarności. W końcu Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze uznało, że najlepiej będzie pozbyć się obiektu. Kupił go Wojciech Kłopotowski z Warszawy, który w krótkim czasie ukończył remont i 19 grudnia 1992 r. otworzył schronisko dla turystów – po ponad 29 latach od zaprzestania w nim udzielania noclegów...

Zbiegło się to z przemianami technologicznymi w szrenickim obserwatorium meteorologicznym. W 1992 r. naukowcy otrzymali duży grant, czyli dotację finansową na realizację przedsięwzięcia naukowego. Dzięki temu zakupiono przyrządy do automatycznego pomiaru. Wkrótce też bunkier przestał pełnić funkcję codziennego mieszkania dyżurujących w nim obserwatorów. Od 12 do 16 listopada 1993 r. trwała przeprowadzka z bunkra do schroniska na Szrenicy. Tam, w pokoju nr 11 na parterze, klimatolodzy zyskali nową kwaterę. Mieli też własną kuchnię i łazienkę. Od tego momentu w bunkrze nie było już żadnych przyrządów pomiarowych, pozostały jedynie te, które były na podeście nad bunkrem. W latach 90. GOPR-owcy zdemontowali niepotrzebną, byłą wieżę aktynometryczną. Odtąd bunkier służył jako awaryjne lokum – stare pomieszczenia na szczycie funkcjonowa-

ły nadal, jako dodatkowe miejsca noclegowe dla studentów lub pracowników. W tym czasie zdarzały się włamania do obiektu; w latach 90. XX wieku dwukrotnie skradziono kule od heliografu.

Ostatni stały dyżur wrocławskich meteorologów w schronisku na Szrenicy zakończył się poranną obserwacją 1 października 2002 r., której dokonał Witold Gorączko. Powód był prozaiczny – ze względów finansowych zredukowana została liczba pracowników. W związku z tym funkcję obserwatora przejął – po przeszkoleniu – Rafał Kinebok, wówczas zatrudniony jako pracownik schroniska na Szrenicy. Funkcję tę pełnił krótko w 2006 r., później przez dłuższy czas. Gdy przestał pracować w schronisku, a jego następcy nie udało się znaleźć, trzeba było przerwać stałe obserwacje. W latach 2002-2008 raz na miesiąc, jednego dnia, przyjeżdżał na Szrenicę pracownik z Uniwersytetu Wrocławskiego w celu zebrania materiałów, aby przeprowadzić uzupełniające pomiary oraz na kontrole. Jego pobyty były dłuższe w przypadku urlopów pracownika schroniska. Natomiast od 2008 r. pracownik naukowy przyjeżdżał na dyżury tylko raz w miesiącu, na tydzień. Ostatni taki dyżur miał miejsce od 11 do 18 września 2013 r., a ostatnim dyżurującym był Piotr Ropuszyński.

Od tego momentu na Szrenicy mierzona jest tylko wilgotność powietrza oraz temperatura – sposobem automatycznym. Jednak nie brak nowoczesnej technologii sprawił, że bezpośredni nadzór naukowców przestał być potrzebny, lecz prozaiczna likwidacja etatów. Wiadomo, że w warunkach zimowych, kiedy przyrządy wymagają odśnieżania lub też łatwiej ulegają awarii, nic nie zastąpi obecności człowieka…

Taki obrót sprawy nie mógł być obojętny dla losów bunkra. W 2002 r., w związku z zaprzestaniem stałych dyżurów klimatologów, odcięto linię elektryczną zasilającą obiekt. Brak ogrzewania sprawił, że dobudowane z drewna pomieszczenia zaczęły ulegać szybkiej degradacji. Przed 2008 r. rozebrana została tzw. druga dobudówka. Rozbiórkę starszej z dwóch dobudowanych części dokonali w dniach od 23 do 26 czerwca 2008 r. klimatolodzy: Witold Gorączko i Piotr Ropuszyński oraz starszy technik, majster Henryk Karal. Materiał z rozbiórki przybudówek zużytkowano częściowo na miejscu, gdyż drewno przeznaczono na opał w schronisku, a resztę zwieziono na wysypisko. Bunkier wrócił więc może nie do pierwotnego stanu, ale do gabarytów zbliżonych do oryginalnych. Pozostały drzwi i strop zamontowane przez meteorologów. I stara, metalowa tabliczka.

Wybrane źródła:
1. A. Kosiba, „Obserwacje podstawowe i badania specjalne w 1957 r." [w:] „Prace Obserwatorium Meteorologii i Klimatologii Uniwersytetu Wrocławskiego" nr 12; Wrocław 1966, s. 4-13
2. „Gazeta Robotnicza" [wyd. J] nr 231 (7598), 28.9.1972, s. 6
3. „Przegląd Uniwersytecki" nr 1 (198), 2013, s. 38-39
4. Archiwum Straży Granicznej w Szczecinie, zesp. Sudecka Brygada WOP, sygn. 289/38, k. 298

Tomasz Rzeczycki
Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI
Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Wybuchowe otwarcie militarnego „Gryfa”

MONIKA I KATARZYNA KRZYŻAŃSKIE

29 maja br. na rozległym 15-hektarowym terenie po b. JW 1068 w podwejherowskiej Dąbrówce swoje nowe siedziby otwarły dwie prywatne placówki muzealne: Muzeum Techniki Wojskowej „Gryf” i Muzeum Saperskie Explosive. Otwarcie przybrało wielce podniosły charakter. Gospodarzem był właściciel MTW „Gryf” Marian Kotecki. Nad realizacją każdego punktu programu czuwała Aleksandra Kuczkowska.

Uroczystości uświetnili przedstawiciele lokalnych władz, Wojska Polskiego, Marynarki Wojennej, Sił Powietrznych, weterani służący w JW 1068 oraz delegacje z Ambasady USA w Polsce. Wisienką na torcie była obecność kompanii reprezentacyjnych z 44. Bazy Lotnictwa Morskiego w Siemirowicach i 33. Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej.

Gościem specjalnym był Bogusław Wołoszański.

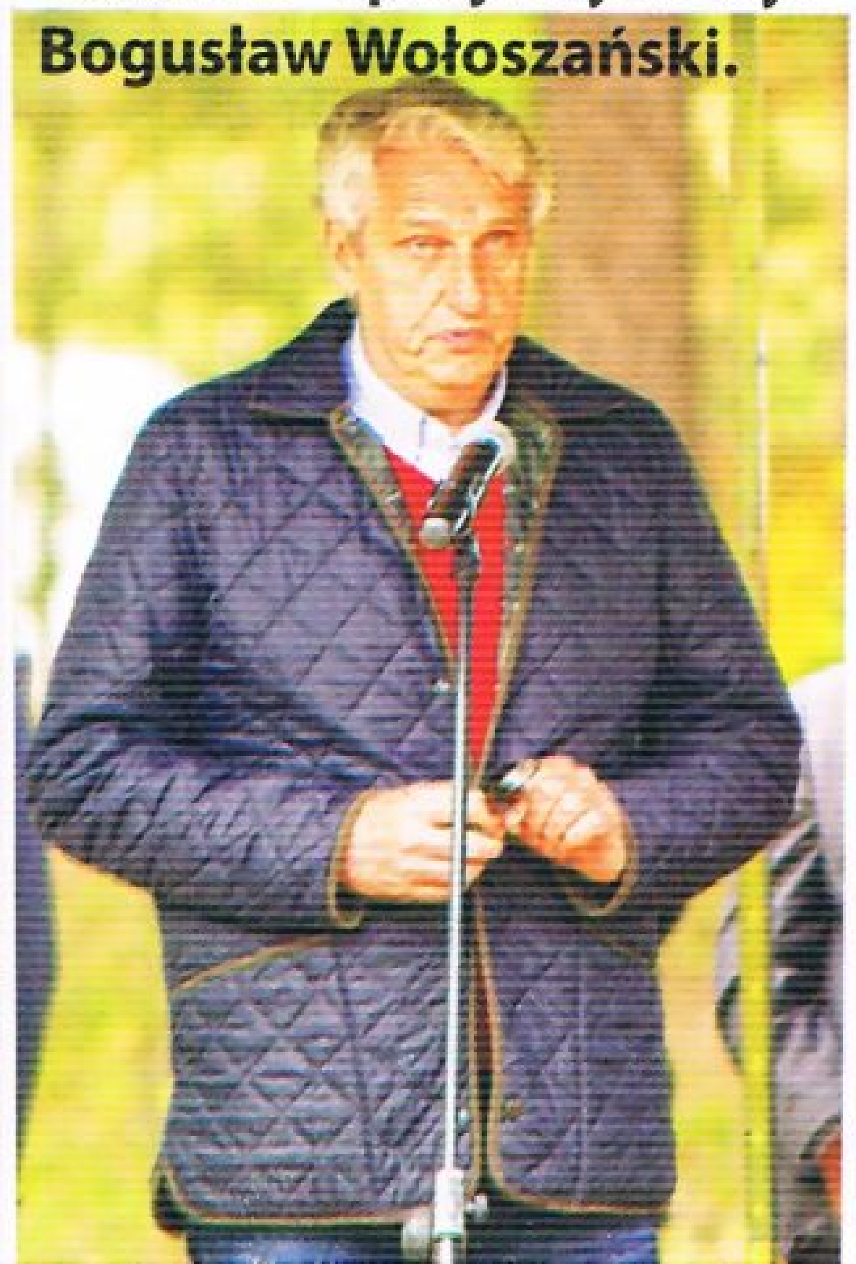

Aleksandra Kuczkowska i Marian Kotecki przed tablicą upamiętniającą żołnierzy 25. Dyw. Rak. OP.

Złożenie kwiatów przed tablicą pamiątkową poświęconą żołnierzom i dowódcom 25. Dyw. Rak. OP i przecięcie wstęgi przez Mariana Koteckiego – Muzeum Saperskie otwarte…

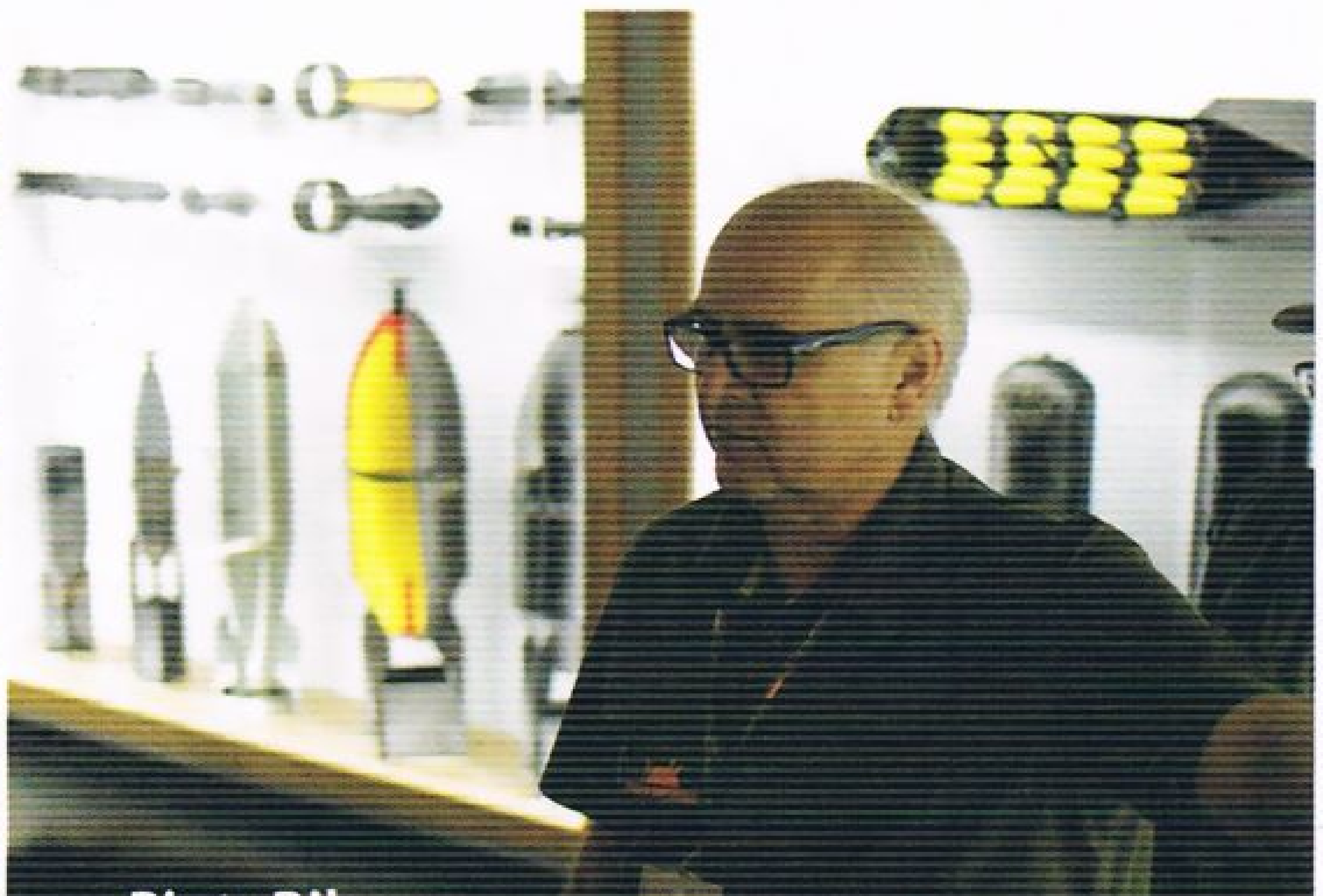

MUZEUM SAPERSKIE

Piotr Bik

twórca jedynego w Polsce prywatnego Muzeum Saperskiego, które powstało w oparciu o zbiory specjalistycznej firmy saperskiej Explosive, należącej do Hanny i Piotra Bików. Zbiory Muzeum obejmują liczne i unikatowe przedmioty związane z pracą saperów począwszy od I wojny światowej, m.in. sprzęt do wysadzania i wykrywania min oraz całą gamę pozostałości wojennych, ciągle jeszcze stanowiących zagrożenie.

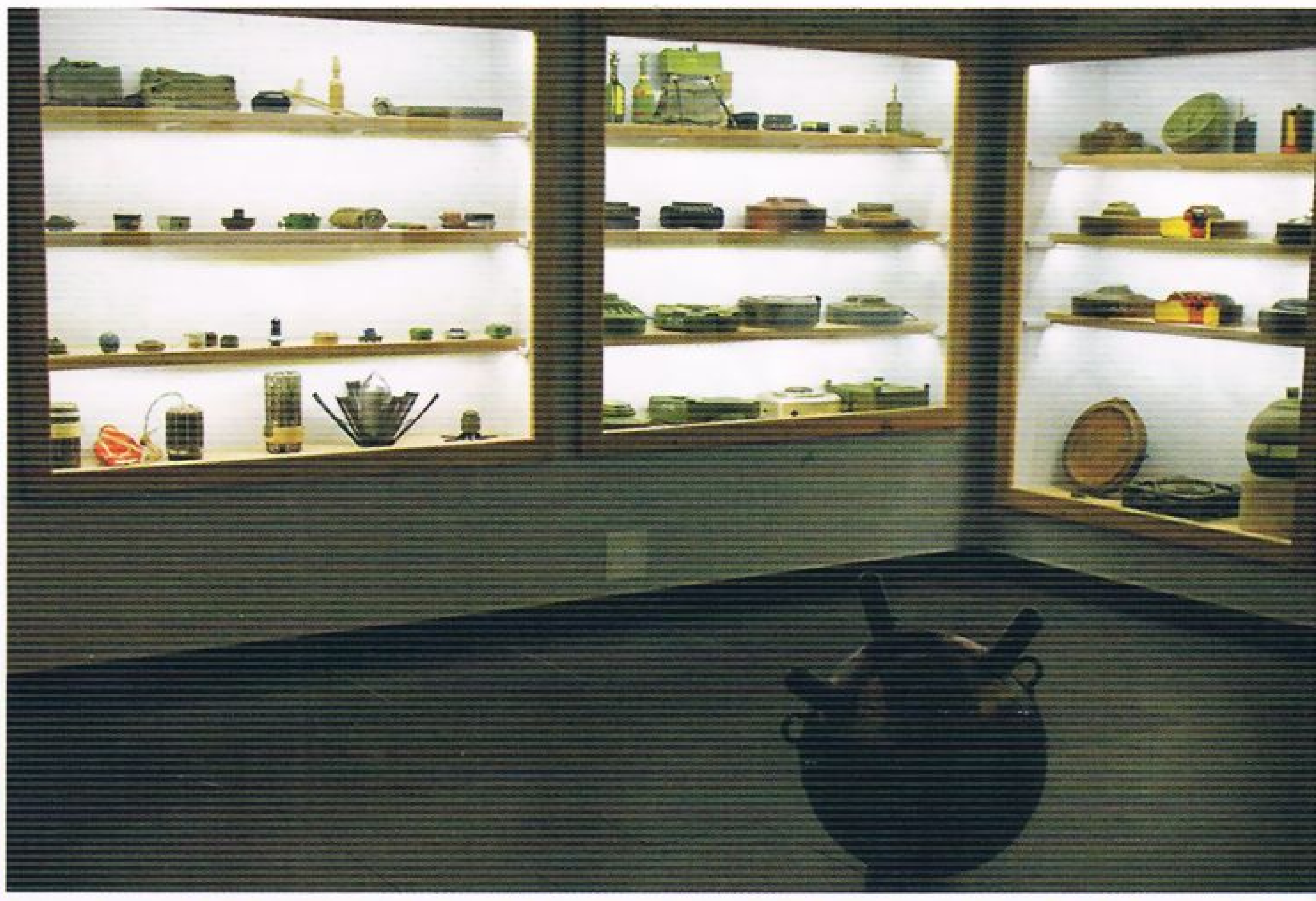

Pokaz pieczołowicie odrestaurowanych pojazdów należących do MTW „Gryf" Mariana Koteckiego można było podziwiać z platformy widokowej, która już wkrótce zamieni się w amfiteatr. W zbiorach Muzeum znaleźć można m.in. ciężarówki: Opel Blitz, Mercedes Benz J 1500 i 3000 A, Magirus Klöckner Deutz; dwa czołgi T-34-85, transpoter opancerzony OT-810 (Sd.Kfz.251), replikę Pz.Kpfw. V „Panther" oraz sowieckie działo samobieżne ISU-152; także przepiękne Ople: Olympia i luksusowy Super 6. W Muzem znajduje się także sala poświęcona uzbrojeniu i wyposażeniu żołnierzy podczas II wojny światowej.

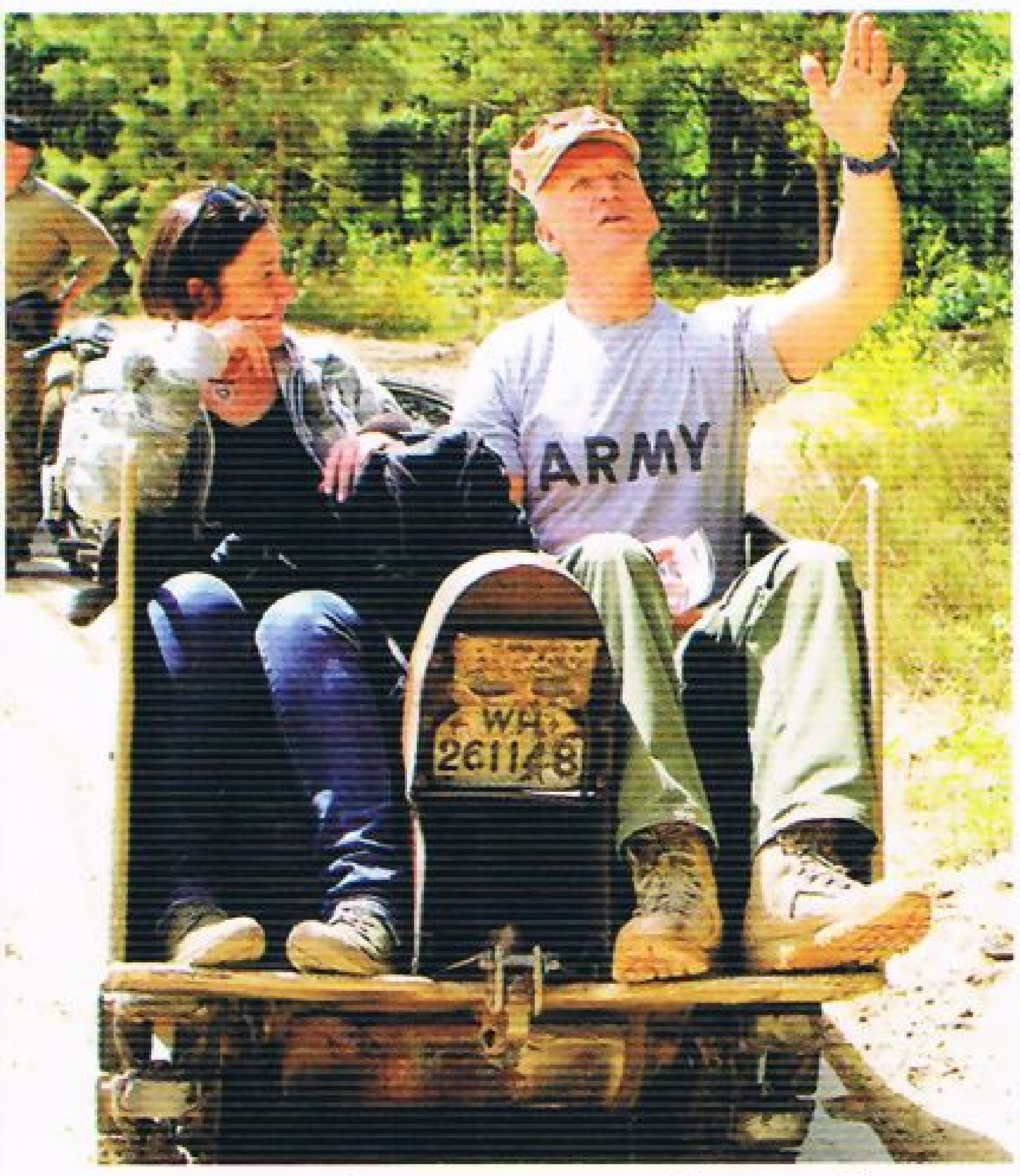

Kasia, fotoreporterka „Odkrywcy", zasłuchana w wizje roztaczane przez Mariana Laskowskiego, komandora darłowskiego zlotu.

„Ostatnie dni wojny", czyli magiczny Piknik Historyczny

Trudno słowami opisać to, co działo się przez dwa dni – 30-31 maja – na warszawskiej Białołęce, a ściślej mówiąc, na terenach Portu Żerańskiego. III Piknik Historyczny odwiedziło blisko 12 tysięcy ludzi, a ilość atrakcji przygotowanych przez Organizatorów: Fundację Ochrony Zabytków Militarnych, Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich i Radnego Dzielnicy Białołęka Marcina Korowaja – przyprawiał o zawrót głowy. Atmosfera była magiczna.

Na pancerzu czołgu T-72 (ostatni nabytek Muzeum) zasiedli honorowi Goście, to znak, że Piknik czas zacząć…

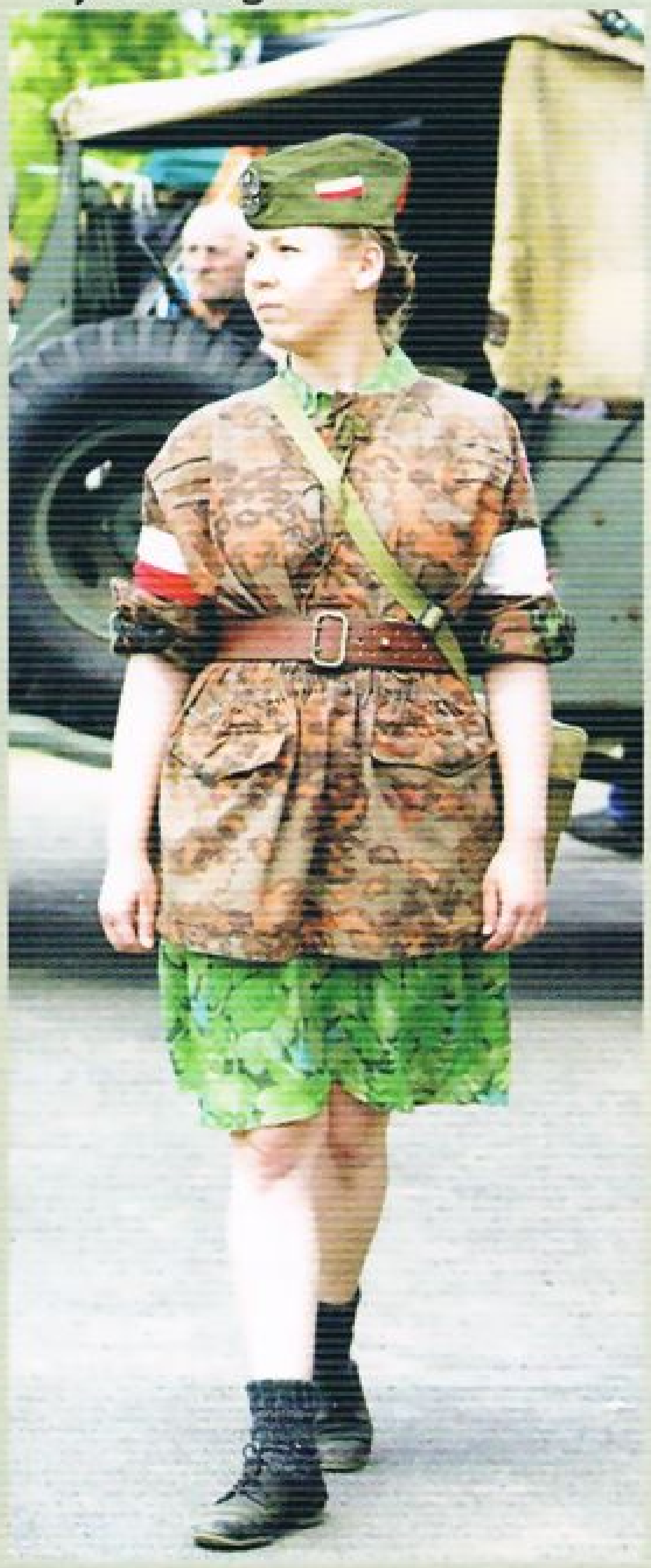

ORGANIZATORZY

Martyna Kęszycka

Stanisław Kęszycki

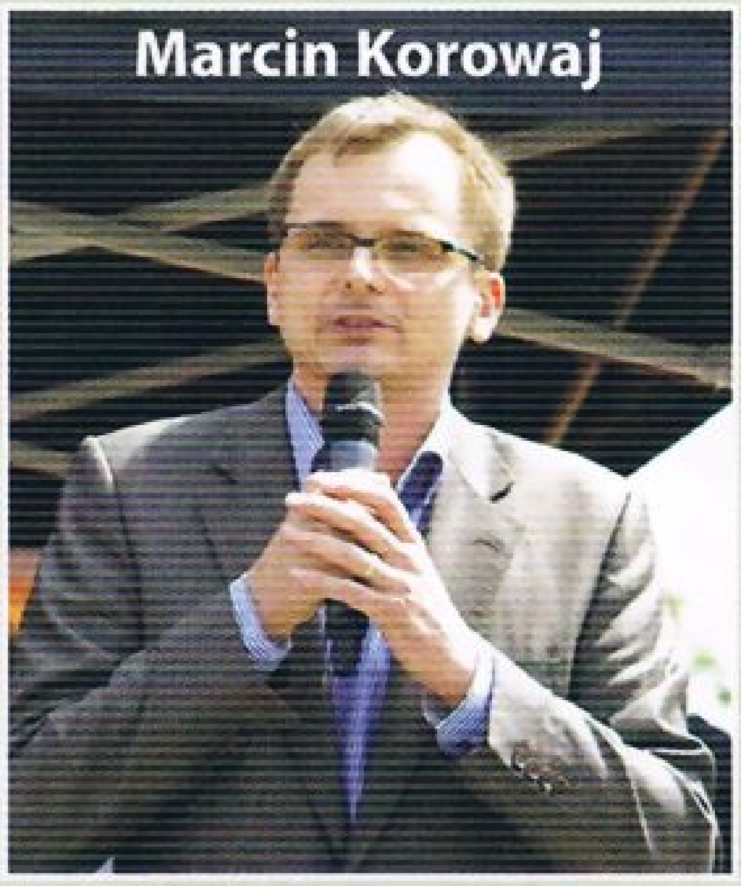

Marcin Korowaj

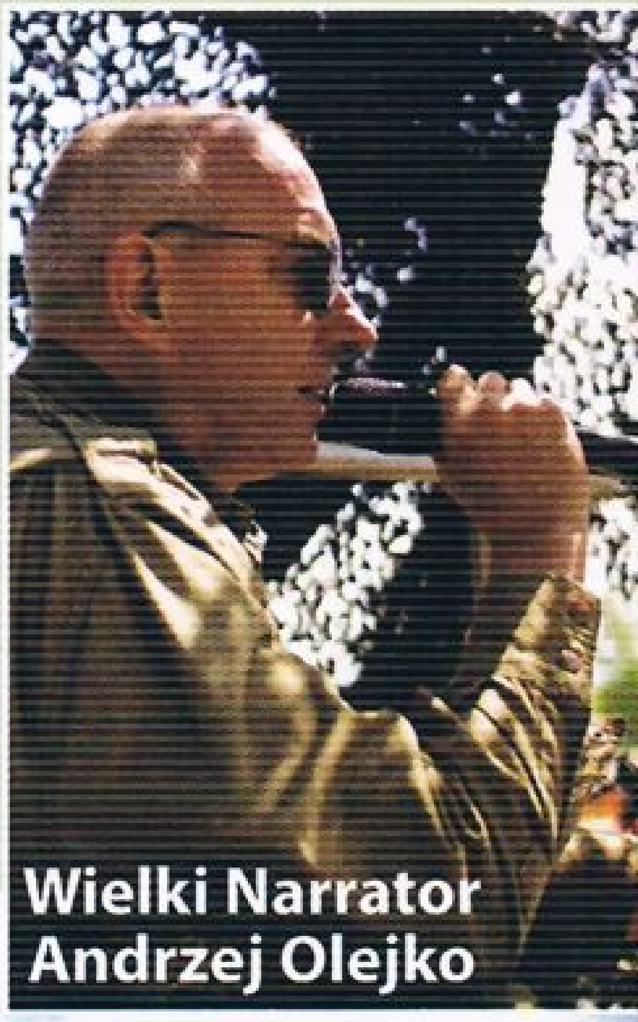

Wielki Narrator Andrzej Olejko

PATRONAT MEDIALNY

ODKRYWCA

Pokaz mody cywilnej i wojskowej przygotowany przez GRH „Bluszcz" – piękne i odważne… Reszta jest tylko dodatkiem do Nich.

Historyczne pojazdy są niekwestionowanymi gwiazdami każdej imprezy militarnej. Im więcej, tym lepiej, a na Pikniku było w czym się rozsmakować. Nic dziwnego, bowiem Muzeum Braci Kęszyckich posiada największą w Polsce kolekcję unikatowych sprzętów. Było więc co podziwiać i czym jeździć. Długie kolejki oczekujących na przejażdżki czołgami do późnych godzin wieczornych nie malały…

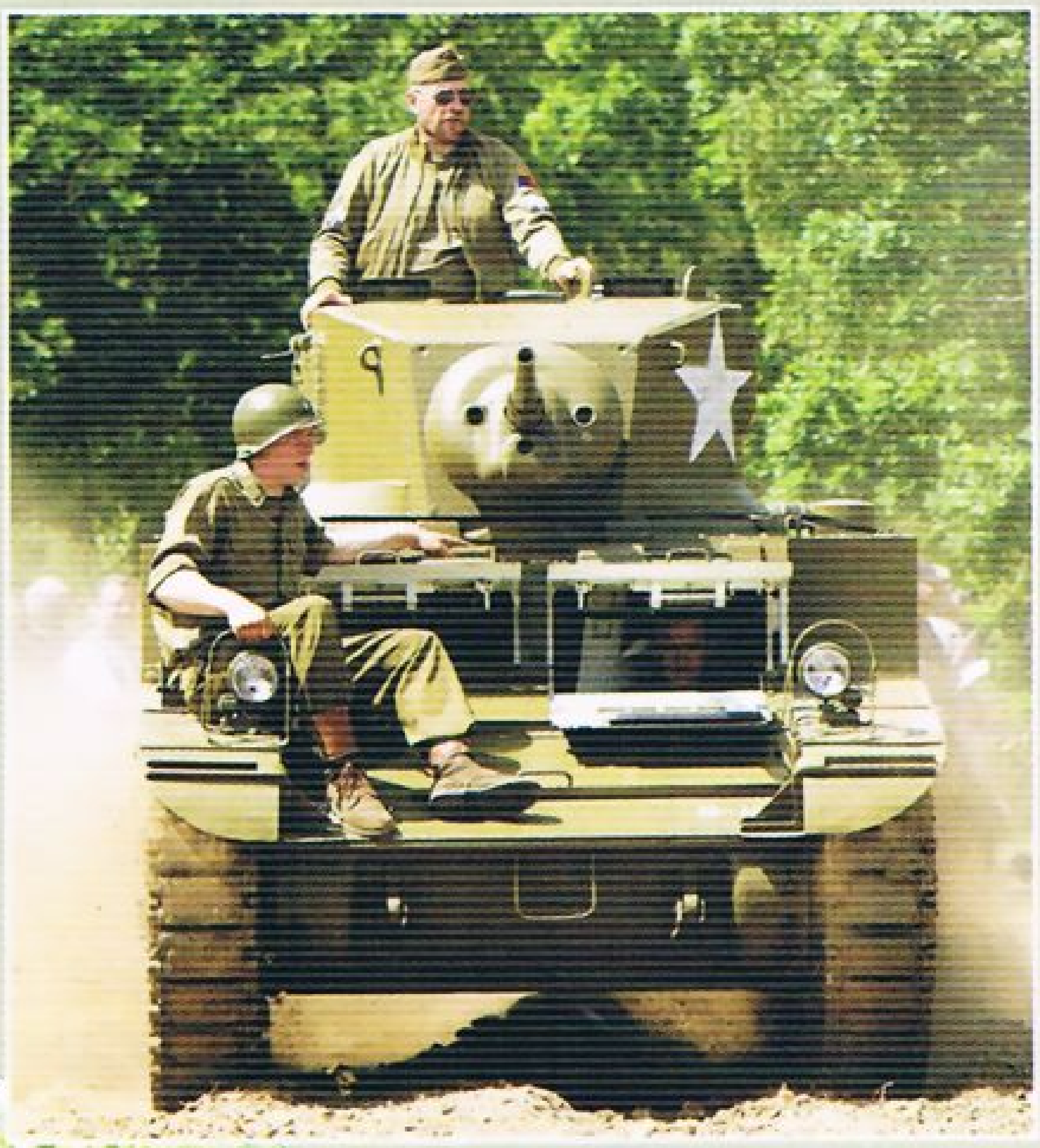

Hitem tej edycji Pikniku były inscenizacje historyczne ukazujące walki na frontach w ostatnich dniach II wojny światowej. Widok forsowanego Kanału Żerańskiego, zaparł dech niejednemu widzowi. Sceny iście filmowe…

Pancerny weekend w Porcie Żerańskim na długo pozostanie w pamięci tych, którzy go odwiedzili.

ZDJĘCIA: MONIKA I KATARZYNA KRZYŻAŃSKIE, JACEK DYBA

Odlotowy Aerofestival

PIOTR MASZKOWSKI

Takiej imprezy lotniczej dawno już nie było. Przynajmniej jeśli chodzi o skalę, poziom i bogaty program pokazów. W weekend 14-15 czerwca br. nad poznańskim lotniskiem Ławica zgromadziły się dziesiątki tysięcy miłośników awiacji, by podziwiać zorganizowany z rozmachem m.in. przez Międzynarodowe Targi Poznańskie najprawdziwszy festiwal lotnictwa.

Legendarne maszyny II wojny światowej:

Angielski Supermarine Spitfire...

... amerykański P-51D Mustang...

... amerykański samolot pokładowy F-4U Corsair...

Dla uszu i oczu każdego pasjonata lotnictwa impreza ta była z pewnością wykwintną ucztą zmysłów. Ryk wszelkiego rodzaju silników, począwszy od tłokowych, poprzez turbośmigłowe, aż do odrzutowych wypełnił dźwiękami przestrzeń podpoznańskiego lotniska. Zmysły rozbudzały „jastrzębie" (F-16) z pobliskich Krzesin, które jednak tym razem nie dały specjalnego popisu przelatując nad głowami publiki.

Jednak jakikolwiek możliwy manewr by nie wykonały, i tak zapewne daleko by im było do „tureckich gwiazd" („Turkish Stars"), które dały zapierający dech w piersiach popis akro-

… oraz radziecki samolot myśliwski Jak-3.

Samolot pasażerski z lat 30. Beechcraft C-45 Twinbeech.

bacji w wykonaniu 8 samolotów wielozadaniowych F-5 Freedom Fighter. Podobny poziom, lecz na mniejszą skalę, prezentował zespół „bałtyckich pszczół" („Baltic Bees") – łotewskiego lotnictwa wojskowego na szkolno-treningowych Albatrosach (L-39). Sporo skromniejszy, lecz dla pasjonatów historycznych samolotów dużo ciekawszy pokaz, dał zespół latający na dwóch brytyjskich de Havilandach Vampire – odrzutowcach, które weszły do służby pod koniec II wojny światowej. Z tego też okresu można było podziwiać legendarne do dziś maszyny, które wygrały ten konflikt – angielskiego Supermarine Spitfire, amerykańskie P51D Mustang i F4U Corsair oraz radzieckiego Jaka-3. Ponadto na uwagę zasługiwała obecność dwusilnikowego samolotu pasażerskiego z lat 30. Beechcraft C-45 Twinbeech, dwupłatowca Boeing Stearmann, jak również m.in. uczestniczących w wojnie wietnamskiej OV-10 Bronco i Cessny O2 Skymaster.

Z ciekawostek prezentowanych wyłącznie statycznie, warto wspomnieć o gościach specjalnych z Królewskich Sił Powietrznych w postaci wielozadaniowej maszyny o zmiennej geometrii skrzydeł Panavia Tornado oraz szkolno-treningowego BAE Hawk. Zachwyt wzbudzały również ewolucje śmigłowców, szturmowego TAH-1 Cobra, BO-105 i rodzimego SW-4.

Poznański Aerofestival można z pewnością uznać za udaną imprezę, mimo, że pierwszego dnia natura nieco pokrzyżowała plany organizatorom. Panujące w regionie gwałtowne burze oraz konieczność utrzymania w tym samym czasie ruchu lotniczego z lotniska Ławica sprawiły, że nie wszystkie pokazy ze względu na bezpieczeństwo lotów mogły się odbyć zgodnie z harmonogramem. Przyczyny zakłóceń nie były więc zależne od organizatora, który zresztą dołożył wszelkich starań, by całość przedsięwzięcia zrealizować na najwyższym poziomie. W przyszłym więc roku należy się spodziewać kolejnej edycji, na której z pewnością i nas nie zabraknie.

ZDJĘCIA: KATARZYNA I MONIKA KRZYŻAŃSKIE.

Pokaz zespołu akrobacyjnego „Turkish Stars" tureckich sił powietrznych na samolotach F-5 Tiger.

Zespół „Baltic Bees" łotewskiego lotnictwa prezentuje akrobację na czechosłowackich samolotach szkolno-treningowych L-39 Albatros.

Pokaz brytyjskich de Havilandów Vampire.

Poczdam 1945: Wielka Trójka

PIOTR GALIK

Gdy dobiegają końca wielkie wojny, nadchodzi czas remanentu strat i zysków. Czas odbudowy pokojowego ładu międzynarodowego, odzwierciedlającego wynik starcia mocarstw. Niekiedy nowy układ trwa mniej, niż życie jednego pokolenia, jak Traktat Wersalski z 1919 r., a czasami ustala warunki politycznej rozgrywki na cały wiek, jak Kongres Wiedeński (1814-1815). Także po zakończeniu walk na europejskich frontach II wojny światowej, największego konfliktu w historii ludzkości, przywódcy zwycięskich mocarstw zasiedli do obrad, by w drodze niełatwego kompromisu utrwalić traktatowo stan równowagi pomiędzy ich aspiracjami i możliwościami, siłami i zamiarami.

Wielka Trójka w Poczdamie. Trzej ludzie, którzy stworzyli podwaliny europejskiego ładu na blisko pół wieku.

Konferencja Poczdamska (17 lipca – 2 sierpnia 1945 r.), która odbyła się niemal dosłownie na gruzach stolicy III Rzeszy, położyła podwaliny pod międzynarodowy porządek, funkcjonujący w Europie przez blisko pół wieku, a w wielu aspektach obowiązujący nadal. Spróbujmy więc z perspektywy 70 lat spojrzeć na jej głównych uczestników, by lepiej zrozumieć ich motywacje i tło decyzji, które zaważyły na losach nie tylko naszego kraju.

Jaśnie Panicz wypada z ringu

Lord Winston Leonard Spencer-Churchill (1874-1965), po mieczu potomek księcia Marlborough (1650-1722), a po kądzieli wnuk amerykańskiego milionera, był żywym symbolem przenikania się dawnych i nowych elit Zachodu. Wyjątkowa pozycja społeczna, jaką odziedziczył wraz z arystokratycznymi tytułami i ogromnym majątkiem rodzinnym, wręcz skazywała „jaśnie panicza" Winstona na wielką karierę w służbie cywilnej lub wojskowej Imperium Brytyjskiego. Staranna edukacja w elitarnych szkołach w Ascot, Harrow i Sandhurst, służba wojskowa w ekskluzywnym pułku kawalerii (4th Queen's Own Hussars) stacjonującym w Indiach, udział w kolonialnych wojnach w Sudanie i Afryce Południowej, gdzie zyskał sławę dzięki dramatycznej ucieczce z niewoli, a po opuszczeniu armii działalność polityczna (w 1900 r. zasiadł na ławie poselskiej Izby Gmin jako deputowany Partii Konserwatywnej) ukształtowały charakter Churchilla jako człowieka nieustępliwego, bezkompromisowego, a zarazem klasycznego brytyjskiego lorda, emanującego trudną do naśladowania mieszanką nonszalancji i elegancji, impertynencji i uprzejmości w obcowaniu z głowami państw i przedstawicielami elit władzy. W tych kręgach obracał się przez całe swoje dorosłe życie, pełniąc wiele poważnych funkcji państwowych.

Gdy w maju roku 1940 Winston Churchill, będący już w 66 roku życia, mianowany został szefem brytyjskiego rządu, nad Imperium gromadziły się przysłowiowe czarne chmury. Porażka Francji, klęska Korpusu Ekspedycyjnego, zmuszonego do porzucenia broni i pojazdów w Dunkierce, narastające zagrożenie ze strony niemieckiego lotnictwa i floty podwodnej wydawały się skazywać nowego premiera na szybką utratę poparcia opinii publicznej. Stało się jednak inaczej. Twarde, zdecydowane słowa Churchilla, który oznajmił rodakom: *„mogę wam obiecać tylko krew, znój, łzy i pot"* oraz zapowiedział: *„będziemy walczyć na plażach, na polach, na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie poddamy"* przekonały Brytyjczyków do wielu wyrzeczeń, które miały być ceną zwycięstwa. Cena zwycięstwa okazała się jednak w 1945 r. znacznie wyższa, niż ktokolwiek mógł pięć lat wcześniej przewidzieć. Imperium Brytyjskie poniosło ogromne ciężary materialne wojny totalnej, lecz mimo to w konfrontacji z innymi supermocarstwami uległo degradacji, bezdyskusyjnie tracąc światowy prymat. Przejawem słabości Zjednoczonego Królestwa stał się bolesny dla Churchilla kompromis ze znienawidzonym od lat Związkiem Sowieckim, z konieczności hołubionym i dowartościowywanym kosztem mniejszych krajów Europy Środkowo-Wschodniej i Bałkanów. Wobec nadrzędnego celu – pokonania Niemiec – Churchill musiał zrezygnować z własnej koncepcji powojennego ładu, opartej na zatrzymaniu Stalina jak najdalej na wschodzie. Co więcej, „naturalny sojusz" z USA także wiązał się z szeregiem gestów wskazujących nie na partnerskie, lecz raczej klientalne relacje pomiędzy Londynem a Waszyngtonem.

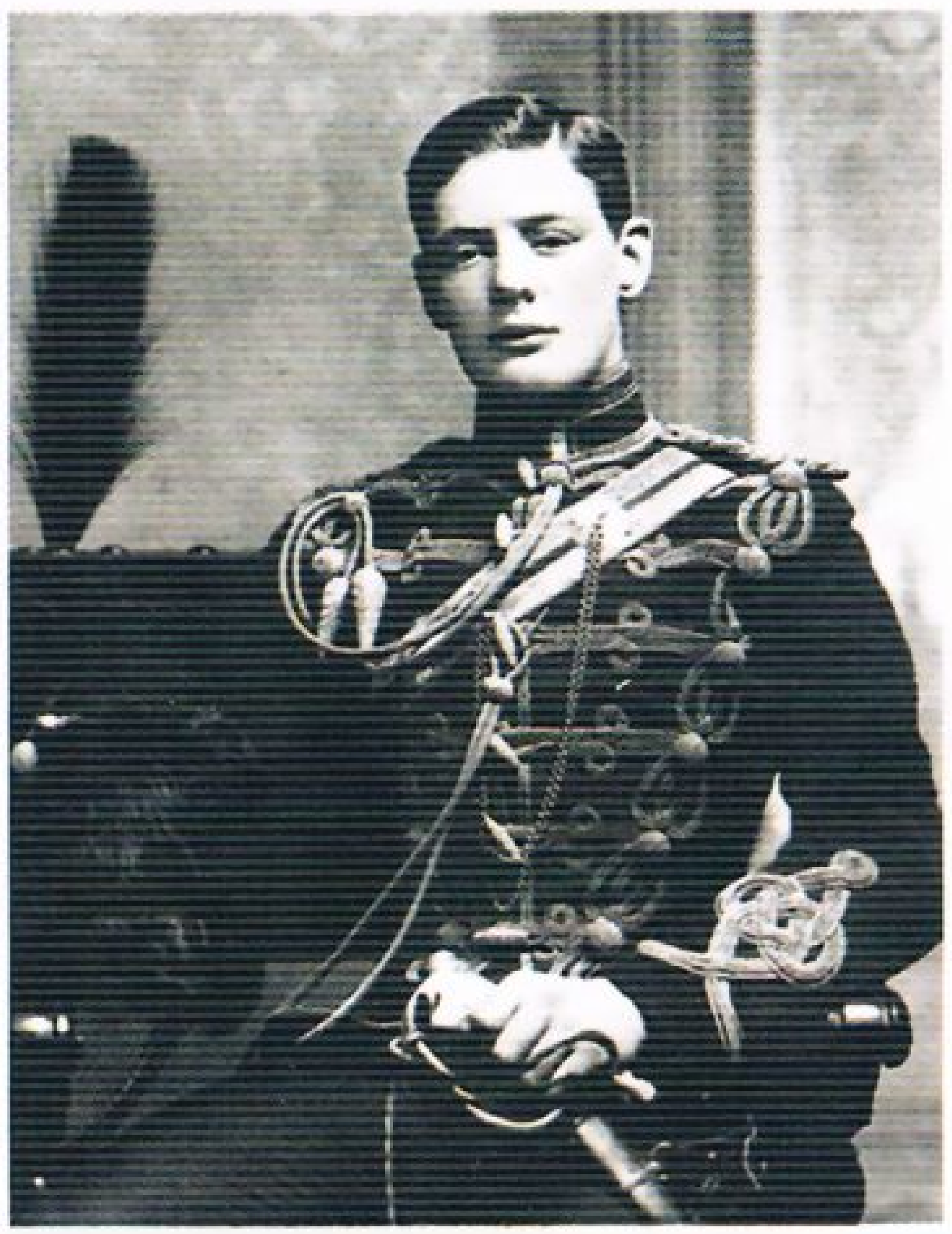

Tak więc naczelny architekt Wielkiej Koalicji stał się jej szanowanym, ale najmniej znaczącym przywódcą. W tej roli reprezentował swój kraj

Winston Churchill w mundurze 4. Pułku Huzarów.

w Poczdamie. Podjął tam desperackie próby powstrzymania sowieckiej ekspansji na zachód i południe Europy.

Bolesnym dla nas przejawem tych wysiłków był zamiar zmniejszenia zasięgu oddanych Polsce ziem zachodnich w przekonaniu, że nadmierne osłabienie Niemiec nazbyt wzmocni Stalina. Tajny plan operacji „Unthinkable" – zbrojnego uderzenia na Sowiety latem 1945 r. i wyzwolenia m.in. Polski pozostał jedynie papierową koncepcją.

Gdy umilkły salwy wojenne w Europie, Brytyjczycy wciąż jeszcze dalecy byli od odzyskania posiadłości dalekowschodnich, podbitych przez Japonię w 1941 i 42 roku. Przeszło 70-letni Churchill musiał stawić czoła zmęczeniu swoich wyborców, którzy chcieli korzystać ze zwycięstwa, lecz wciąż musieli ponosić ekonomiczne ciężary jego wywalczenia. 23 maja 1945 r. Churchill podał się do dymisji, lecz po audiencji u króla Jerzego VI przyjął ponowną nominację, by podjąć próbę utworzenia nowego, koalicyjnego rządu szerokiej centroprawicy. Był to jednak jedynie gest bez znaczenia. Przeprowadzone 6 czerwca wybory powszechne dobitnie wskazały preferencje społeczne Brytyjczyków. Torysi utracili większość parlamentarną, a zwycięska Partia Pracy uzyskała blisko 50 proc. poparcie wyborców, co pozwalało jej samodzielnie utworzyć rząd.

Lord Winston Churchill przeszedł do opozycji, stając się jej niekwestionowanym liderem, lecz tracąc stanowisko premiera musiał opuścić Poczdam, a rolę reprezentanta Londynu na konferencji przejął 28 lipca 1945 r. Clement Richard Attlee (1883-1967), zdaniem Churchilla „człowieczek o wielkiej – i bardzo uzasadnionej – skromności". Rola nowego premiera ograniczyła się do przyjęcia i podpisania postanowień Waszyngtonu i Moskwy.

Przegrana Churchilla nie oznaczała jednak dla niego przejścia na emeryturę. Leciwy konserwatysta nie zakończył kariery politycznej, szybko doczekał się powrotu do łask rodaków, a w roku 1951 dzięki ich głosom ponownie został szefem brytyjskiego rządu. W 1953 r. wielotomowe wspomnienia wojenne Churchilla nagrodzone zostały Literacką Nagrodą Nobla. Jako pierwszy cudzoziemiec Winston Churchill uzyskał honorowe obywatelstwo Stanów Zjednoczonych (1963), a choć przed śmiercią zdążył ujrzeć rozpad Imperium, odszedł w chwale otoczony podziwem i szacunkiem rodaków, którzy w 2002 r. wybrali Churchilla najwybitniejszym Brytyjczykiem wszechczasów. Chociaż zatem wypadł z poczdamskiego ringu przed ostatnią rundą, jako jedyny z Wielkiej Trójki zapisał się w historii swojego kraju zdecydowanie pozytywnie.

Zza sklepowej lady do Białego Domu

Ironia historii sprawiła, że reprezentantem najpotężniejszego z mocarstw ówczesnego świata na konferencji poczdamskiej został człowiek zdecydowanie najmniej do tej roli przygotowany. Harry S. Truman (1884-1972) nie był politykiem charyzmatycznym, a zdaniem wielu krytyków nie był politykiem w ogóle, pozostając raczej niepozornym urzędnikiem, którego kaprys losu uczynił gospodarzem Białego Domu w trudnych, niespokojnych czasach. Pochodzący z miasteczka Lamar w rolniczym stanie Missouri potomek szkockich emigrantów wychowywał się na farmie, nie odebrał także zbyt starannej edukacji, gdyż niedostatek nie pozwolił rodzicom Harry'ego opłacić studiów akademickich syna, a słaby wzrok wykluczył przyjęcie go do szkoły oficerskiej. Przyszły prezydent rozpoczął pracę jako urzędnik kolejowy, a po kilku latach powrócił do rodzinnego gospodarstwa rolnego. Obowiązki zawodowe nie przeszkodziły Trumanowi w przynależności do Gwardii Narodowej stanu Missouri, w której szeregach odbył przeszkolenie wojskowe jako artylerzysta. W 1917 r. ponad 30-letni już Truman, który jako jedyny syn sędziwych rodziców nie podlegał poborowi, ochotniczo wyruszył na wojnę do Francji, gdzie ku swojemu zaskoczeniu otrzymał nominację na pierwszy stopień oficerski. Szybka rozbudowa amerykańskich sił zbrojnych otworzyła dla kadry dowódczej możliwości przyspieszonego awansu, dzięki czemu Truman uzyskał wkrótce rangę pułkownika artylerii. Zakończenie działań wojennych przyniosło szybką redukcję armii. Brak formalnej edukacji wojskowej i słaby wzrok uniemożliwiły ambitnemu rezerwiście kontynuację służby. Rok po wojnie powrócił w rodzinne strony, ożenił się i otworzył sklep z pasmanterią, lecz w krótkim czasie zbankrutował. Dług spowodowany fiaskiem biznesu spłacał jeszcze przez wiele lat. Pomimo bolesnego niepowodzenia Harry Truman był przez swoich sąsiadów uważany za człowieka uczciwego i godnego zaufania, skoro z ich wyboru został urzędnikiem w lokalnym sądzie. Rolę tytularnego sędziego (nie będąc prawnikiem) pełnił – z przerwą – przez kilka kadencji. W tym czasie związał się politycznie z Partią Demokratyczną, za rekomendacją jej lokalnego lidera przyjął funkcję koordynatora lokalnych inwestycji publicznych w ramach antykryzysowego programu rządowego. W 1934 r. był już na tyle znany i ceniony jako uczciwy, pracowity i sumienny urzędnik, że uzyskał nominację w wyborach do senatu. Ku niemałemu zaskoczeniu prasy pokonał kontrkandydatów i wkroczył w świat wielkiej polityki. W Partii Demokratycznej lokował się na jej socjalnym skrzydle, często potępiając wyzysk pracowników przez wielkie korporacje i lichwiarskie praktyki banków. Był jednak zarazem daleki od fascynacji komunizmem, tak powszechnej w liberalnych kręgach amerykańskich elit. Wbrew przewidywaniom komentatorów politycznych, uzyskał w roku 1940 reelekcję, a po przyłączeniu się USA do Wielkiej Koalicji, Truman jako godny zaufania, zaangażowany w sprawy publiczne senator, powołany został do przewodniczenia specjalnej komisji, badającej niegospodarność i nadużycia finansowe w amerykańskich siłach zbrojnych. Dociekliwość i skrupulatność prac senackiej Komisji Trumana wywoływała rozdrażnienie generalicji i niezadowolenie Białego Domu. Nastawienie to uległo zmianie, gdy Franklin D. Roosevelt zapoznał się z finansowymi efektami prac komisji (wielomiliardowe oszczędności dla budżetu państwa!). Harry Truman zyskał zaufanie prezydenta, który dostrzegł, że lojalny, pracowity i pozbawiony wygórowanych ambicji senator może wyręczyć go w szeregu obowiązków, nie stwarzając politycznego zagrożenia. W 1944 r. zaproponował więc Trumanowi wspólne kandydowanie na najwyższy urząd.

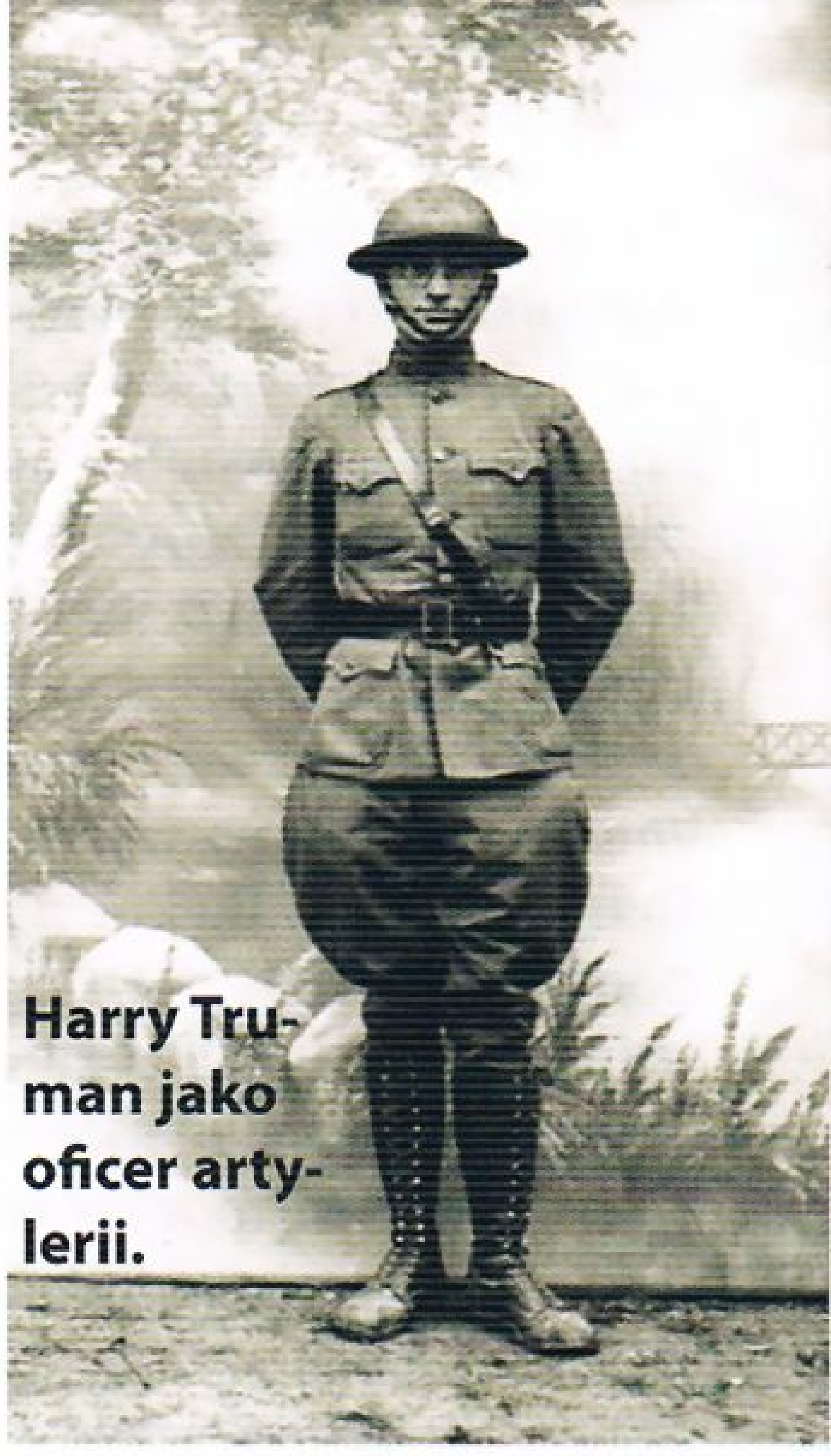

Harry Truman jako oficer artylerii.

Zgodnie z oczekiwaniami, Roosevelt wielką przewagą głosów elektorskich wygrał wybory prezydenckie, zapewniając Trumanowi objęcie funkcji wiceprezydenta. W tej roli pozostawał on w cieniu swojego charyzmatycznego szefa, wypełniając szereg żmudnych, administracyjnych obowiązków na rzecz zwierzchnika. Nieco światła na rolę i pozycję Trumana w gabinecie Roosevelta rzuca fakt, że jako „człowiek numer dwa" w państwie nie został on dopuszczony do informacji o budowie bomby atomowej ani o jej przewidywanej sile rażenia. Decyzję o użyciu tej niszczycielskiej broni przeciwko Japonii podjął kierując się chęcią uniknięcia wielkich strat w ludziach, nieuniknionych w przypadku planowanej inwazji na Japonię.

Gdy w kwietniu 1945 r. zmarł prezydent Roosevelt, Harry S. Truman musiał z mocy konstytucji objąć opróżniony urząd. Do grona współpracowników wypowiedział wówczas znamienne słowa: *„Chłopcy, jeżeli kiedykolwiek modliliście się, módlcie się za mnie teraz. Czuję się, jakby Księżyc, gwiazdy i wszystkie planety zwaliły się na mnie"*. Zanim na dobre rozsiadł się w prezydenckim fotelu, wojna w Europie dobiegła końca. Pozbawiony dotąd poważniejszych wpływów i niewtajemniczony w meandry wielkiej strategii Truman musiał udać się na konferencję poczdamską, by na nowo porządkować sprawy Europy…

W istocie nowy gospodarz Białego Domu mógł jedynie kontynuować politykę zmarłego poprzednika, który w swoim wizjonerskim światopoglądzie dążył do ustanowienia powojennego ładu w stylu szachów rozgrywanych na mapie świata. W tej globalnej partii miało uczestniczyć jedynie dwóch rywali – jeden w Moskwie, a drugi w Waszyngtonie.

Demokrata i antyimperialista Roosevelt dążył (skutecznie!) do osłabienia Imperium Brytyjskiego i wzmocnienia Sowietów, by nic nie mąciło klarowności jego planu. Pozostałym krajom wyznaczał on rolę jedynie figur (Anglia, Francja, Chiny) lub pionów (m.in. Polska)…

Truman, łączący protestancką pracowitość z prowincjonalną, staromodną sumiennością nie mógł dokonać nagłej zmiany w strategii swojego kraju, a być może zaufał odziedziczonym po Roosevelcie doradcom, wśród których roiło się od sympatyków (i tajnych współpracowników) Kremla. W Poczdamie bezpośrednio zetknął się z toksycznym, lecz zarazem fascynującym światem wielkiej polityki międzynarodowej. Mimo pokus, jakie rodzi ogromna władza, zdołał jednak pozostać sobą, uczciwym i sprawiedliwym społecznikiem z Missouri, dostrzegającym zza swoich okularów to, na co ślepy był waszyngtoński światek dyplomacji – zagrożenie, jakie dla Zachodu stwarzał sowiecki imperializm. W czasie swojej kadencji okazał się „najbardziej republikańskim wśród demokratycznych prezydentów", twardo stawiając czoła Stalinowi w Grecji (1947-1949), Berlinie Zachodnim (1948) i Korei (1950-1953), pierwszych starciach „zimnej wojny". Przyczynił się do odbudowy powojennej Europy, akceptując gospodarczy plan Marshalla. Promował także program polityki zagranicznej, znany jako doktryna Trumana, a polegający na zatrzymaniu sowieckiej ekspansji poza kremlowskie zdobycze z Poczdamu. Była to zapewne reakcja na fakt, że latem 1945 r. musiał firmować swoim nazwiskiem przyjętą przez swojego poprzednika politykę, z którą się nie zgadzał.

Józef Dżugaszwili jako student prawosławnego seminarium duchownego.

Swoją osobistą skromnością, niepozorną wręcz prezencją, połączoną z twardą, lecz moralną postawą polityczną Harry S. Truman zyskał uznanie większości rodaków, którzy powierzyli mu ponownie stanowisko prezydenta w kolejnych wyborach.

Po zakończeniu drugiej kadencji Truman powrócił w rodzinne strony, gdzie żył skromnie, odrzuciwszy wątpliwe moralnie propozycje fikcyjnych posad i utrzymując się z żołnierskiej emerytury (112 dolarów miesięcznie), do której prawa nabył jeszcze zanim został politykiem. Ustępujący prezydenci nie byli objęci systemem emerytalnym, gdyż z reguły funkcję tę pełnili dotąd ludzie zamożni. Truman zmarł na zapalenie płuc w prowincjonalnym szpitalu, przeżywszy 88 lat. Do końca życia pozostawał niedoceniony i często krytykowany za „jastrzębią politykę". Dopiero po upadku Związku Sowieckiego historycy docenili zasługi sklepikarza, który trafił do Białego Domu i powstrzymał Stalina, ratując Grecję, Turcję i Europę Zachodnią przed losem Polski.

Czerwony Car: zwycięzca z kompleksem klęski

Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, znany jako Stalin (1878-1953), gospodarz i niekwestionowany hegemon podczas konferencji w Poczdamie, był w 1945 r. u szczytu swojej niezwykłej kariery. Gruzin, który w szowinistycznie nastawionym społeczeństwie rosyjskim sięgnął po absolutną władzę. Syn prowincjonalnego szewca – alkoholika, z zapałem studiujący w prawosławnym seminarium duchownym, który stał się przywódcą programowo ateistycznego państwa. Bojownik ideologii głoszącej równość i sprawiedliwość społeczną, który stworzył kastowy system władzy absolutnej, oparty na niewolniczej pracy milionów. Współsprawca wybuchu II wojny światowej i jej zwycięzca, na gruzach stolicy byłego sojusznika dyktujący warunki sojusznikom aktualnym.

To właśnie kwestia zwycięstwa, a raczej jego rozmiarów i owoców, wywoływała frustrację samowładcy z Kremla. Pomijając straszliwe koszty społeczne i gospodarcze wojny, która zaczęła się od tak obiecującej aneksji połowy Polski, znacznej części Rumunii i zaboru trzech państw nadbałtyckich, a skończyła utratą ponad 12 mln żołnierzy i przeszło 10 mln mieszkańców cywilnych, Związek Sowiecki nie zrealizował zasadniczego planu Stalina – podboju całej Europy i wprowadzenia komunizmu w podbitych („wyzwolonych") krajach.

Gigantyczna industrializacja kraju, ogromne zbrojenia, ideologiczna indoktrynacja społeczeństwa, milionowe czystki spowodowane podejrzeniami o nielojalność wobec władzy, a jednocześnie tajna współpraca wojskowa i polityczna z Niemcami – wszystko to miało w ostatecznym rezultacie doprowadzić do rozsadzenia ładu wersalskiego i zniszczenia demokratycznych państw Zachodu. Stalin przekonany był bowiem (a ostatecznym argumentem dla niego były losy rewolucji i wojny domowej w Hiszpanii), że komunizm może zatriumfować jedynie pod warunkiem zwycięstwa rewolucji światowej, by nie miał żadnej alternatywy.

Jednak przebiegła strategia zaprowadziła Stalina na manowce. Doraźnie korzystny sojusz z Niemcami okazał się zgubny – „wiarołomny" atak wojsk hitlerowskich zaskoczył Sowiety w trakcie finalnej fazy przygotowań do „czerwonego blitzkriegu", piorunującej agresji, której miały służyć dziesiątki tysięcy szybkobieżnych czołgów, optymalizowanych do walki w wa-

runkach zachodnioeuropejskiej infrastruktury drogowej, lecz bezradnych na bezdrożach Wschodu…

Stalin z najwyższym trudem zdołał opanować kryzys armii i państwa, wywołany porażkami na froncie i utratą ogromnych połaci Związku Sowieckiego. Umożliwiły mu to bezwzględne represje, powszechna mobilizacja i wykorzystanie trudnej sytuacji Wielkiej Brytanii, skłonnej zapłacić każdą cenę za zdjęcie z niej brzemienia jedynego realnego przeciwnika III Rzeszy oraz – paradoksalnie – obłędna, rasistowska i ludobójcza polityka Hitlera wobec narodów Europy Wschodniej, skutecznie odpychająca miliony potencjalnych sojuszników z powrotem w ramiona bolszewizmu. Trzeba pamiętać, że pomimo pozornie niewyczerpalnych zasobów, Rosja była w 1945 r. u kresu swoich militarnych możliwości. Pomimo zbrojeniowej i logistycznej „transfuzji" od zachodnich sojuszników (m.in. ponad 430 tys. samochodów, 29 tys. samolotów, 20 tys. pojazdów pancernych, 15 mln par butów i 8 mln ton żywności), która podtrzymała zdolności bojowe Armii Czerwonej, większość frontowych dywizji daleka była od etatowych stanów liczebności, a uzupełnienia nadchodzące z głębi kraju składały się z „dzieciaków i starców"… Problemy z niepokorną Polską, która wybuchem Powstania Warszawskiego zmusiła Stalina do zatrzymania machiny wojennej na linii Wisły, a także konieczność przeprowadzenia ataku na Bałkany, by udaremnić Churchillowi realizację jego strategicznych planów, odebrały Armii Czerwonej szansę na opanowanie całości Niemiec i Europy Zachodniej przed przybyciem wojsk anglo-amerykańskich. Zadziwiająca uległość Roosevelta, który sekował antykomunistycznych generałów (a przede wszystkim najlepszego ze swoich dowódców, George'a Pattona), a po kapitulacji Niemiec nakazał wycofać oddziały US Army, które dotarły zbyt daleko na wschód, nie mogły poprawić nastroju Czerwonego Cara. Stalin, obserwując zniszczenia niemieckich miast, nie mógł nie zdawać sobie sprawy z potęgi alianckiego lotnictwa, ale najboleśniejszy cios – demonstracja niszczycielskiej siły amerykańskiej broni nuklearnej – miał nadejść tuż po zakończeniu spotkania Wielkiej Trójki.

Fiaska sowieckiej wielkiej strategii w Europie (Stalin musiał zadowolić się jedynie wschodnią, uboższą i wyniszczoną działaniami wojennymi połową kontynentu) nie zrekompensował spektakularny sukces na Dalekim Wschodzie, jaki przyniosło złamanie paktu o nieagresji z Japonią i opanowanie Mandżurii, połowy Korei, Kuryli i Sachalinu. Wojna o ostateczny triumf sierpa i młota nad światem musiała przybrać inną postać – agresji propagandowej, inspirowania i wspierania ruchów rewolucyjnych w wielu krajach i rozgrywania na swoją korzyść lokalnych konfliktów w Afryce, Azji i Ameryce Południowej.

Jednak także na frontach „zimnej wojny" Stalin nie uzyskał sukcesów, przegrywając konfrontację na Bałkanach i w Korei, a zwłaszcza ponosząc prestiżową porażkę blokady Berlina. I chociaż ład poczdamski, widziany oczami Zachodu (a zwłaszcza Polaków) wydawał się przejawem szczytowego triumfu Związku Sowieckiego, wyznaczył raczej najdalszą granicę „czerwonego potopu", niż przyczółek pod jej kolejne fale…

Literatura:
1. W. Suworow, „Lodołamacz", Warszawa 1992; „Dzień »M«", Warszawa 1996; „Ostatnia republika", Warszawa 2009
2. A. Beevor, „Druga Wojna Światowa", Kraków 2013
3. S. Montefiore, „Stalin. Dwór czerwonego cara", Warszawa 2004
4. L. Pastusiak, „Prezydenci Stanów Zjednoczonych Ameryki", Warszawa 2005
5. N. Rose, „Winston Churchill: życie pod prąd", Warszawa 1996

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

REKLAMA

SZALEJÓW DOLNY, bajka o Münchhausenach z Żelaznem w tle

DARIUSZ PIETRUCHA

Jest takie miejsce niedaleko Kłodzka. Ciche, niepozorne i schowane przed oczami ciekawskich. Pomimo bliskości drogi w stronę Kudowy Zdroju (E-8), mało kto zwraca na nie uwagę. To niewielka miejscowość, która w czasach niemieckich nosiła nazwę Niederschwedeldorf. Stoi tam również opustoszały pałac, ukryty w gęstej roślinności. Zatem, nie łatwo do niego trafić. Niby nic nowego, a jednak... Zdradzę Wam nazwisko jego właściciela: von Münchhausen. Tak. To rodzina słynnego, literackiego barona. Ale to nie wszystko. Nieopodal było lotnisko...

Baron-fantasta

Kolejny opuszczony pałac, jakich na Dolnym Śląsku jest wiele, może nie wywrze na Was piorunującego wrażenia, jednak gdy odnajdziecie ukryte w zapuszczonym parku mauzoleum z nazwiskami pochowanych tam osób, skojarzenia narzucą się same. Przynajmniej powinny. Literackie fantazje barona von Münchhausena towarzyszyły w dzieciństwie większości z nas. Nie tak dawno powieść „Niezwykłe przygody Barona Münchhausena", Rudolfa Ericha Raspe (1785) i Gottfrieda Augusta Bürgera (1786), została po raz kolejny zekranizowana; oglądałem film z przyjemnością. Mniej osób już wie, że literacki bohater jest odbiciem prawdziwej postaci. Mowa o baronie Karlu Friedrichu Hieronymusie Freiherr von Münchhausen, urodzonym w 1720 r. w Bodenwerder. Jego bujny życiorys zasłużył na uwiecznienie. Niemiecki szlachcic, żołnierz, podróżnik i awanturnik. Paź na dworze brunszwickich Welfów, wojak brunszwickich kirasjerów w Rydze, wielokrotny uczestnik wojen rosyjsko-tureckich, oficer kawalerii i właściciel majątku Dunte na Łotwie, który po latach powrócił do swojego rodzinnego majątku w Bodenwerder. To właśnie tam, przy okazji myśliwskich uczt, zabawiał gości swoimi niestworzonymi opowieściami o egzotycznych przygodach. Uważano go za niegroźnego fantastę, dlatego nadano mu przydomek „baron kłamstw" (niem. Lügenbaron). Baron zmarł w 1797 r., ale pamięć o nim przetrwała do dzisiaj. A raczej o jego zmyślonych wyczynach. Dawny dom barona Münchhausena służy obecnie jako siedziba ratusza miasta Bodenwerder. Tutaj znajduje się również muzeum jemu poświęcone. Ma też swoje muzeum w Dunte na Łotwie – Minhauzen pasaule. W Bodenwerder co roku w maju organizowane jest rozdanie nagród – Münchhausen Preis. Ta tradycja została zapoczątkowana w 1997 r. z okazji 200. urodzin barona Münchhausena. Nagroda przyznawana jest wybitnym osobowością, które zasłużyły się w swojej pracy, aby Baron Münchhausen pozostał w naszych sercach jak najdłużej.

Baron-fantasta, Karl Friedrich Hieronymus Freiherr von Münchhausen, którego niestworzone historie stały się m.in. kanwą filmu „Przygody Barona Münchhausena". Źródło: www.nl.wikipedia.org

Pałac w Szalejowie Dolnym

Pałac w Szalejowie Dolnym mało kto kojarzy ze sławnym baronem. Mało tego, niedaleko Kłodzka, w miejscowości Żelazno (niem. Eisersdorf), znajduje się kolejny pałac, będący własnością rodu von Münchhausen. To jeszcze nie wszystko. W Ratnie Dolnym (niem. Niederrathen) stoją ruiny, pięknego niegdyś, pałacu

Pałac w Szalejowie Dolnym na archiwalnym zdjęciu. Źródło: www.fotopolska.eu

Mauzoleum von Münchhausenów w Szalejowie. Fot. D. Pietrucha.

tych samych właścicieli. I co ciekawe, właśnie one są najbardziej znane. Tymczasem dwa pozostałe obiekty stoją i mają się całkiem dobrze.

Wróćmy do pałacu w Szalejowie Dolnym. Prawdopodobnie został on wybudowany w XVII w. Właściwie mało wiemy o jego początkach. Począwszy od 1350 r. miejscowość była własnością augustianów z Kłodzka. W 1428 r. na pobliskim wzgórzu, zw. Czerwoniakiem, rozegrała się bitwa z husytami, w której poległ książę Jan Ziębicki. Ok. 350 jego żołnierzy pochowano na szalejowskim cmentarzu. W latach 1467-1469 wieś została doszczętnie zniszczona. W latach 1597-1787 właścicielem Szalejowa Dolnego było jezuickie kolegium z Kłodzka (kłodzki zakon augustianów rozpadł się w 1595 r.), skupiające w swoich rękach, prawdopodobnie, również pierwotny pałac (wówczas raczej dwór obronny). Kiedy w 1773 r. dokonano kasacji zakonu, w trakcie kolejnych lat ich kłodzki majątek przeszedł na własność państwa pruskiego. W 1787 r. pałac w Szalejowie zakupił pruski minister hr. Friedrich Wilhelm von Reden. Dokładnie w tym samym czasie baron von Münchhausen raczył swoich gości fantastycznymi opowieściami…

Grób barona Ernsta Otto Adolfa von Münchhausen…

… baronowej Louise von Münchhausen…

… barona Hilmara von Münchhausen. Fot. D. Pietrucha.

„Biali" i „Czarni"

Po bezpotomnej śmierci Redena w 1815 r., pałac w Szalejowie został zakupiony przez rodzinę von Münchhausen. Chociaż niejako pozostał w „rodzinie", bowiem Münchhausenowie i Redenowie byli ze sobą skoligaceni – poprzez związek małżeński zawarty w 1747 r. przez Wilhelma Wernera von Münchhausena z Dorotheą Charlottą von Reden, jak również fakt, iż baron von Münchhausen był mężem siostry hr. von Redena. Münchhausenowie pozostali właścicielami Szalejowa Dolnego do 1945 r. – przez cztery kolejne pokolenia. W latach 1840-1844 z ich inicjatywy dokonano przebudowy bryły pałacu, nadając jej neogotyckich cech (dodając dwie spiczaste wieże), a w 1872 r. dokonano kolejnej zmiany części pałacu, zagospodarowując ją na salę balową. I tyle wiadomo. Reszta jest jedynie sferą domysłów. Pewną wskazówką mogą być nagrobki znajdujące się w mauzoleum von Münchausenów, ulokowanym w przypałacowym parku, dokładnie naprzeciw wejścia do pałacu, na niewielkim, malowniczym wzniesieniu.

Najstarszym pochówkiem jest grób barona Ernsta Otto Adolfa von Münchhausen (1793-1865). Prawdopodobnie był to pierwszy właściciel pałacu w Szalejowie (w chwili jego zakupu miał 22 lata). Jego małżonką była Louise (jej grobu nie ma w Szalejowie, albo została pochowana gdzie indziej, albo został zniszczony). To właśnie oni dokonali pierwszej przebudowy pałacu. Następna mogiła należy do barona Hilmara[1] Adolfa Otto von Münchhausen (1826-1883). Był synem Ernsta i Louise oraz drugim właścicielem Szalejowa. Niestety nie wiem, czy miał rodzeństwo. Obok niego leży jego żona Louise (z domu Löbbecke, 1834-1901). Owa para dokonała drugiej przebudowy pałacu w Szalejowie Dolnym. Kolejną osobą pochowaną w mauzoleum jest Hilmar Freiherr von Münchhausen, syn Hilmara i Louise (ur. w 1860 – wg napisu na tablicy, w 1862 – informacja na stronie genealogicznej www.gaebler.info; zm. w 1939). Hilmar był trzecim właścicielem majątku w Szalejowie Dolnym. Miał starszą siostrę, baronową Sofie von Münchhausen (1858-1920). Żoną Hilmara została Margarete Therese Valentine Elisabeth Agnes von Johnston (1873-1954). W 1920 r. Hilmar i Margarete rozwiedli się.[2] Ona powróciła do pałacu w Ratnie Dolnym (później zamieszkała w Berlinie), a on wraz z dwójką dziećmi pozostał w Szalejowie. Syn, Hilmar Adolf Otto Maximilian Thankmar von Münchhausen (1894-1976), był czwartym właścicielem majątku w Szalejowie Dolnym. I tym, któremu w 1945 r. przyszło opuścić rodzinny majątek na zawsze.

Münchnausenowie to stara, niemiecka rodzina arystokratyczna, której początki sięgają co najmniej XII w. W prze-

Dawne zabudowania gospodarcze pałacu w Szalejowie...

... i ogrodowa elewacja pałacu. Fot. D. Pietrucha.

kładzie ich nazwisko dosłownie oznacza „Dom mnicha". Ród ma w herbie cysterskiego mnicha, który raz ma szatę w kolorze czarnym, raz w białym. To dowód na podział rodziny na dwie linie, określane mianem „białej" lub „czarnej". Do podziału doszło w XIII w. Od 1564 r. posiadali tytuł baronów. Rodzina była głównie związana z obszarem Saksonii. Wielu jej przedstawicieli pełniło ważne funkcje publiczne, zajmując poczesne miejsce na kartach historii Europy. Jednak w pamięć wielu pokoleń najbardziej wrył się „nasz" baron-fantasta. Dzięki wielu autorom, jego najzabawniejsze i najciekawsze opowieści żyją i rozbawiają nas po dzień dzisiejszy. Münchhausenowie z Szalejowa należeli do „białej" linii rodu.

Mauzoleum

Gdybym wcześniej nie wyczytał, że nieopodal znajduje się mauzoleum, nigdy bym go nie zauważył. Straciłem trochę czasu, zanim go odnalazłem. Dam Wam dobrą radę. Stańcie plecami do głównego wejścia do pałacu, i idźcie prosto przed siebie. Zauważycie, że teren nieco się wznosi. Po chwili dojdziecie do ukrytego w roślinności mauzoleum. Jest piękne. Zobaczycie symetryczną budowlę z wynosząca się wysoko ku górze środkową częścią. Po obydwu jej stronach zauważycie kamienne tablice. Są na nich wyryte gotykiem inskrypcje. Na jednej napis jest zatarty i nieczytelny. Na drugiej zaczyna się od słów *„Bóg jest miłością"*, a pod spodem widnieje data: *„29.05.1916".* Przed ścianą mauzoleum znajdują się mogiły rodziny von Münchhausen. To osoby, o których Wam wcześniej opowiadałem. Miejsce pełne zadumy. Jak większość mauzoleów. W dawnych czasach posiadłość była otoczona pięknym parkiem i stawami, a w skład całego majątku wchodziły: cukrownia, olejarnia, tartak, młyn wodny, browar i gorzelnia. Nie ma już po tym śladu.

Tablica informująca do kogo należał kiedyś zamek... Fot. D. Pietrucha.

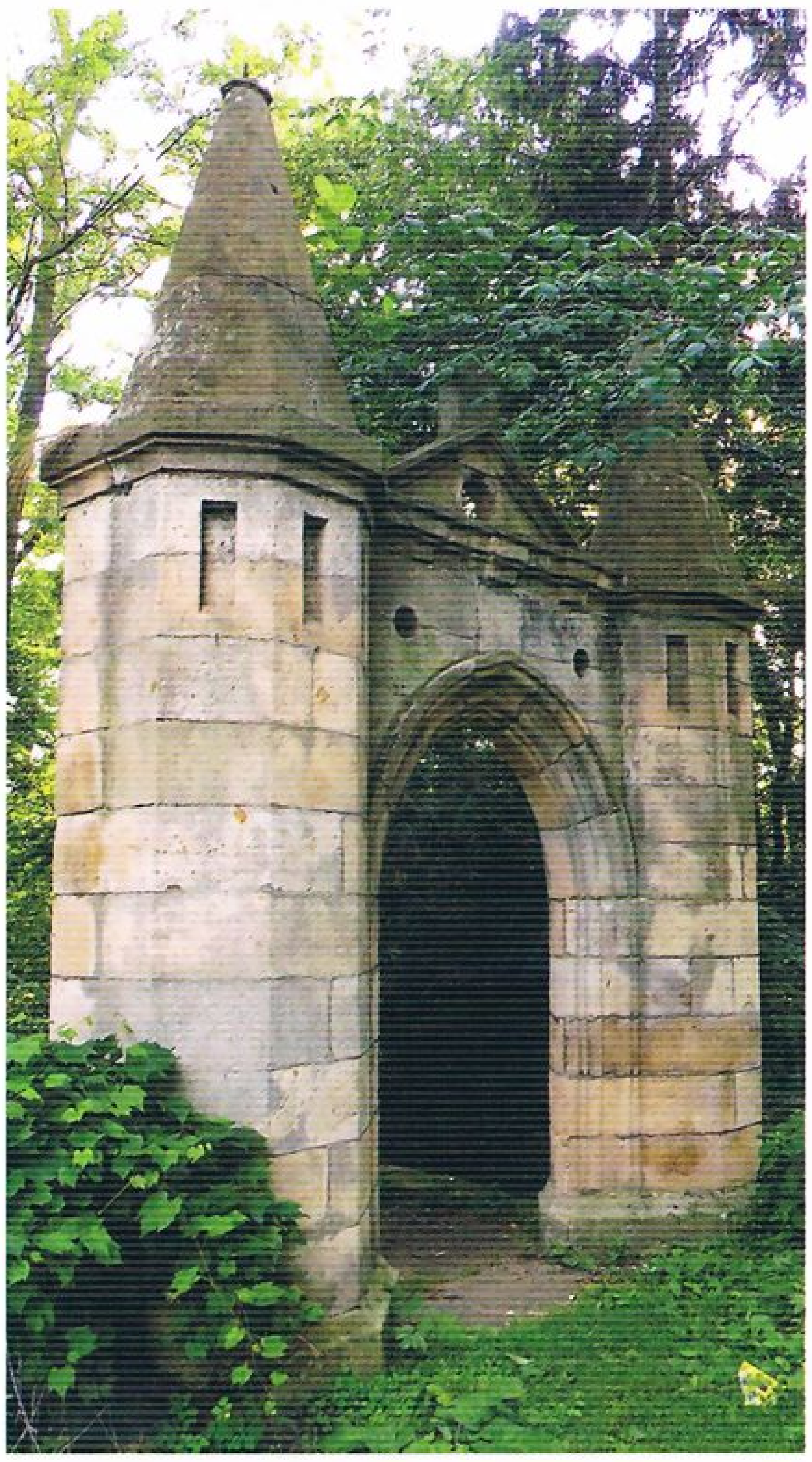

Urokliwa, kamienna brama obok pałacu. Fot. D. Pietrucha.

Zamek barona von Münchhausena wita...

Gdy przyjedziecie do Szalejowa Dolnego zobaczyć ich pałac, przejedźcie przez całą miejscowość. Pomimo, że pałac znajduje się na wysokim wzniesieniu, dość łatwo go przeoczyć; zasłaniają go drzewa, a prowadząca do niego droga jest bardzo niepozorna, choć malownicza. Wije się obok dawnego stawu pałacowego, obecnie zarośniętego i zaniedbanego. Dojedziecie do zabudowań gospodarczych, które nadal mają w sobie cechy pałacowej architektury. Są zamieszkałe, a ich lokatorzy starają się pilnować obiektu, aby nie ulegał dewastacji. Nieopodal widać resztki jakiegoś ozdobnego tarasu, z którego niegdyś roztaczał się widok na całą miejscowość. Obok znajduje się opuszczony pałac. Jego neogotyckie cechy od razu przyciągają wzrok. Nie należy do małych, choć posiada tylko jedno piętro. Można do niego podejść alejką prowadzącą do ogrodowego wejścia. Zabrudzone szyby (o dziwo, jeszcze są) nie pozwalają zajrzeć do środka. Niewiele przez nie widać, można jedynie dostrzec nieciekawe wnętrza pomieszczeń (zapewne efekt przebudowy pałacu w latach 70., gdy służył jako ośrodek wypoczynkowy). Tylko zdobienia stropów przyciągają uwagę. Ile w pałacu ocalało z oryginalnego wyposażenia, tego niestety nie wiem. Korciło mnie, aby tam wejść, ale to przecież prywatna własność. Sami rozumiecie. Można bez problemu podejść do tylnego wejścia, które nie jest zbytnio okazałe. Przepiękne drzwi zamknięte na głucho, przedstawiają opłakany stan. Powyżej taras zdobiony żelazną,

kutą balustradą. W stanie prawie agonalnym. Jednakże od tej strony pałac prezentuje się jeszcze nieźle.

Uwagę każdego zwiedzającego przyciągnie zapewne dziwna kamienna brama, która znajduje się na prawo od pałacu. Idąc w jej stronę zauważycie umieszczoną na ścianie pałacu tablicę informacyjną o treści: *„Zamek barona von Münchhausen, zbudowany w 1840 roku"* (napis w j. polskim i niemieckim). Informacja niezbyt precyzyjna, ale nie czepiajmy się. Idąc dalej dojdziemy do tajemniczej bramy, za którą ujrzymy prowadzące w dół schody. To zejście wiodące na drugą stronę pałacu. Natomiast sama brama... Mówcie, co chcecie. Według mnie pasuje do nazwiska „Münchhausen" jak ulał. Schodami zejdziemy do mocno zarośniętego obszaru, który okala przednią stronę pałacu. Tu jest już gorzej. Stan jego ścian pozostawia wiele do życzenia. Widać okazałe wejście ozdobione portykiem i tarasem, niestety, w bardzo złej kondycji. Nad tarasem widnieje herb Münchhausenów. Niesamowitym walorem pałacu są dwie narożne wieże, zakończone ostrym dachem. One też pasują jak ulał do barona. Zresztą, co tu dużo mówić, cały pałac pasuje, choć przecież sam baron-fantasta nigdy w nim nie był. Mieszkała tu tylko jego rodzina.

W 1945 r. zamknięty został rozdział historii, który nosił nazwę Niederschweldeldorf, a którego częścią była rodzina von Münchhausen. Ostatni właściciel szalejowskiego pałacu prawdopodobnie ewakuował się pod koniec wojny wraz z niemieckimi żołnierzami.

Pałac po 1945 roku

Po zakończeniu II wojny światowej w pałacu w Szalejowie ulokowali się Sowieci. Potem tradycyjnie już: PGR i mieszkania dla pracowników. W 1957 r. nastąpiła zmiana właściciela. Zostało nim Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Hodowlane w Szczytnej, które organizowało w pałacu obozy dla dzieci i młodzieży. Swoją drogą ciekawe, czy czytano im opowieści barona. W latach 70. pałac został zakupiony przez Sudeckie Zjednoczenie Rolno-Przemysłowe Agrokompleks „Sudety", to samo, które od 1974 r. było właścicielem zamku Książ. Przeprowadzono gruntowny, choć niewątpliwie dewastujący, remont obiektu. W pałacu powstał firmowy ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy. Nie trwało to długo. Firma Agrokompleks „Sudety" została zlikwidowana, a pałac odsprzedano spółce „Bubel". Interesująca nazwa... Nowi właściciele próbowali uruchomić w pałacu ośrodek wypoczynkowy, ale jego lokalizacja (szczególnie w tamtych czasach) była daleka od doskonałości. Ludzie nie chcieli tutaj przyjeżdżać. Spółka „Bubel" odsprzedała więc pałac dawnemu właścicielowi, czyli PPH ze Szczytnej. Do pałacu znowu wróciły dzieci i młodzież. Te zapewne czuły się w nim doskonale. Kolejnym właścicielem stał się kombinat rolno-przemysłowy w Żelaźnie. Paradoks historii, bo przecież w przeszłości obydwie miejscowości były własnością rodu von Münchhausen. Następnie, po przemianach ustrojowych, pałac przeszedł w ręce Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, która odsprzedała go osobie prywatnej. Niestety, nowa właścicielka nie wykazuje większej chęci do jego remontu i jakiegokolwiek wykorzystania. Pałac stoi pusty i niszczeje. Jego los łatwy jest do przewidzenia. Dalszy brak jakichkolwiek przy nim prac spowoduje, że zawalenie pałacu będzie tylko kwestią czasu...

Archanioł Michał w wojennej zbroi strzeże świętego spokoju ofiar I wojny światowej – mieszkańców Szalejowa Dolnego. Fot. D. Pietrucha.

Szalejów Dolny – pielgrzymie centrum

Będąc w Szalejowie nie przeoczcie kościoła parafialnego pw. Szymona i Judy Tadeusza, którego początki sięgają lat 1489-1491. Zasługuje na uwagę. Nie wygląda na swój wiek, choć wokół niego rozciągają się relikty muru obronnego. Wybudowano go po katastrofie, jaką było całkowite zniszczenie wsi podczas wojen toczonych o tron czeski. Wieżę kościoła dobudowano nieco później – w roku 1707. Wokół niego znajduje się cmentarz, a na nim wiele ciekawych śladów przeszłości, np. barokowa figura pochodząca z czasów, gdy właścicielem miejscowości byli jezuici. Obok kościoła i cmentarza stoi pomnik poświęcony w 1929 r. – anioł z mieczem w dłoniach (to Archanioł Michał w wojennej zbroi) – otoczony tablicami, na których uwieczniono nazwiska mieszkańców miejscowości poległych podczas I wojny światowej. Na jednej z nich znamienny tekst: *„Polacy i Niemcy pamiętają o ofiarach wojny – jako przypomnienie o pokoju i pojednaniu"*. Wskazówka dla potomnych.

W Szalejowie znajduje się również kaplica św. Anny, której początki sięgają XVI w. (wówczas była to budowla drewniana), dzięki której narodził się rozwijany przez kłodzkich jezuitów kult św. Anny, patronki szczęścia rodzinnego oraz chroniącej przed zarazą. Kaplica stała się miejscem częstych pielgrzymek wiernych z Kłodzka (pierwsza ruszyła w 1628 r.). W miejscu drewnianej kaplicy w latach 1731-1732 zbudowano kamienny kościółek. Obok niego powstała pokutna kaplica św. Magdaleny. Tak powstał kompleks pielgrzymkowy, w którym przedstawiciele lokalnej arystokracji dość chętnie zawierali związki małżeńskie. Prawdopodobnie właśnie tutaj odbywały się śluby zamieszkałych w Szalejowie członków rodu von Münchhausen. Oprócz tego w miejscowości znajduje się pochodząca z 1819 r. kuźnia, w której jeszcze do niedawna miejscowy kowal świadczył swoje usługi. Oczywiście kowalskie. Nie mówię o wyrywaniu zębów.

Lotnisko

Wspominałem Wam o lotnisku. Było ulokowane na granicy gmin: Szalejów Dolny i Kłodzko, zajmując areał o pow. ok. 4 km kw. Powstało w 1937 r., mając na

Pałac von Münchhausenów w Żelaźnie obecnie. Źródło: www.dolny-slask.org.pl

celu działania przeciwko Czechosłowacji. Wtedy było lotniskiem trawiastym o nazwie „Komturhof". Jako lotnisko polowe posiadało jeden pas startowy, pole do kołowania i płytę postojową. Z czasem stanęły tam: hangary, warsztaty naprawcze, magazyn i stanowiska dział przeciwlotniczych kal. 20 mm. Baraki mieszkalne wartowników rozmieszczono po wsch. stronie wsi. W zboczu pobliskiego wzgórza wydrążono dwa tunele, które służyły jako ukrycia przeciwlotnicze. W pałacu w Szalejowie Dolnym zakwaterowano komendanturę lotnictwa. Właściciele musieli udostępnić na ten cel część pomieszczeń. W pałacowym folwarku ulokowano wojskową kuchnię i kasyno. Obsługa lotniska (blisko 300 żołnierzy) mieszkała w prywatnych domach i gospodarstwach na terenie Szalejowa Dolnego. Podczas wojny ten oddział został tylko raz zluzowany i zastąpiony innym.

Wiadomo, że na lotnisku stacjonowały: Focke Wulfy FW-109 Würger, Messerschmitty Me-109Bf oraz Focke Wulfy FW-189 Uhu, których wyposażenie stanowiły: aparat fotograficzny i kamera filmowa. Dokonywano lotów zwiadowczych, a zdjęcia wywoływano na miejscu. Później, kiedy linia frontu przesunęła się daleko na wschód, lotnisko straciło na znaczeniu. Sytuacja uległa zmianie w 1944 r., kiedy Rosjanie stanęli na linii Wisły. Wówczas ponownie przystąpiono do lotów zwiadowczych. Gdy w styczniu 1945 r. front dotarł do Górnego i Dolnego Śląska, lotnisko zyskało na znaczeniu. Było położone blisko Wrocławia, który w poł. lutego1945 r. znalazł się w ostatecznym uścisku sowieckich wojsk. Każdego dnia z lotniska kilka razy startował samolot rozpoznawczo-łącznikowy Fieseler „Storch", transportując dwóch rannych, których natychmiast odstawiano do szpitala w Kłodzku. Właśnie taka maszyna, ostrzelana podczas misji nad Wrocławiem przez sowieckie działa przeciwlotnicze, spadła na pasie startowym lotniska, głęboko wbijając się w ziemię.

Grób Orlando Chittaro na cmentarzu w Szalejowie Dolnym. Fot. D. Pietrucha.

Lotnisko Komturhof nigdy nie zostało zaatakowane z powietrza. Dzięki temu na Szalejów Dolny nie spadły żadne bomby. Do kapitulacji znajdowało się w rękach Niemców. Jego obsługa ewakuowała się w mniejszych samolotach lub pieszo, kierując się na Kudowę-Zdrój i obszar Czech, zapewne w kierunku oddziałów amerykańskich. Na lotnisku pozostała jedynie uszkodzony Junkers Ju 52, który z czasem okoliczna ludność rozebrała na części.

9.05.1945 r. lotnisko zostało zajęte przez Rosjan, którzy ulokowali się w pałacu von Münchausenów. Prawdopodobnie nie byli zbytnio zainteresowani infrastrukturą lotniska.

Średniowieczna wieża w Żelaźnie. Fot. D. Pietrucha.

Grób włoskiego lotnika

Zwiedzając cmentarz w Szalejowie Dolnym, natkniecie się na nietypowy pochówek. Nagrobkowy medalion przedstawia zdjęcie pilota, stojącego obok samolotu, o egzotycznym imieniu i nazwisku – Orlando Ciciaro (taka wersja nazwiska pojawia się w artykułach, natomiast na jego nagrobku brzmi ono Chittaro). Był młodym pilotem Luftwaffe, posiadającym włoskie korzenie. Urodził się 11.05.1925 r. w Babenhausen. Ukończył kurs pilotażu w miejscowości Fürstenfeldbrück k. Monachium. Początkowo skierowano go do służby w jednostce bliskiego rozpoznania 2/NAGr. 2, stacjonującej na lotnisku niedaleko Nysy. Później trafił do Szalejowa. 24.03.1945 r. zasiadł za sterami Me-109Bf G-6 „Gustaw" o numerze bocznym 19996. Maszyna dopiero co opuściła miejscowy warsztat naprawczy. Kiedy Orlando wzbił się w powietrze, nie uleciał daleko. Urwał mu się w ręku drążek sterowniczy. Stało się to w okolicach Karłowa. Samolot spadł w lesie, głęboko wbijając się w ziemię. Być może był to nieszczęśliwy wypadek, a może efekt akcji sabotażowej. Miejsce upadku samolotu było znane tylko miejscowym. Trzy dni później młody pilot został pochowany na cmentarzu w Szalejowie Dolnym.

W 2003 r. przeprowadzono akcję poszukiwania wraku samolotu. Badaniami terenowymi kierował Ryszard Wójcik. Na gł. 4 m odnaleziono szczątki maszyny. W 2010 r. w Niemczech ukazał się w prasie nekrolog Marii Walter, która w 1912 r. urodziła się w Szalejowie Dolnym. Do rodziny zmarłej odezwała się Silvia Tradessus – siostra Orlando. Z informacji uzyskanych z niemieckiego instytutu badającego wypadki lotnicze wiedziała o tragicznej śmierci brata. Luftwaffe zanotowało, że był to wypadek podczas oblatywania samolotu. Udało się również nawiązać kontakt z Helmutem Goebelem, który podczas wojny służył na szalejowskim lotnisku. Od niego uzyskała informację, że na krótko przed wypadkiem Orlando na szalejowskim lotnisku rozbiły się dwa inne samoloty: Focke-Wulf FW 189A i Messerschmitt Me-109Bf, jednakże ich pilotom udało się przeżyć.

Pałac Münchhausenów w Żelaźnie i nie tylko...

Wspomniałem Wam o dwóch innych pałacach, które również były własno-

ścią rodu von Münchhausen. Jednym z nich jest pałac w Żelaźnie niedaleko Kłodzka. Problem polega na tym, że w tej samej miejscowości znajdują się dwa pałace, co często wprowadza w błąd poszukujących śladów przeszłości. Jak do tego doliczycie średniowieczną wieżę mieszkalną w Żelaźnie, no to mamy już prawdziwy problem. Ale po kolei.

Zacznę od pałacu, który nie należał do Münchhausenów. Był za to związany z moim rodzinnym miastem, Bytomiem. Został wybudowany pod koniec XVIII w. w stylu barokowym, w miejscu wcześniejszego założenia dworskiego, które spłonęło podczas wojny trzydziestoletniej (1618-1648). W 1788 r. z rąk kłodzkich jezuitów wykupił go radca Johann Karl Pelcke, który zapewne rozpoczął budowę pałacu. Kolejnym jego właścicielem, w 1799 r., został Franz Arbogast Hoffmann, królewski radca, który dokończył budowę. Gdy zmarł, wdowa po nim poślubiła płk. Alberta von Bibersteina, od 1808 r. nowego właściciela Żelazna. W 1835 r. pałac został zakupiony przez Hermanna Dietricha Lindeheima, bogatego śląskiego przedsiębiorcę. Po jego śmierci synowie sprzedali majątek Hugonowi von Löbbecke. Z jego inicjatywy w latach 1869-1871 pałac został przebudowany wg projektu wrocławskiego architekta Carla Schmidta. W 1883 i 1905 r. na zlecenie Siegfrieda von Löbbecke dokonano kolejnych zmian architektonicznych, dostawiając do pałacu jedno skrzydło. Obecnie ma charakter klasycystyczny. Jest murowaną, piętrową, dwuskrzydłową budowlą z charakterystyczną cylindryczną wieżą w jednym z narożników, otoczoną pokaźnych rozmiarów parkiem. Miejsce jest nieco oddalone od głównej drogi prowadzącej w stronę Kłodzka, ale dzięki temu jest ciche i atrakcyjne.

Po wojnie pałac w Żelaźnie był wykorzystany jako składnica muzealna. Pewnie z tego okresu pamięta wiele tajemnic. Później zamieniono go w dom wczasowy huty „Bobrek” w Bytomiu. W latach 1970-1974 obiekt przeszedł gruntowny remont. W 1994 r. nowym właścicielem pałacu została Centrala Zaopatrzenia Hutnictwa SA w Katowicach. Tak było do grudnia 2012 r. Od tego momentu pałac w Żelaźnie znalazł się w rękach grupy „Tanzanit”, która przekształciła go w obiekt hotelowy. Przeprowadzono generalny remont. Pałac dostał kolejną szansę, aby przetrwać. Obecnie funkcjonuje w nim ekskluzywny hotel, a także miejsce do organizacji szkoleń, konferencji, seminariów, spotkań biznesowych, wystaw, koncertów oraz wszelkiego rodzaju imprez okolicznościowych.

Pałac von Münchhausenów leży w innym miejscu. Pochodzi z XIX w. i ma charakter eklektyczny. Jego architektem również był C. Schmidt. Powstał w XIX w., gdy część Żelazna należała do Ernsta von Münchhausen zu Grainburg am der Donau. Było to tzw. Żelazno Górne (niem. Ober-Eisersdorf), w którym wówczas znajdowały się 74 budynki. W 1905 r. jego właścicielkami były hrabina Sophie Finck von Finckenstein, baronowa Hertha von Münchhausen oraz Martha von Roeder. W 1921 r. majątek należał do hr. Heinricha Finck von Finckenstein[3] i Marthy von Roeder. Pałac jest murowany i dwupiętrowy, o rzucie zbliżonym do litery L. Na przełomie XIX i XX w. został przebudowany (kolejna przebudowa miała ponoć miejsce w 2 poł. XX w.). Posiada narożną, ośmioboczną wieżę nakrytą stożkowym hełmem. Na wieży widnieją kartusze herbowe. Podobno na początku lat 90. znalazł się w rękach PCK. Planowano urządzić w nim ośrodek Monaru, co spotkało się z ostrymi protestami społecznymi. Postanowiono więc, że będzie miejscem, gdzie spędzać będą wakacje dzieci z najuboższych rodzin, a także ośrodkiem prowadzenia kursów dla osób po terapiach. Obecnie jest w rękach prywatnych i nie ma do niego dostępu. Daleko mu do czasów swojej świetności.

Skoro zacząłem, to dokończę. Będąc w Żelaźnie nie zapomnijcie odwiedzić jeszcze jednego miejsca. Właściwie nie będzie to trudne, bo rzuca się w oczy. To pochodząca z XV w. czterokondygnacyjna, wtórnie otynkowana, kamienna wieża mieszkalna, wybudowana na planie prostokąta. Właściwie nie wiadomo, czy pierwotnie była strażnicą, wieżą mieszkalną czy budynkiem gospodarczym. Na pocz. XVIII w. (1727) na pewno nadano jej charakter mieszkalny. Obecnie jest własnością prywatnych inwestorów z Wrocławia, którzy dokonują jej remontu. Nie można jej zwiedzać.

PS. Dobrze by było, gdyby w pałacu w Szalejowie Dolnym zaakcentowano w jakiś sposób postać barona-fantasty. Okolica wspaniała, miejsce historyczne, a nazwa Szalejów, szalona jak sam baron. Jak uważacie?

Przypisy:

[1] Na uwagę zasługuje nadawanie synom imienia Hilmar, które jest szwedzkiego pochodzenia. W genealogii rodu owe imię zaczyna się dość często pojawiać w XVI w., co ponoć związane jest z zajęciem Inflant przez Szwedów (Münchhausenowie mieli tam swoje posiadłości).

[2] Jej rodzicami byli baron Max von Johnston und Kroegeborn, ur. w Trzeboszowicach w obecnym powiecie nyskim, a matką Elisabeth von Hauteville-Jacquemin, ur. we Wrocławiu. Oboje rodzice zmarli w Ratnie Dolnym.

[3] Jego drugą żoną była baronowa Sofie von Münchhausen, ur. w Szalejowie Dolnym.

Literatura:

1. H. Grzybowski, „Lotnisko w Szalejowie Dolnym/Książówce”, wyd. internetowe [w:] „Ziemia Kłodzka” nr 233/XII 2013 – na podstawie H. Goebel, współpr. G. Olbricht, M. Wamhoff, R. Lux, T. von Münchhausen, W. Exner, A. Babel. Rozdział: „Der Feldflugplatz”, [w:] „Heimatbuch der Gemeinde Niederschwedeldorf in der Grafschaft Glatz/Schlesien”, J. Brinkmann, W. Patzelt, Georgsmarienhütte-Oldenburg 2001, s. 356-357

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

zdarzyło się...

10 VII 1865 r.

150 lat temu w ówczesnym Breslau (obecnie Wrocław) otwarto najstarszy ogród zoologiczny. Na pomysł jego budowy wpadł dwa lata wcześniej nadburmistrz Breslau Julius Elwanger. Inwestycja nie uzyskała jednak dotacji państwowych ani miejskich, władze Breslau pozwoliły jedynie, aby projekt został zrealizowany na niezamieszkanych wówczas terenach nad Odrą (planowano, że będzie się tam dojeżdżać omnibusami konnymi i statkami rzecznymi). Kapitał, 30 tys. talarów, udało się zebrać dzięki publicznej emisji akcji (50 talarów za sztukę). Na otwarciu zoo publiczność zobaczyła 189 zwierząt, m.in. daniele, lamy, sarny i jedną zebrę. Wrocławskie zoo jest dzisiaj najstarszym i największym (33 hektary) ogrodem zoologicznym w Polsce, w którym można oglądać ok. 7 tysięcy zwierząt, które reprezentują około tysiąc gatunków.

Legendarna broń biała cz. 3

Nóż bojowy Ka-Bar

PIOTR GALIK

Wiek XX kojarzy się zwykle z lawinowym rozwojem techniki, w tym także militarnej. Podczas licznych wojen i kryzysów międzynarodowych nowe typy broni szybko pojawiały się i znikały, zastępowane przez coraz doskonalsze konstrukcje. W zbrojeniowym kalejdoskopie istniały jednak wyjątki, zdolne przetrwać w służbie całe dziesięciolecia. Do tych legendarnych rodzajów oręża wypada zaliczyć także sprzęt bojowy, który wywodzi się w prostej linii z licznej i urozmaiconej rodziny amerykańskich noży myśliwskich. Ulubiony nie tylko przez US Marines Ka-Bar służył w wielu konfliktach zbrojnych i nadal cieszy się popularnością wśród „wojowników Wuja Sama".

Westernowe początki

Wśród legend pionierskiego okresu ekspansji Stanów Zjednoczonych poczesne miejsce zajmuje epicka historia Teksasu, zasiedlonej przez „Gringos" prowincji hiszpańskiej kolonii w Meksyku, wolnego państwa, a wreszcie stanu Unii. Jednym z ikonicznych bohaterów tych burzliwych wydarzeń stał się James Bowie (1796-1836) – myśliwy, przemytnik, handlarz niewolników, spekulant nieruchomościami, awanturnik i bohaterski żołnierz, który oddał życie za niepodległość Teksasu w heroicznej walce o misję Alamo (w pobliżu ówczesnego miasteczka i fortu San Antonio de Bexar), oblężoną przez wojska meksykańskie. Według tradycji, w swoim ostatnim boju Jim Bowie bronił się przed zwycięskimi napastnikami wielkim nożem myśliwskim. Od tamtej pory ten specyficzny typ broni i zarazem narzędzia znany jest jako „Bowie knife" (nóż Bowiego), a bohater z Alamo uważany jest za pomysłodawcę tego oręża – o masywnej rękojeści z jelcem i asymetrycznym, wklęsłym profilem grzbietu głowni, zwężającej się ku czubkowi na kształt charakterystycznego „żądła".

Pierwszym producentem – i zapewne współautorem koncepcji „noża Bowiego" – został James Black, kowal osiadły w stanie Arkansas. Nóż, rozsławiony bohaterską śmiercią legendarnego obrońcy Alamo, ceniony był jednak nie tylko z tego względu. Mocna konstrukcja i praktyczna geometria ostrza sprawiały, że sprawdzał się on znakomicie w codziennym życiu trapera czy myśliwego. Asymetryczne zakończenie ostrza ułatwiało np. patroszenie zwierzyny czy zdejmowanie skóry z upolowanej tuszy. Wkrótce popyt na ten typ broni okazał się większy, niż możliwości licznych producentów krajowych, często nie dorównujących mistrzostwu Jamesa Blacka. Z tego powodu w Sheffield w Wielkiej Brytanii rozpoczęto wyrób różnorodnych wariacji klasycznego „Bowie knife" z przeznaczeniem na rynek amerykański. Często przy tym ukrywano rzeczywiste pochodzenie noży, opatrywanych nazwami amerykańskich miast i stanów.

W drugiej połowie XIX w. „Bowie knife" stał się powszechnie przyjętym modelem uniwersalnego noża użytkowego, a krwawe lata amerykańskiej wojny domowej (1861-1865) potwierdziły jego zalety tak w roli narzędzia biwakowego, jak i śmiercionośnej broni w starciu bezpośrednim. Szybki rozwój amerykańskiego przemysłu przyczynił się do masowego wyrobu i upowszechnienia dobrej jakości rodzimych noży myśliwskich. Uważane jednak były one przez władze wojskowe za typowy ekwipunek cywilny, tolerowany w szeregach sił zbrojnych, lecz nie wprowadzony do ich regulaminowego wyposażenia. Przez wiele lat uważano, że szabla lub bagnet wystarczająco zaspokajają potrzeby wojska w zakresie broni białej. Dopiero doświadczenia Wielkiej Wojny (1914-1918) wpłynęły na zmianę zdania w kręgach amerykańskich sztabowców. Taktyka szturmowa, rozwinięta dla pokonania „pata okopowego" na froncie zachodnim, wymusiła przyjęcie do uzbrojenia broni białej przeznaczonej do walki wręcz. Wprowadzone do akcji sztylety szturmowe z kastetową rękojeścią: M1917, M1918 i ulepszony Mark I wyglądały wprawdzie zatrważająco groźnie, lecz daleko im było do uniwersalności noży myśliwskich w typie Bowie. Większość z wyprodukowanych egzemplarzy trafiła po wojnie do magazynów, gdyż żołnierze skarżyli się na ich znaczną masę, niewygodną rękojeść i podatną na złamanie głownię, a oficerów denerwował „bandycki" wygląd

Nóż typu Bowie, używany przez żołnierza armii konfederackiej podczas amerykańskiej Wojny Secesyjnej.

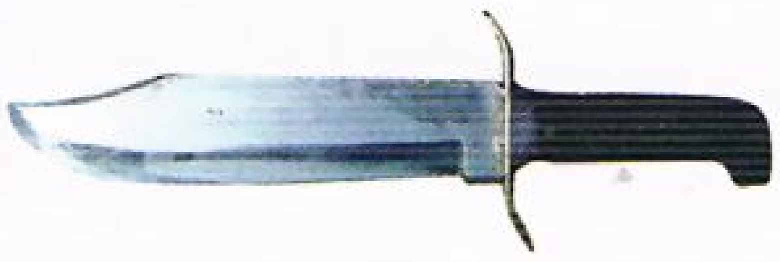

Nóż przypisywany Jamesowi Bowie, wykonany przez Jamesa Blacka w roku 1830, wg legendy wykuty został z żelaza meteorytycznego...

Nóż myśliwski w typie „Bowie knife", wyprodukowany w Sheffield na rynek amerykański, połowa XIX wieku.

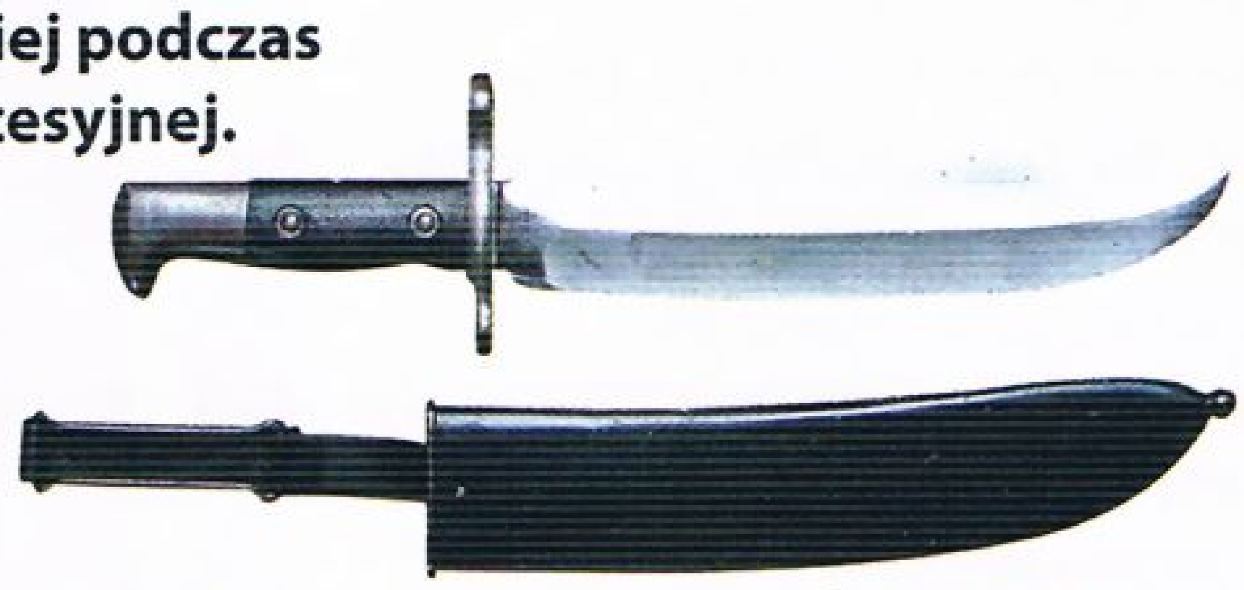

Głownia w typie noża Bowie z rękojeścią bagnetową, jeden z ok. 2800 egzemplarzy eksperymentalnego bagnetu US M1900 Bayonet & Entrenching Tool, wyprodukowanego do norweskich karabinów Krag-Jørgensen, używanych przez amerykańskie wojska podczas wojny z Hiszpanią w końcu XIX wieku.

broni. Przymykano zatem oko na powszechne użycie prywatnie nabytych noży myśliwskich, uważanych zresztą bardziej za narzędzie niż oręż.

„Zabójca niedźwiedzi" idzie w kamasze…

Wśród licznych wówczas producentów noży użytkowych, w tym myśliwskich, osobliwą nazwą szeregu swoich wyrobów wyróżniała się fabryka Union Cutlery Co. z miasteczka Olean w stanie Nowy Jork. Od 1923 r. serię różnorodnych modeli noży myśliwskich nazwano Ka-Bar. Osobliwy termin powstał podobno w wyniku próby odczytania spisanego niewprawną ręką listu z podziękowaniami od użytkownika noża, który za jego pomocą zabił niedźwiedzia. Słowa „Kill a Bear", odczytane pierwotnie jako „Ka-Bar", wykorzystane zostały jako nazwa handlowa noży z Olean. Firma wyrabiała je na rynek cywilny, lecz gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do II wojny światowej, zarząd przedsiębiorstwa postanowił zaoferować zmodyfikowany wzór noża myśliwskiego amerykańskim siłom zbrojnym.

Zanim jednak zapadła decyzja o złożeniu zamówienia, trzeba było wykorzystać zapasy z czasów I wojny światowej. W obliczu mobilizacji i modernizacji wszystkich rodzajów wojsk, do łask powróciły zmagazynowane od 1918 r. „sztyleto-kastety" Mark I, które wydawano formowanym na wzór brytyjskich komandosów amerykańskim oddziałom specjalnym. Żołnierze batalionów spadochronowych i rangersi US Army oraz raidersi US Marine Corps szybko przekonali się, że „pierwszowojenne zabytki" nie są w stanie sprostać ich wymaganiom i potrzebne im będą nowe, doskonalsze typy broni białej. Rozesłano zatem zapotrzebowanie na nową broń do szeregu producentów. Najbardziej obiecujące oferty poddane zostały starannej analizie, uwzględniającej zarówno przesłanki taktyczno-użytkowe, jak i logistyczne (szybkość i wielkość produkcji oraz jej koszt). Nowy nóż miał zastąpić nie tylko archaiczne Mark I, lecz także nowiutkie sztylety bojowe raidersów (United States Marine Raider stiletto), będące w istocie kopiami brytyjskiego noża F-S. Broń ta idealnie nadawała się do walki wręcz, jednak zupełnie zawodziła w o wiele częstszych zastosowaniach – delikatne, zahartowane głownie sztyletów kruszyły się nie tylko podczas próby podważenia wieka skrzyni na amunicję, ale nawet w razie upadku na twarde podłoże. W 2. batalionie raidersów już po pierwszych walkach z Japończykami wielu żołnierzy zastąpiło sztylety rozmaitymi cywilnymi maczetami i nożami myśliwskimi, co wywołało tak niechętnie widziany przez oficerów sztabowych chaos w wyposażeniu podkomendnych. Trzeba było zatem sięgnąć po sprawdzony, uniwersalny, choć nie tak wyrafinowany model broni białej.

Oznakowanie „kontraktowego" Ka-Bara z macierzystej wytwórni w Olean.

Ka-Bar, symbol ducha bojowego Marines

O ile wojska lądowe postanowiły uzbroić swoje oddziały specjalne, a z czasem także tych „zwykłych" żołnierzy, którzy z racji używanego uzbrojenia (pistolety maszynowe, karabinki samopowtarzalne, karabiny maszynowe itp.) nie otrzymali bagnetu, w specjalnie zaprojektowane „noże okopowe" (trench knife) M3, szefostwo Korpusu Piechoty Morskiej wybrało w listopadzie roku 1942 adaptację tradycyjnego traperskiego „noża Bowie". Oddelegowani do zakładów Union Cutlery oficerowie USMC, płk John M. Davis i mjr Howard E. America, wskazali producentom szereg poprawek pierwotnego wzoru noża. Obejmowały one m.in. wydłużenie głowni, wykucie zbrocza na jej bocznych powierzchniach, wykonanie „antypoślizgowej" okładziny rękojeści z krążków wyprawionej bydlęcej skóry, nałożonych na trzpień, zakończony masywną głowicą. Niewielki, lecz solidny jelec miał zapewniać pewny chwyt i chronić rękę użytkownika przed kontuzjami nawet przy najsilniejszych uderzeniach nożem. Dla podniesienia walorów taktycznych broni wprowadzony był także wymóg poddawania głowni noża obróbce chemicznej, nazywanej parkeryzacją. Polegała ona na pokryciu stali matową, ciemnoszarą warstwą fosforanów (związków kwasu fosforowego), co zarówno służyło ochro-

Pamiątkowy Ka-Bar osadzony w pochwie zaadaptowanej ze zdobycznej japońskiej broni białej.

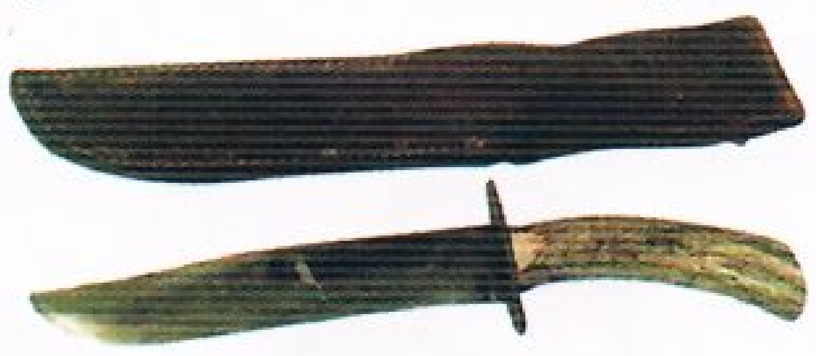

Wielu weteranów używało swoich Ka-Barów po powrocie „do cywila" w pierwotnym charakterze noży myśliwskich. Często „demilitaryzowano" służbowe egzemplarze, zmieniając oprawę głowni, w tym przypadku rękojeść wykonana została z jeleniego poroża.

Klasyczny Ka-Bar, egzemplarz wyprodukowany dla USMC w 1943, stan magazynowy…

… i egzemplarz, który towarzyszył swojemu użytkownikowi podczas walk na Pacyfiku.

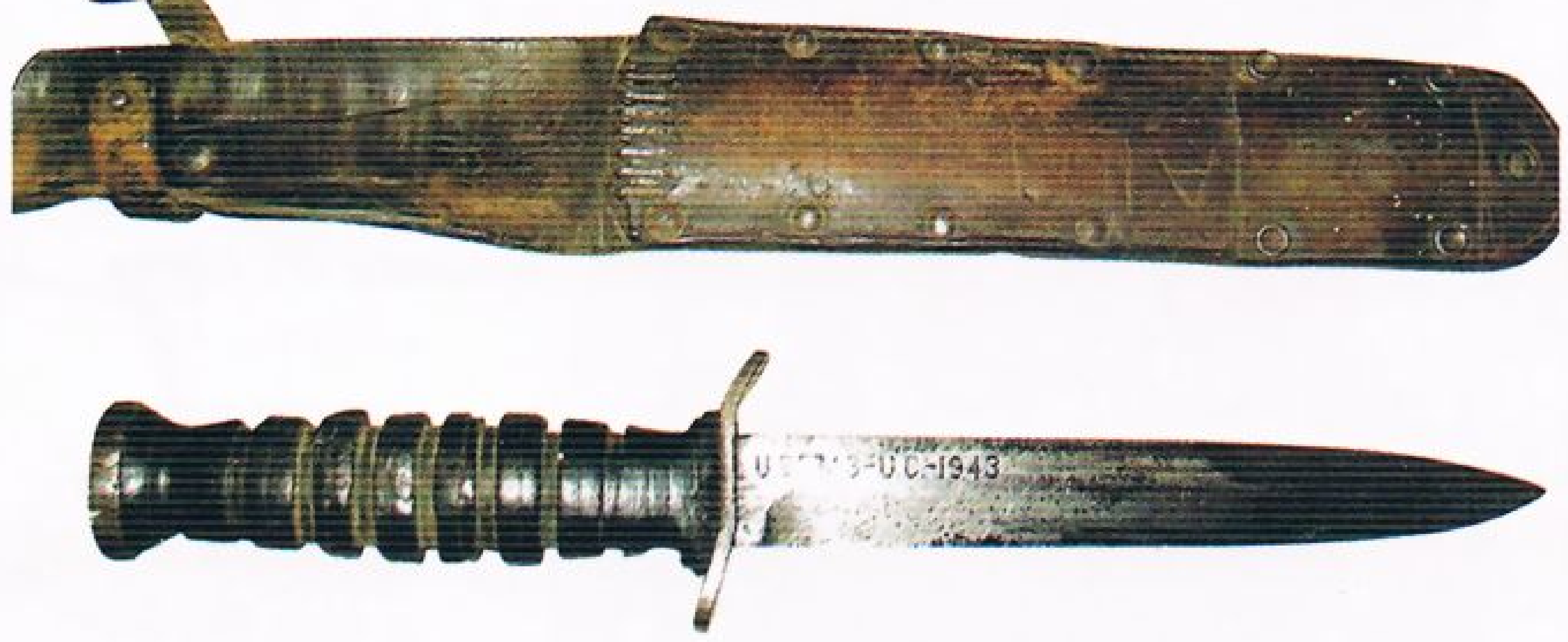

Konkurent Ka-Bara: nóż bojowy M3, wprowadzony do użytku w US Army.

Firma Camillus, główny wytwórca wojennych Ka-Barów, opracowała zmniejszony wariant broni jako Pilots Survival Knife – nóż przetrwania dla lotników.

nie metalu przed korozją, jak i pozbawiało głownię metalicznego połysku, mogącego zdradzić przedwcześnie zamiar użycia noża. W swojej ostatecznej wersji bojowy Ka-Bar miał nieco ponad 30 cm długości, w tym 18-centymetrową głownię, ważył około 560 gramów. W wersji zamawianej przez piechotę morską pochwę noża wykonywano ze skóry, opatrując ją na wzór klasycznych myśliwskich „Bowies" w integralną żabkę do pasa oraz zapinane na zatrzask zabezpieczenie przed wypadnięciem noża. Odmiana produkowana dla marynarki wojennej otrzymywała pochwę z tworzywa sztucznego, odporną na niszczycielskie działanie słonej wody morskiej.

Militarny wariant noża myśliwskiego oznaczono roboczo jako 1219C2 combat knife. Wkrótce wprowadzone zostało nowe określenie typu, odpowiadające przyjętej w amerykańskich siłach zbrojnych stylistyce: USMC Mark 2 combat knife lub Knife, Fighting Utility (nóż bojowo-użytkowy). Ta ostatnia nazwa oddawała najlepiej charakter broni. Przyjęła się jednak zupełnie inna, „cywilna", będąca raczej nazwą handlową, niż określeniem konkretnego typu: Ka-Bar, czyli „zabójca niedźwiedzi"...

Pierwsza seria noży bojowych opuściła taśmy produkcyjne w styczniu 1943 roku. Wkrótce Ka-Bary trafiły do strefy działań bojowych, obejmującej archipelagi Oceanu Spokojnego. W pierwszej kolejności otrzymali je „morscy komandosi" z oddziałów raidersów, a następnie zwiadowcy, saperzy i żołnierze obsługujący broń zespołową w batalionach li-

Podobny do Ka-Bara był także nóż PAL RH-36, używany chętnie przez pilotów USMC w Korei.

niowych. Zapotrzebowanie na nowe noże było jednak znacznie większe. Macierzysta fabryka nie nadążała z wyrobem masowo zamawianych Ka-Barów, chociaż do zakończenia działań wojennych wyprodukowała ponad milion egzemplarzy. Jeszcze więcej Ka-Barów powstało w zakładach Camillus Cutlery Corporation. Było to jednak wciąż zbyt mało. Konieczne okazało się uruchomienie licencyjnej produkcji w kilku kolejnych firmach. W roku 1944 noże wydawano już wszystkim żołnierzom oddziałów bojowych piechoty morskiej (także lotnikom USMC), a instruktorzy walki wręcz uczyli marines najskuteczniejszego użycia tej broni.

Trzeba dodać, że w przeciwieństwie do brytyjskiego systemu Fairburna–Sykesa, rozpowszechnianemu za oceanem przez płk. Rexa Applegate'a, walka Ka-Barem polegała przede wszystkim na zadawaniu ran ciętych, a w znacznie mniejszym stopniu – kłutych. Amerykański nóż był więc od „szanghajskiego sztyletu" mniej skuteczny w technikach zadawania nagłej, „cichej" śmierci, lecz za to sprawdzał się znakomicie w codziennym, frontowym bytowaniu, służąc posiadaczowi do wielu prozaicznych czynności, od ścinania gałązek na opał, przez otwieranie konserw, po rozcinanie kopert korespondencji z domu...

Jeszcze przed końcem II wojny światowej do użytkowników Ka-Bara dołączyli marynarze US Navy, któ-

Podczas wojny w Wietnamie Ka-Bary cieszyły się uznaniem także wśród żołnierzy US Army, a często towarzyszyły w ekwipunku piechura regulaminowym bagnetom.

rej dowództwo zamówiło odrębne dostawy. Nóż cieszył się uznaniem nawet wśród nurków z oddziałów UDT (Underwater Demolition Teams – Podwodnych Oddziałów Niszczących), chociaż skórzana wyściółka rękojeści źle znosiła kontakt z wodą morską i często ulegała przedwczesnemu zużyciu. Zalety użytkowe Ka-Bara (i jego masowa dostępność) równoważyły jednak tę wadę.

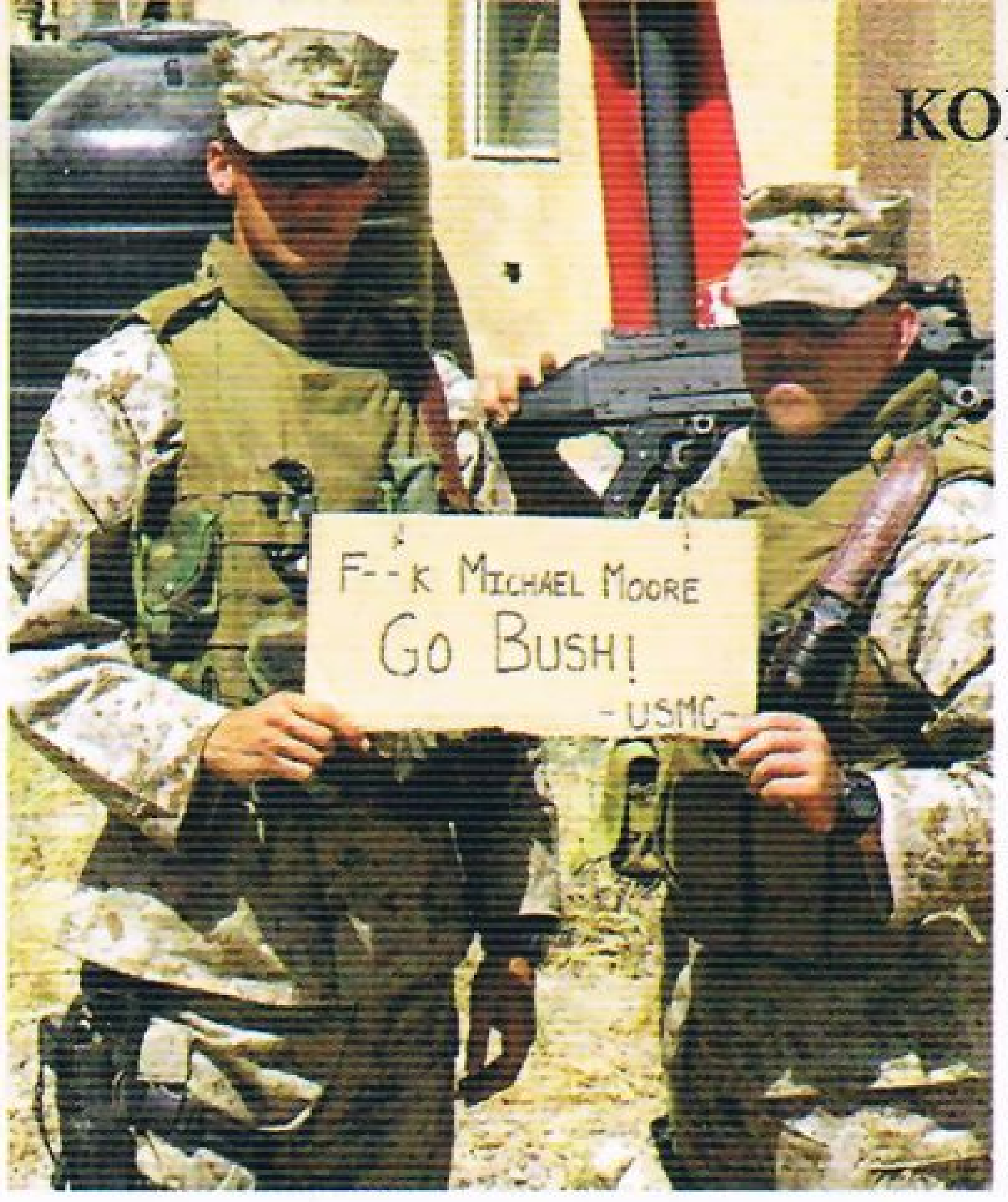

Stary, dobry Ka-Bar służy żołnierzom USMC także współcześnie…

Podwójne życie „zabójcy niedźwiedzi"

Po zakończeniu II wojny światowej nastąpiła szybka demobilizacja amerykańskich sił zbrojnych. Posiadane zapasy mogły zaspokoić potrzeby zredukowanej piechoty morskiej na dłuższy czas, zatem firma Union Cutlery powróciła do wytwarzania cywilnych noży myśliwskich. Jak jednak łatwo się domyślić, największym popytem cieszył się wojskowy Ka-Bar, a jego sława wpłynęła na zmianę nazwy producenta – od 1952 r. znanego jako KA-BAR Cutlery Inc. Egzemplarze przeznaczone na rynek cywilny wykonywane były bez sygnatur oznaczających rodzaj sił zbrojnych, zawsze jednak z wybitą nazwą KA-BAR, uważaną za specyficzny znak jakości noży.

„Klony" klasycznego Ka-Bara produkowało także (i nadal produkuje) szereg innych firm, gdyż jest to jeden z najpopularniejszych we współczesnym świecie noży survivalowych, paramilitarnych, myśliwskich i wędkarskich. Powstało wiele wariantów i modernizacji Ka-Bara, lecz model pierwotny wciąż cieszy się niemałym popytem i jest nadal wytwarzany, nie tylko w macierzystej fabryce. Oszałamiająca popularność „weterana" w zastosowaniu cywilnym nie może jednak przesłonić jego ciągłej od ponad 70 lat „służby czynnej".

Druga połowa wieku XX nie okazała się wcale epoką bez wojen, przeciwnie, Stany Zjednoczone wielokrotnie wysyłały swoją piechotę morską w rejony objęte lokalnymi konfliktami. Noże Ka-Bar, nabywane prywatnie na rynku cywilnym, wiernie towarzyszyły US Marines, a także żołnierzom wojsk lądowych (gdzie szybko wyparły „armijne" noże M3) podczas wojen w Korei (1950-1953) i w Wietnamie (1965-1975), a po zakończeniu „zimnej wojny" także w Kuwejcie i Iraku (1990-1991). Nadejście nowego stulecia, a wraz z nim „globalnej wojny z terrorem" nie przerwało kariery noża-legendy. Ka-Bary towarzyszyły Amerykanom (i ich sojusznikom) w drugiej wojnie irackiej (2001) i nadal służą w operacjach antyterrorystycznych na Bliskim Wschodzie i w Afganistanie. Pomimo sukcesywnego wprowadzania do wyposażenia sił zbrojnych nowszych, optymalizowanych cyfrowo i wykonywanych metodami „hi-tech" noży bojowych, stary „zabójca niedźwiedzi" ma się nadal dobrze i zapewne długo jeszcze będzie towarzyszył amerykańskiej piechocie morskiej, której symbolem stał się jeszcze zanim „gwieździsty sztandar" zawisł nad Iwo Jimą…

… podczas, gdy zarówno w wersji klasycznej, jak i w rozmaitych modyfikacjach oferowany jest także nabywcom cywilnym.

Literatura, ilustracje:
1. R. Buerlein, „Allied Military Fighting Knives And The Men Who Made Them Famous", Paladin Press, 2002
2. H. L. Peterson, „American Knives; The First History and Collector's Guide, Highland Park", N. J.1958
3. S. Shackleford, „Blade's Guide To Knives & Their Values", Krause Publications, 2009
4. M. Green, G. Stewart, „Weapons of the Modern Marines", Zenith Imprint Press, 2004
5. „Military Illustrated", 1995-2005

REKLAMA

Wojna od kuchni (cz. 5)

Niezbędniki brytyjskie 1939-1945

TOMASZ BIENEK

W poprzednich odcinkach naszego cyklu („Odkrywca" nr 5,6/2015) zaprezentowaliśmy niezbędniki, którymi podczas II wojny światowej posługiwali się żołnierze niemieccy i ich sojusznicy. Tym razem pokazujemy niezbędniki i sztućce brytyjskie. Takich właśnie przyborów do jedzenia używali Brytyjczycy oraz żołnierze z państw brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a także Polacy z licznych jednostek Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Podczas rozważań na temat niemieckich zestawów do jedzenia, zwracaliśmy uwagę m.in. na różnorodność ich odmian. W przypadku niezbędników brytyjskich główną cechą żołnierskich sztućców jest ich prostota. Już podczas I wojny światowej brytyjski żołnierz otrzymywał nieskomplikowany zestaw składający się z łyżki, widelca i noża. Były to oddzielne sztućce noszone w menażce lub w płóciennym woreczku. Podobnie wyglądała sytuacja w trakcie II wojny światowej, choć sztućce z tego okresu są zazwyczaj nieco mniejsze. Czasem noszono je razem z przyborami toaletowymi i krawieckimi w specjalnym pokrowcu, zwanym Holdall (słowo to najlepiej przetłumaczyć można jako „torba podręczna", w której nosi się wszystko, co niezbędne).

Brytyjskie sztućce polowe są bardzo łatwe do rozpoznania.

Wykonane z nierdzewnych metali są zazwyczaj czytelnie sygnowane, i w przeważającej większości noszą datę produkcji oraz znak w postaci równoramiennej strzałki, świadczący o ich wojskowym przeznaczeniu. Zawsze mają wybite nazwy producentów. W przypadku sztućców wyprodukowanych w Wielkiej Brytanii, pochodzą one zazwyczaj z okolic Sheffield, które w tamtym okresie było silnie uprzemysłowione i słynęło z wyrobów metalowych. Ponadto cechą wyróżniającą brytyjskie sztućce, jest charakterystyczny wzór w kształcie serca – na końcu uchwytu łyżki i widelca.

Brytyjskie wojskowe sztućce łatwo rozpoznać dzięki charakterystycznej końcówce przypominającej serce. Łyżka na zdjęciu sygnowana jest „T.G. Ltd. 1943", widelec zaś „G.A. Axe & Co Ltd. 1941". Na obu przedmiotach obowiązkowa strzałka.

Regulaminowy nóż wchodzący w skład zestawu miał metalową rączkę, jednak powszechnie stosowano także noże z partii przeznaczonych pierwotnie na rynek cywilny. Od typowo wojskowych noży odróżnia je uchwyt, wykonany z tworzywa sztucznego, zwykle w kolorze żółtym lub pomarańczowym. Zdjęcia dokumentalne dowodzą, iż takie noże znacznie częściej były używane przez wojsko, niż regulaminowy model wykonany w całości z metalu. Podobnie jak w przypadku wieloelementowych niezbędników Wehrmachtu, regulaminowe noże z brytyjskich zestawów są obecnie bardzo trudno dostępne. Już w czasie wojny sporadycznie spotykane, po wojnie, ze względu na kształt, identyczny z typowymi nożami stołowymi, zostały zapewne w znacznej większości zużyte w domach, gdy wraz z weteranami trafiły „do cywila".

Rzadki egzemplarz brytyjskiego widelca z sygnaturą Wojska Polskiego, nabitą w polskim oddziale.

Kolekcjonerzy brytyjskich militariów zwracają też uwagę na fakt, iż noże bardzo często nie były przez żołnierzy zabierane podczas walk na pierwszej linii, a czasami wręcz wyrzucane. Kierowano się przekonaniem, iż przedmiot ten jest nieprzydatny i w ramach redukcji wagi przenoszonego ekwipunku pozbywano się go, zostawiając jedynie widelec i nóż, uznawane za naprawdę niezbędne.

Sztućce armii pozostałych państw brytyjskiej Wspólnoty Narodów (ang. Commonwealth) mają dość podobny wygląd, można jednak odróżnić je od produktów z Wielkiej Brytanii.

W przypadku sztućców kanadyjskich wojskowa strzałka wpisana jest w literę „C" (od Canada). W dodatku kanadyjskie

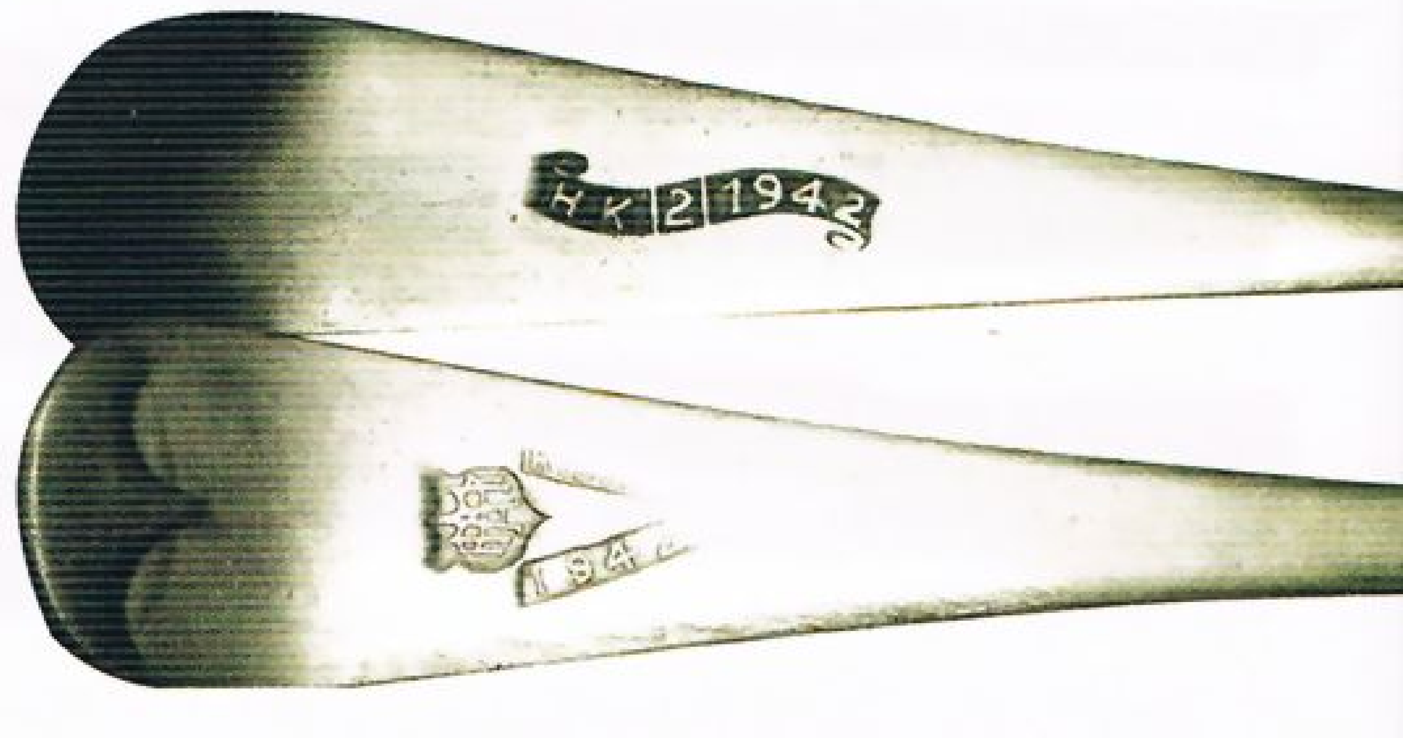

Osobliwe sygnatury na łyżce i widelcu, oba przedmioty wyprodukowane w 1942 roku.

zestawy mają czasami, na końcu uchwytu noża i łyżki, owalny otwór.

Sztućce australijskie z kolei często noszą znak strzałki, umieszczony między dwiema literami „D" (od Department of Defence; australijskiego departamentu obrony). Początkowo do większości tych zestawów wydawano płócienną torebkę, czego zaprzestano w późniejszym okresie wojny.

Przydatnym uzupełnieniem zestawów sztućców były łyżeczki do herbaty, sygnowane w ten sam sposób jak większe sztućce. Nie zawsze jednak wydawano je z podstawowym zestawem. Obecnie łyżeczki są równie trudne do zdobycia jak regulaminowe noże.

Pomimo prostoty brytyjskich zestawów do jedzenia wygląda na to, iż pod sam koniec II wojny światowej Brytyjczycy pozazdrościli jednak Niemcom wyszukanych form ich niezbędników i opracowali swój niezbędnik z praw-

dziwego zdarzenia. Niewykluczone, że przy jego projektowaniu oparli się na którymś z niemieckich modeli, bowiem angielski wojskowy niezbędnik przypomina m.in. niemiecki zestaw turystyczny Tourista DRGM, prezentowany w poprzednim numerze „Odkrywcy".

Zestaw złożony z noża, widelca i łyżki zamykał się w jedną całość za pomocą obejmy przynitowanej do łyżki. Niezbędnik ten, wprowadzony w niewielkim zakresie do produkcji w 1944 r., nosił nazwę „Compactum". Na obejmie oraz sztućcach umieszczano wojskowe sygnatury – strzałkę, datę produkcji oraz nazwę producenta. Spotyka się także niezbędniki tego typu bez daty produkcji. Istnieją dwie teorie tłumaczące ten stan rzeczy. Według pierwszej, niezbędniki takie są produktami przeznaczonymi na rynek cywilny, częściowo być może już z powojennej produkcji. Zwolennicy innej tezy są zdania, iż niezbędniki „Compactum", bez wybitej daty, to produkty kupowane przez żołnierzy prywatnie – w kantynach lub w specjalnych sklepach dla wojska. Entuzjaści obu tez toczą nierozstrzygniętą batalię na łamach publikacji historycznych oraz na internetowych forach tematycznych.

Wspominając o brytyjskich kantynach, warto nadmienić kilka słów na temat stosowanych w nich sztućców, gdyż w ograniczonym zakresie one także trafiały wraz z żołnierzami na pierwszą linię frontu. Podobne do polowych zestawów różniły się nieco wyglądem oraz sygnaturami. W latach 1939-1945 w użyciu były zarówno sztućce związane z brytyjskim pierwszowojennym systemem kantyn wojskowych, jak i kantynami NAAFI (Navy, Army and Air Force Institutes), czyli zrzeszeniem kantyn wojskowych Wielkiej Brytanii. NAAFI, które powołano do życia w 1921 r., zastąpiło poprzednią organizację; powstały podczas I wojny światowej Komitet Kantyn Armii (Army Canteen Committee), który pod koniec tego konfliktu zdążono jeszcze przekształcić w Navy and Army Canteen Board (Związek Kantyn Marynarki i Armii).

Sztućce z kantyn administrowanych przez te organizacje noszą bardzo ciekawe sygnatury, które pozwalają określić, z jakiej konkretnie struktury pochodzą. Na marginesie warto dodać, iż potrzeba stworzenia centralnego komitetu zajmującego się zaopatrywaniem wojskowych kantyn i sklepów została dostrzeżona na krótko przed I wojną światową. Zwrócono wówczas uwagę na patologię dotyczącą funkcjonowania i zarządzania nadmiernie „rozdętego" systemu wojskowych kantyn. Polegała ona na tym, iż każdy brytyjski garnizon dysponował swoją kantyną zarządzaną przez kwatermistrza danej jednostki. Nikt poza nim, i wąskim gronem dopuszczonych do interesu osób, nie kontrolował jakie produkty, i na jakiej zasadzie, trafiały do obrotu w kantynach, co owocowało ogromną korupcją wśród kwatermistrzów i zaopatrzeniowców. By wprowadzić centralny system kontroli nad tym, co dzieje się w tych placówkach, powołano jednolitą administrację sprawującą pieczę nad wszystkimi kantynami, czyli wspomniany wcześniej Army Canteen Committee. Gdy kantyny tej organizacji postanowiono włączyć pod jeden zarząd wraz z kantynami lotnictwa i marynarki, powołano NAAFI, które istnieje do dzisiaj.

Sposób przenoszenia przyborów do jedzenia w podręcznym zestawie Holdall.

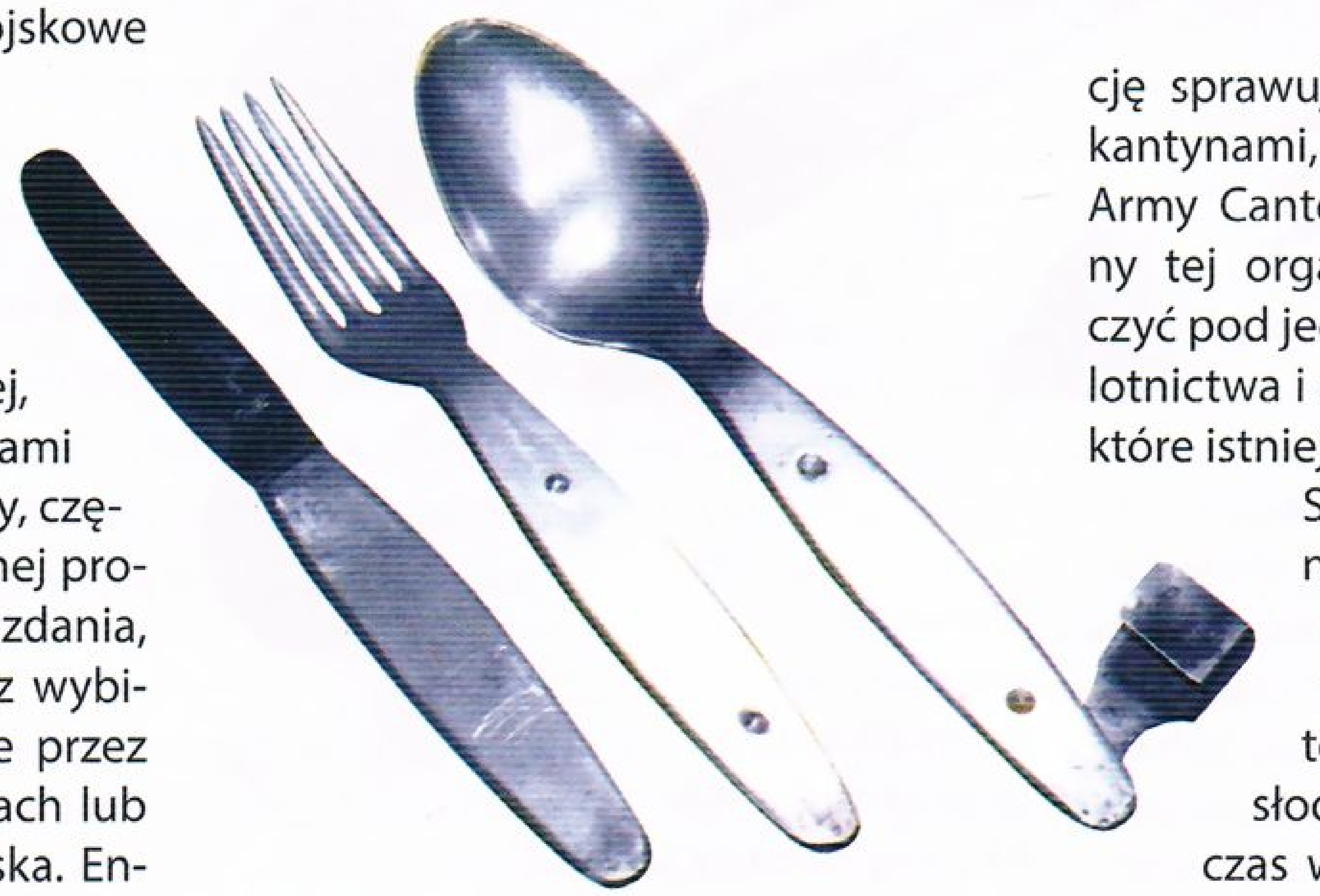

Niezbędnik „Compactum" wprowadzony w 1944 roku – na zdjęciu kompletny egzemplarz bez daty produkcji.

Skrót ten jest dobrze znany kolekcjonerom militariów, gdyż jest nim opatrzonych wiele brytyjskich produktów dla wojska: papierosy, słodycze, kosmetyki itd.. Podczas wojny NAAFI zarządzało także wojskowymi klubami, kasynami, barami, hotelami, sklepami i oczywiście dystrybucją wszelkich dóbr przeznaczonych do sprzedaży w tych miejscach, czuwając nad przejrzystością transakcji handlowych, jak również nad jakością sprzedawanych towarów. W czasach współczesnych zadanie tego stowarzyszenia nadal nie uległo zmianie.

Poruszając temat brytyjskich przyborów do jedzenia, nie można zapomnieć o kultowym przedmiocie z wyposażenia brytyjskiego żołnierza – o przydziałowym scyzoryku nazywanym powszechnie „Churchillem", który stanowił idealne uzupełnienie niezbędnika. Scyzoryki tego typu pojawiły się w brytyjskiej armii pod koniec XIX w. i szybko zdobyły uznanie żołnierzy. Typowy „Churchill" miał trzy ostrza: otwieracz do butelek i konserw, krótki nóż oraz szpikulec – wcześniej przydatny do za-

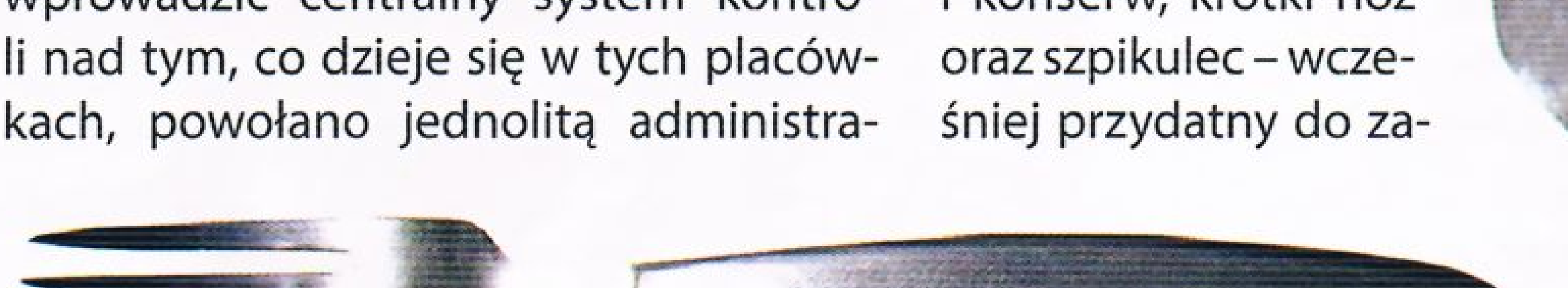

Widelec z niezbędnika „Compactum" z datą 1944 i wojskową strzałką. Producent: B & J.S. Ltd. Sheffield England.

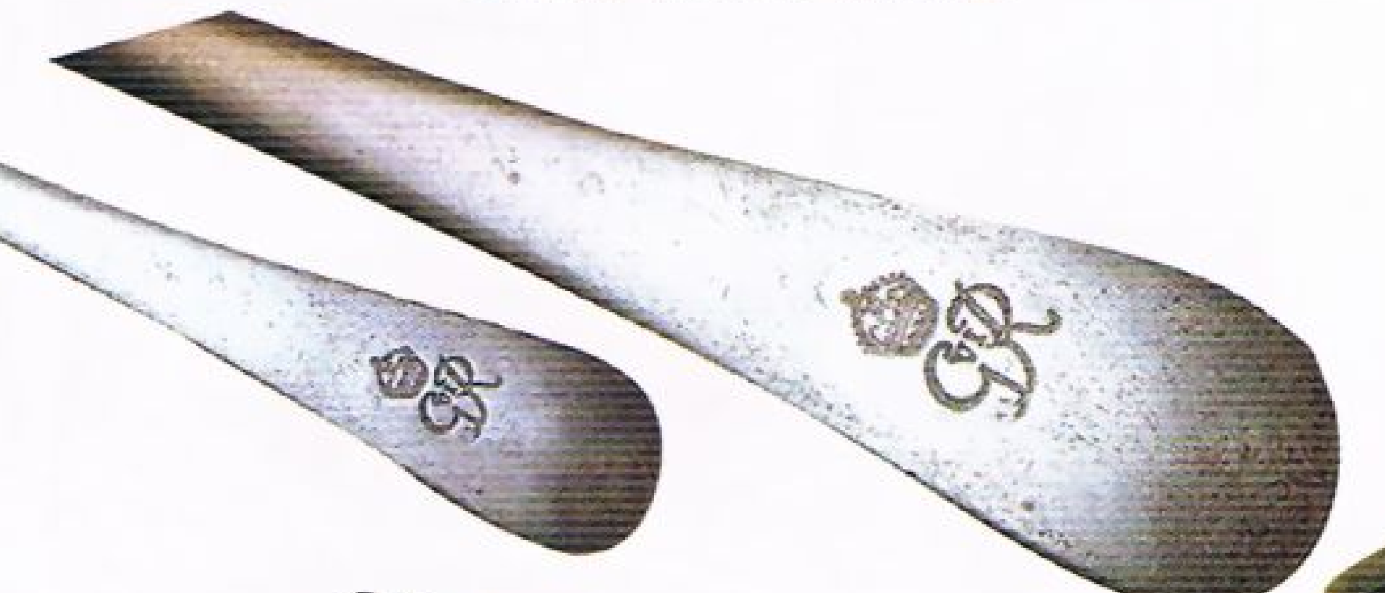

Łyżka z kasyna oficerskiego z inicjałami króla Jerzego VI. Producent: Nichel Silver Wears White.

Niezwykle lubiany wśród żołnierzy scyzoryk „Churchill". Sygnowany strzałką oraz „Venture H.M. Slater 1943".

Łyżka z zestawu dla lotnictwa z symbolem RAF-u. Producent: Gladwin Embassy Plate.

Pierwszowojenny widelec z kantyn poprzednika NAAFI, sygnowany „A.C.C." (Army Canteen Committee).

platania lin, podczas ostatniej wojny wykorzystywany już raczej jako przebijak do otwierania puszek z mlekiem. Po jednej stronie rękojeści z charakterystycznymi czarnymi, karbowanymi okładzinami, umieszczono rodzaj śrubokrętu, z drugiej stalowy pierścień do przywiązania sznurka lub mocowania linki, zapobiegającej zgubienie narzędzia. Wydawano też specjalne szlufki z karabińczykiem umożliwiające noszenie „Churchilla" na pasie. Istniały wersje bez szpikulca, a także nieco większe, z okładzinami w zielonym kolorze; przeznaczone dla marynarki.

Dodatkiem do przyborów związanych z jedzeniem mogły też być regulaminowe otwieracze do konserw, zawsze sygnowane datą oraz strzałką. Na potrzeby armii produkowała je m.in. firma John Watt Sheffield.

Na zakończenie warto dodać, iż wszelkimi opisanymi powyżej przyborami posługiwali się także Polacy – tysiące żołnierzy, marynarzy i lotników walczących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Wraz z powracającymi po wojnie do Polski weteranami, wiele z tych przyborów dotarło do kraju, i było wykorzystywanych przez długie lata w nowej, pokojowej roli.

Literatura:
1. D. B. Gordon, „Equipment of the WWII Tommy" (seria: „Revised and expanded"), Pictorial Histories Publishing Co., Inc. 2010
2. M. J. Brayley, R. Ingram „The World War II Tommy, British Army Uniforms European Theatre 1939-45 in Colour Photographs", The Crowood Press Ltd., 1998

ZDJĘCIA: PREZENTOWANE EKSPONATY POCHODZĄ Z KOLEKCJI TOMASZA BIENKA I DANIELA BIENKA.

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Wojna od kuchni" ukazały się:
» cz. 1 „Pili sake, jedli ryż… czyli japońska wojna od kuchni", nr 3/2015,
» cz. 2 „Kultowe napoje gazowane po obu stronach frontu czyli Coca-Cola kontra Afri-Cola", nr 4/2015.
» cz. 3 „Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 1)", nr 5/2015
» cz. 4 „Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 2)", nr 6/2015

Tomasz Piotr Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

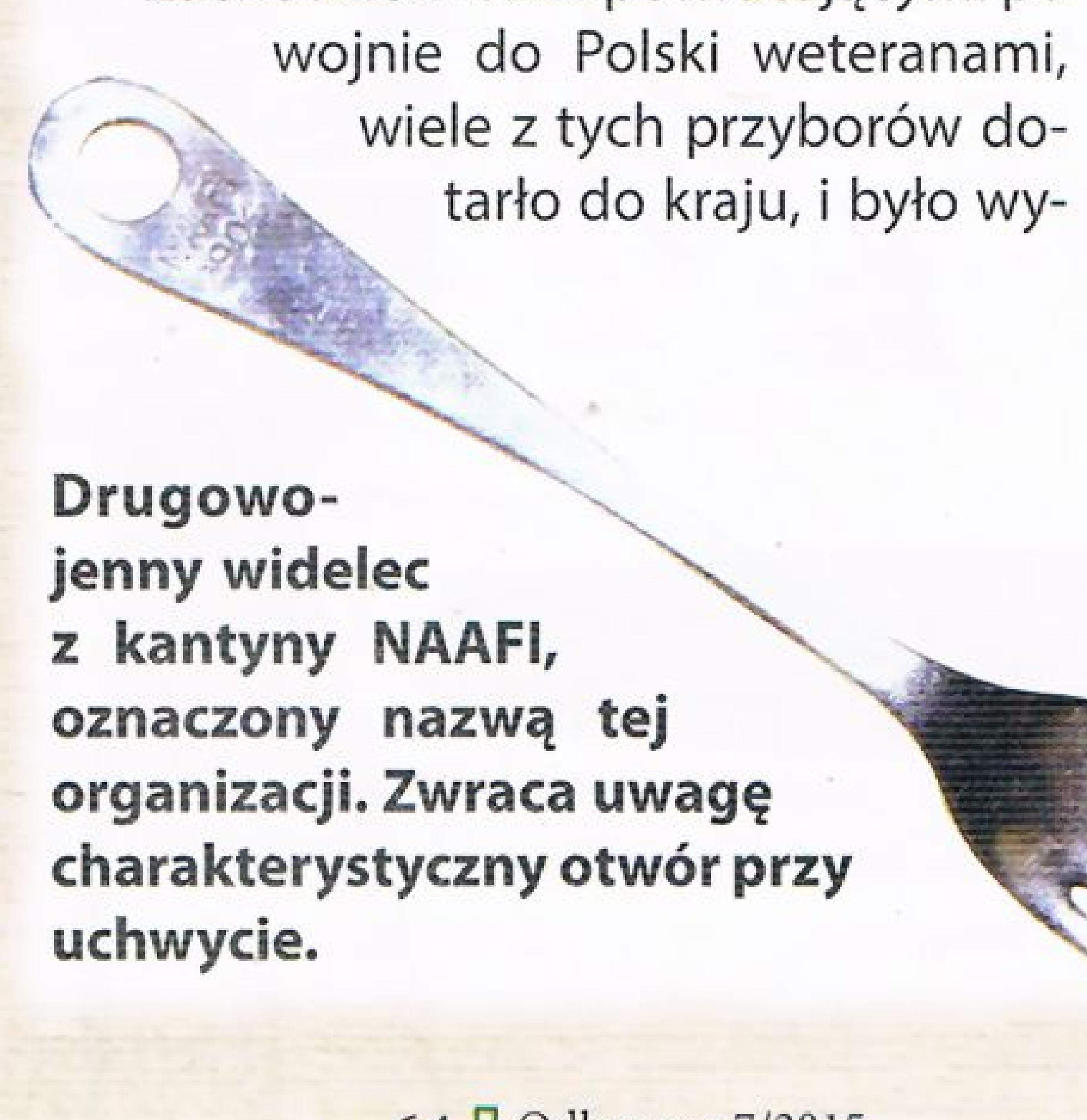

Drugowojenny widelec z kantyny NAAFI, oznaczony nazwą tej organizacji. Zwraca uwagę charakterystyczny otwór przy uchwycie.

Kompletny zestaw polowych sztućców wraz z łyżeczką do herbaty oraz pokrowcem. Widelec nosi sygnaturę: „Bisby NS 1940", łyżka: „Dixon 1942", łyżeczka: „EPNS", nóż: „Edwin Blyde & Co., Sheffield".

Fortyfikacje wyspy Vis (cz. 1)

Bitwa pod LISSĄ

JERZY SADOWSKI

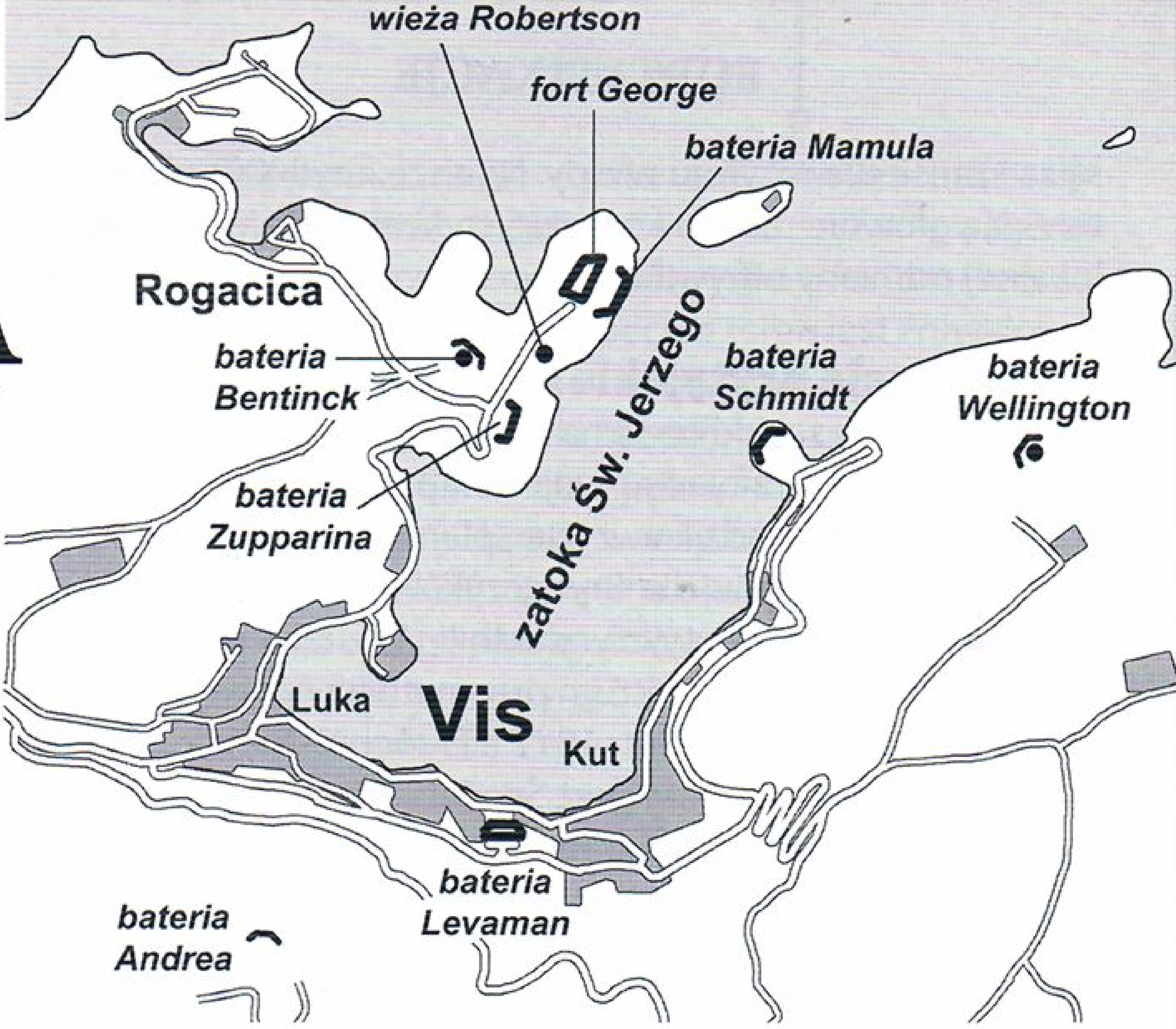

Wyspa Vis na wybrzeżu Dalmatyńskim, dziś część Chorwacji, to miejsce kojarzone głównie z atrakcjami adresowanymi do turystów pragnących oddawać się żeglarstwu i kąpielom morskim lub słonecznym. Ponieważ to najdalej w morze wysunięta z zamieszkałych wysp dalmatyńskich, to otaczające ją wody charakteryzują się znakomitą przejrzystością zachęcającą do nurkowania, co ułatwia także polska baza nurkowa w miejscowości Vis. Jednak klimat oraz warunki sprzyjające wypoczynkowi i nurkowaniu to nie wszystkie atuty wyspy, nazywanej po grecku Issa, a po włosku Lissa. Obecnie Vis to także miejsce obfitujące w zabytkowe budowle przypominające, iż historia wyspy sięga wielu lat przed Chrystusem, a wpływy osadników greckich i rzymskich nadal są zapisane w starej zabudowie.

W czasach nowożytnych wyspa była bazą morską Republiki Weneckiej aż do 1797 roku. Vis, pod nazwą Lissa, zapisała się także w historii nowożytnej marynistyki jako miejsce kilku bitew morskich, w tym pierwszej bitwy pełnomorskich okrętów pancernych stoczonej podczas wojny austriacko-prusko-włoskiej. To pierwsze duże starcie pancerników zaowocowało wrakami urozmaicającymi dno Adriatyku na północ od brzegów wyspy. Lecz sama bitwa trwała tylko dwie godziny, a wcześniej przez dwa dni włoska eskadra walczyła z bateriami nadbrzeżnymi. Niestety, tą forteczną część historii wyspy przesłania bitwa pierwszych eskadr okrętów pancernych, choć nowożytne umocnienia nadbrzeżne na Vis budowali Wenecjanie, Brytyjczycy, Austriacy, Włosi oraz armia jugosłowiańska, a jej armaty nadbrzeżne pozostawały w służbie do roku 1992.

Ponieważ wyspa jest niewielka, gdyż liczy zaledwie 17 km długości i 8 km szerokości, a dwie największe miejscowości Vis i Komiżę dzieli tylko 10 km, łatwo ją zwiedzić i nie wymaga to zbyt wiele czasu. Dogodnym i zapewniającym sporo frajdy środkiem lokomocji są skutery, dostępne w kilku wypożyczalniach (odradzam jednak firmę „TJONTA" przy hotelu Tamaris, której szefem jest zachłanny niemiecki emeryt).

Na wyspę Vis można dostać się promem pływającym ze Splitu – na tej 50 km trasie pływa prom samochodowy oraz duże i szybkie katamarany osobowe. Już sam Split wita turystów fortyfikacjami widocznymi z daleka, choć najbardziej znanym zabytkiem tego miasta jest pałac zbudowany tuż nad brzegiem zatoki przez rzymskiego cesarza Dioklecjana (władał w latach 284-305). Ten nieco nietypowy władca Rzymu wybrał dawne Spalatum jako miejsce, do którego postanowił przenieść się po abdykacji, i gdzie spędził emeryturę.

Prom zbliżający się do Vis wpływa do głębokiej na 2 km oraz dobrze chronionej przed sztormami zatoki i portu Św. Jerzego (uvala Sv. Jurija, St. George's Port, Hafen St. Giorgio). W jej głębi leży miasto Vis, które jak dotąd zachowało stary śródziemnomorski urok. Cumujące w porcie jednostki wita XVII-wieczna wieża strażniczo-mieszkalna „Perastijeva kula", wrośnięta w starą zabudowę. Obok niewielki kawałek płaskiego terenu zajmuje skwer-park ocieniony palmami, a wąskie uliczki i urokliwa zabudowa wspinają się na strome zbocza wzgórz otaczających zatokę. Czas jakby się tu zatrzymał, co w dużej części wynika z ostatnich lat militarnej historii wyspy.

Otóż Vis była jedyną wyspą dawnej Jugosławii, której nie okupowali Niemcy w czasie II wojny światowej, a jednocześnie stanowiła bazę partyzantów i sztabu Josipa Broz Tito. Funkcjonowało tu także lotnisko wykorzystywane na bazę lotnictwa wojsk Tito oraz alianckich ciężkich bombowców B-17 i B-24.

Wieża mieszkalno-obronna w porcie Vis.

Po wojnie był to teren zamknięty dla cudzoziemców, a do 1995 r. wyspa stanowiła jeden wielki garnizon Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, jako „bastion" broniący wybrzeża przed inwazją z zachodu. Chyba uchroniło to Vis przed koszmarkami w postaci nowoczesnych hoteli-resortów, gdyż dopiero niedawno zaczęła się tu rozwijać turystyka i nadal jest to miejsce niezbyt zatłoczone. Rozwój turystyki ma jednak nienachalny charakter i większość dawnych fortyfikacji jest opuszczona. Starsze, czyli XIX-wieczne, uważne

są za szansę dla rozwoju wyspy. Nowsze, czyli XX-wieczne, interesują głównie miłośników „turystyki ekstremalnej", jako cel lokalnej odmiany offroadu.

Fortyfikacje brytyjskie

Fortyfikacje zbudowane na wyspie Vis przez Anglików wywodzą się jeszcze z okresu wojen napoleońskich, gdy cesarz Francuzów wprowadził w życie „plan kontynentalny", polegający na zamknięciu dla Brytyjczyków portów handlowych w Europie. W 1806 Brytyjczycy odbili Vis z rąk Francuzów, po czym uczynili z wyspy centrum przemytu na Adriatyku i schronienie dla piratów. W 1810 i 1811 r. Francuzi i Wenecjanie atakowali z różnym skutkiem port Św. Jerzego, co spowodowało, iż Brytyjczycy ufortyfikowali wejście do zatoki.

Najsilniejszym dziełem wzniesionym przez Brytyjczyków jest fort George (chorw. utvrda King George III, a dla mieszkańców Vis po prostu „fortica") ulokowany na zachodnim półwyspie u wejścia do zatoki Św. Jerzego. Towarzyszyły mu trzy wieże ze stanowiskami artylerii, o bliźniaczej konstrukcji. Wykonano je z ciosanych kamiennych bloków, które były również elementem wystroju fasady. Wzniesione zostały na planie koła o średnicy 15 m jako trójkondygnacyjne, ze sklepieniem kolebkowym niosącym otwarty taras otoczony parapetem ze strzelnicami:

» wieża Robertson (chorw. kula Robertson) zbudowana ok. 150 m na południe od fortu George, przy prowadzącej doń drodze. Obecnie niewiele z niej zostało, choć jej nazwa upamiętnia nazwisko kierującego pracami fortyfikacyjnymi ówczesnego brytyjskiego gubernatora wyspy, którym był płk Sir George Duncan Robertson. Śladów wieży można szukać po wschodniej stronie drogi, na wysokości małego „bunkra" ulokowanego przy zachodnim poboczu,

» wieża Bentinck (chorw. „Terjun" lub „Torjun") zbudowana została na wzgórzu, ok. 500 m na południowy-zachód od fortu. Otacza ją murowany taras o wielobocznym narysie, nadający założeniu formę małego fortu „bastionowego", z wieżą jako śródszańcem. Niestety, dzieło zostało zburzone przez austriackie władze wojskowe w 1873 r.; dzisiaj pozostał tylko fragment południowej ściany i mury tarasów. Najwygodniejsza droga na wzgórze, przechodząca w ścieżkę, prowadzi od zachodu,

» wieża Wellington (chorw. kula Velington) zbudowana została jako samodzielny obiekt ulokowany na wschodnim półwyspie u wejścia do zatoki Św. Jerzego.

Ponadto we wschodniej części wysepki znajdującej się przed wejściem do zatoki ulokowano niewielką baterię nadbrzeżną Hoste, której ruiny nadal są widoczne. Wzniesiono ją w 1811 r., jest więc najstarszym z dzieł zbudowanych przez Brytyjczyków. Bateria (i wysepka) otrzymała imię po kpt. Williamie Hoste, dowódcy brytyjskiej floty wojennej, który odniósł spektakularne zwycięstwo w bitwie morskiej pod Lissą (marzec 1811 r.). Dowodził wówczas eskadrą 4 fregat (124 działa i ok. 880 marynarzy i żołnierzy) przeciw ponad dwukrotnie silniejszej flocie francusko-włoskiej liczącej 7 fregat i 4 mniejsze okręty (łącznie 276 dział i blisko 2000 ludzi). Po bitwie kapitan Hoste nakazał budowę fortyfikacji u wejścia do zatoki Św. Jerzego.

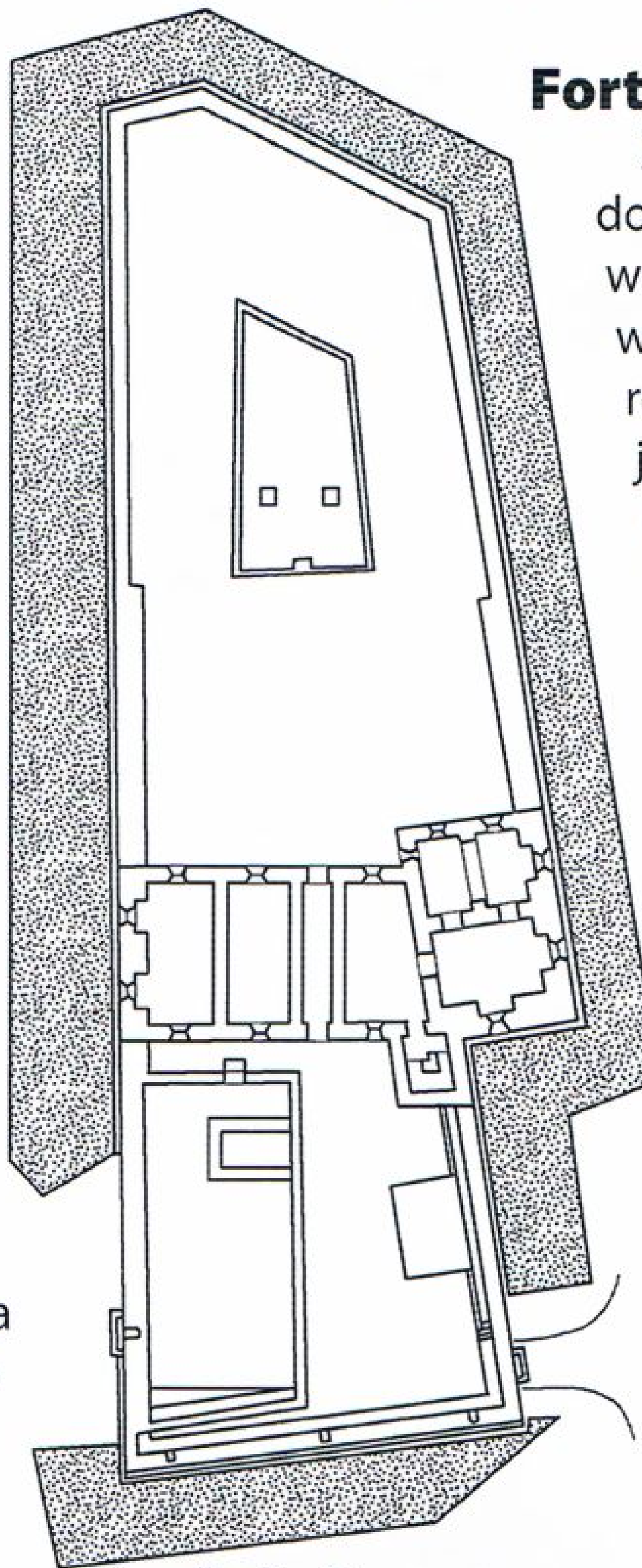

Plan fortu George. Rys J. Sadowski

Fort George

Z raportów oficerów Royal Navy wynika, że budowę fortu rozpoczęto w czerwcu 1812 r. i prowadzono ją szybko, pomimo trudności z dostawą materiałów budowlanych i pozyskaniem siły roboczej. Prace trwały zaledwie rok, choć z wyjątkiem kamienia wapiennego konieczne było dostarczenie wszystkich potrzebnych do budowy materiałów, łącznie z drewnem konstrukcyjnym i opałowym (dla pieców do wypalania wapna), drogą morską. Po zakończeniu budowy nad bramą fortu umieszczono datę 1813.

Fort znajduje się na płaskim szczycie zachodniego półwyspu u wejścia do zatoki Św. Jerzego, naprzeciwko wysepki Hoste. Projekt dostosowano do morfologii terenu, co sprawia, że dzieło jest silnie wydłużone i ma wymiary: 105 m długości i 32 m szerokości, a średnia wysokość ściany obwodowej od strony zachodniej wynosi 8 m. Założenie otacza fosa kuta w skale o głębokości ok. 2 m. Fort od południa ma zamknięty dziedziniec w kształcie nieregularnego prostokąta, z bramą i mostem zwodzonym od strony wschodniej. Wewnątrz przylegających do

Fort George od strony zachodniej, widziany z perspektywy pokładu włoskiego pancernika.

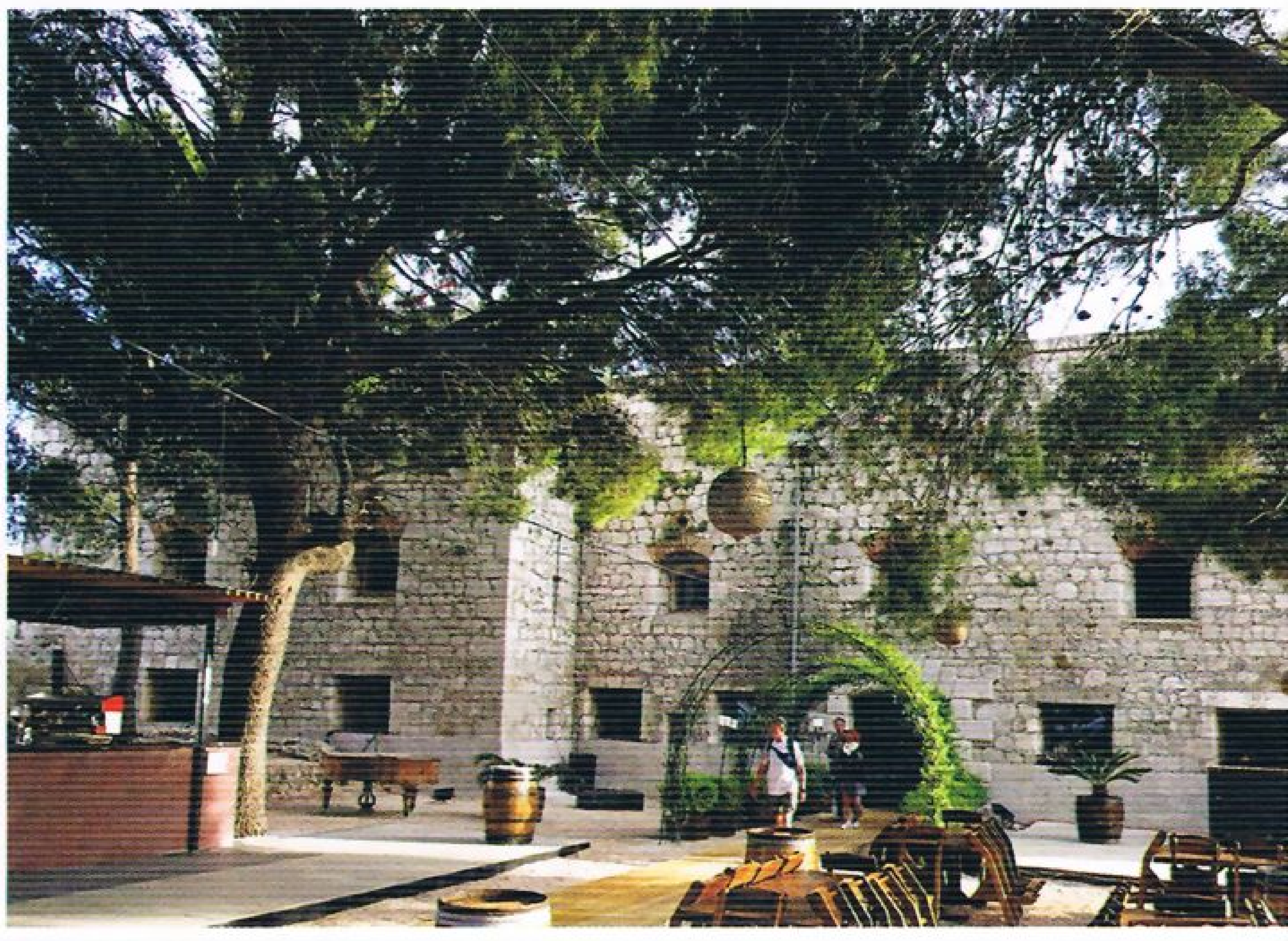

Taras artylerii i koszary obronne fortu George.

dziedzińca budynków oficyny i obronnych koszar znajdowały się kwatery oficerów i żołnierzy: prochownia, kuchnia i magazyny. Na rozległym tarasie artyleryjskim, zorientowanym w kierunku morza i otoczonym murem obronnym z parapetem, usytuowano zbiornik na wodę deszczową (zbieraną także z dachu koszar). Główny budynek fortu to dwukondygnacyjne obronne koszary zbudowane na planie dwóch przecinających się prostokątów i usytuowane poprzecznie do osi założenia, zajmując całą jego szerokość. Ściany wykonane z ciętego kamienia mają grubość od 80 cm – od strony dziedzińca i tarasu, do 120 cm – od strony zewnętrznych murów obronnych. Strop między kondygnacjami oparto na drewnianych belkach, a dach na sklepieniach kolebkowych. Koszary mają płaski dach i parapet wyposażony w strzelnice dla broni palnej. Częścią wystroju elewacji jest podział i cięcia bloków kamiennych muru oraz obramowania wszystkich otworów, które zaopatrzono w elementy kamienne stanowiące ościeżnice drzwi i proste ramy okienne. Wyjątkiem jest brama głównego wejścia z kamiennym portalem i zwornikiem, na którym wyryto flagę brytyjską. Na kamieniu powyżej widnieje napis: „GEORG the THIRD".

W roku 1815, po kongresie wiedeńskim, fortyfikacje na Vis przejęła armia austriacka i kontynuowała ich rozbudowę. Fort George brał udział w bitwie z flotą włoską atakującą Vis w 1866 r. i został poważnie uszkodzony, a następnie odbudowany. Nadal był użytkowany przez wojsko, także po II wojnie światowej, gdy służył Jugosłowiańskiej Armii Ludowej aż do początku lat 90. XX wieku. Następnie został opuszczony. Obecnie funkcjonuje w nim restauracja. Fort połączony jest z zabudową miejską Vis asfaltową drogą, będącą odgałęzieniem drogi do zatoki Paria i przylądka Nowa Počta. Od hotelu Issa dzieli go trasa długości 1,5 km, a od portu i przystani promów 2 km. Dziś jest to najciekawsze i łatwo dostępne dzieło fortyfikacyjne w Vis, któremu towarzyszy znakomicie zachowany krajobraz forteczny – widoki na fort, i z fortu, nie mają sobie równych.

Fortyfikacje austriackie

Mapa zatoki Św. Jerzego z 1832 pokazuje, iż fortyfikacje wzniesione przez Brytyjczyków zostały w międzyczasie uzupełnione przez Austriaków, którzy kolejne baterie nadbrzeżne usytuowali blisko linii brzegowej. W sumie było ich pięć; dwie na wysepce Hoste położnej u wejścia do zatoki, jedna na wschód od fortu George, kolejna 800 m w głąb zatoki, na południe od fortu, a piąta na półwyspie Češka Vila po wschodniej stronie zatoki. W trakcie włoskiego ataku w 1866 r. rozmieszczenie baterii prezentowało się jednak inaczej. Zatoki Św. Jerzego broniło 8 baterii rozmieszczonych zarówno na wzgórzach jak i nad linią brzegową. Na zachodnim brzegu zatoki były to:

» fort George uzbrojony w 17 dział: 4 nowoczesne gwintowane armaty 24-funtowe[1] (150 mm), 6 starych gładkolufowych armat 48-funtowych, 4 stare gładkolufowe armaty 18-funtowe, oraz 2 moździerze 60-funtowe i jeden 30-funtowy,

» bateria Mamula, którą zbudowano poniżej fortu Georg na stoku wzgórza od strony zatoki, uzbrojona była w 7 dział: 2 nowoczesne armaty 24-funtowymi (150 mm), cztery 30-funtowe haubice i jeden moździerz 30-funtowy,

» wieża Robertson uzbrojona była w jedną nowoczesną armatę 12-funtową (120 mm),

» bateria Zupparina, nowe dzieło z 4 nowymi armatami 24-funtowymi (150 mm), znajdowała się na szczycie wzgórza stanowiącym południowy kraniec półwyspu z fortem George, ok. 500 m na południe od fortu (obecnie teren jest zniwelowany, gdyż urządzono tu lądowisko dla helikopterów, a pozostały jedynie gruzy lewego skrzydła baterii),

» bateria przy wieży Bentinck z jedną nowoczesną armatą 12-funtową (120 mm) na tarasie wieży oraz 2 stare haubice 30-funtowe i 4 armaty 12-funtowe na obwałowaniu.

Na wschodnim brzegu zatoki ulokowane były dwie baterie:

» na wcinającym się w wody zatoki cyplu Češka Vila, nisko nad wodą, znajdowała się dwuczęściowa bateria Schmidt uzbrojona w 2 nowoczesne armaty 24-funtowe (150 mm) i 2 stare, gładkolufowe armaty 48-funtowe,

» bateria przy wieży Wellington, ulokowana blisko pół kilometra od brzegu i 190 m n.p.m., uzbrojona w jedną 7-funtową haubicę umieszczoną na tarasie wieży oraz jedną 10-funtową haubicę i 4 moździerze: dwa 30-funtowe i dwa 60-funtowe ustawione na obwałowaniu.

Ponadto w głębi zatoki Św. Jerzego, na brzegu tuż przy porcie, znajdowała się silna bateria Levaman (obecnie Madonna) uzbrojona w 8 armat: 4 nowoczesne 24-funtowe (150 mm) i 4 stare 30-funtowe. Dodatkowo na południe od portu Vis, na górującym nad miastem grzbiecie Andrea o wys. 270 m n.p.m. przygotowano ośrodek oporu z bateriami Cosmo i Andrea, pozwalającymi na ostrzeliwanie portu i wszystkich prowadzących w głąb wyspy dróg i dolin. Jego uzbrojenie stanowiły 4 armaty polowe 18-funtowe i 3 zestawy 6-funtowych rakiet. Znajdowały się tu również koszary dla 400 ludzi i cysterny z wodą.

Zatoki Komiża broniły dwie baterie nadbrzeżne oraz jedna blokująca drogę z Komiży na przełęcz, i dalej do Vis:

» po północnej stronie zatoki, na zachodnim krańcu skalistego grzbietu Spitze Magnaremi (1,5 km od portu Komiża), na wysokości 165 m n.p.m., znajdowała się bateria Magnaremi uzbrojona w 8 nowoczesnych gwintowanych armat: cztery 12-funtowe (120 mm) i cztery 24-funtowe (150 mm),

» na południowym brzegu zatoki Komiża, na szczycie Monte Perlić na przylądku Stupičše, na wysokości 253 m nad wodą, ulokowano improwizowaną baterię przeciwdesantową złożoną z dwóch 6-funtowych armat polowych,

» ok. 1,5 km na wschód od portu Komiża, na przełęczy S. Michele, przy drodze do Vis (nieco powyżej obecnego punktu widokowego i parkingu), znajdował się niewielki fort zaporowy Max uzbrojony w dwie armaty 24-funtowe oraz dwie 7-funtowe.

Na południowym brzegu wyspy, nad przystanią w zatoce Manego (chorw. Rukavac), zbudowano baterię Nadpostranje (170 m n.p.m.) uzbrojoną w dwie nowoczesne armaty 12-funtowe (120 mm) oraz 4 gładkolufowe 18-funtowe. Łączność zapewniały stacje telegrafu optycznego znajdujące się na górze Hum (587 m n.p.m.) oraz na wieży Wellington. Ponadto wyspa połączona była ze stałym lądem podmorskim kablem telegraficznym, przechodzącym przez wyspę Lessina (chorw. Hvar). Garnizon Vis w czasie włoskiego ataku liczył 1833 ludzi. Mimo obszernego programu fortyfikacyjnego, zastosowania nowych dział i starannego przygotowania obrony wyspy, w 1866 r. fortyfikacje na Vis nie zaliczano już do nowoczesnych. Większość dzieł miała konstrukcję kamienną lub ziemno-kamienną, a nowymi bateriami były tylko te drugorzędne: Nadpostranje, Monte Perlić, Cosmo i Andrea.

Bitwa floty włoskiej z austriackimi bateriami nadbrzeżnymi 1866

17 czerwca 1866 r. wybuchła wojna prusko-austriacka, w której niedawno zjednoczone Włochy stanęły po stronie Prus. Niestety, już 24 czerwca wojska włoskie doznały porażki w bitwie stoczonej z Austriakami pod Custozą. Rewanżem miało być uzyskanie zdobyczy terytorialnej i zajęcie ufortyfikowanej wyspy Lissa, czyli dzisiejszej Vis. W połowie lipca flota włoska była gotowa do akcji i wysadzenia desantu, co z uwagi na skaliste wybrzeża możliwe było tylko w portach. Konieczne więc było obezwładnienie austriackich dział i 18 lipca okręty włoskie pojawiły się na wodach oblewających Vis, po czym otworzyły ogień do baterii broniących portów. Siły włoskie składały się z 12 okrętów pancernych oraz 19 drewnianych. Podzielono je na 5 eskadr, z których 3 najsilniejsze miały zniszczyć obronę nabrzeżną. Plan zakładał związanie sił obrońców w zatokach Św. Jerzego i Komiża oraz wysadzenie desantu w najsłabiej bronionej zatoce Rukavac. Desant w sile 1500 ludzi miał przejść przez wyspę i zaatakować od tyłu siły austriackie w rejonie zatoki Św. Jerzego. Około godz. 9:00 pierwsza z włoskich eskadr wdała się w pojedynek ogniowy z baterią Magnaremi broniącą zatoki Komiża. Po rozpoznaniu pozostałych okrętów zamiary Włochów stały się oczywiste i obrońcy wysłali natychmiast telegraficzny meldunek do głównej bazy floty austriackiej w Puli, wraz z prośbą o odsiecz. Włoska eskadra popłynęła wzdłuż południowego brzegu wyspy i rozpoczęła walkę z baterią Nadpostranie, a rejon Komiży zaatakowała kolejna z eskadr. Siły główne zaatakowały fortyfikacje broniące zatokę Św. Jerzego. Cztery fregaty pancerne[2] otoczyły łukiem półwysep z fortem George i ok. 11:30 doszło do wymiany ognia. Niebawem 4 kolejne fregaty pancerne rozpoczęły ostrzał baterii Schmidt i Wellington. Natomiast eskadry spod Komiży i Rukavacu wycofały się, i ok. 15:00 dołączyły do sił głównych, ponieważ ostrzeliwane baterie były zbudowane zbyt wysoko. Atak z dużej odległości nie powodował szkód, a po podejściu do brzegu artyleria z baterii pokładowych nie była w stanie dosięgnąć celu. Zaś przeciwnik miał cel jak na dłoni i nawet mała bateria Monte Perlić prowadziła niezbyt groźny lecz celny i uciążliwy ogień.

Skoncentrowanie wszystkich włoskich okrętów w zatoce Św. Jerzego i ciągły ogień z ponad 400 dział musiały dać efekty. Początkowo dystans do pozycji austriackich wynosił ok. 1500 m, lecz z upływem czasu pancerniki skróciły go zaledwie o 400-600 m. Bitwa z fortyfikacjami trwała aż do 19:00, a flagowa jednostka włoskiej floty, fregata pancerna Re d'Italia, wystrzeliła w tym czasie ok. 1300 pocisków. W nocy włoskie eskadry wycofały się o kilka mil na północ od wyspy.

Efekty pierwszego dnia ataku na fortyfikacje zatoki Św. Jerzego wydawały się zadawalające; o 14:00 eksplozja magazynu amunicji wyłączyła z akcji baterię Schmidt, a na forcie George zniszczono lub uszkodzono połowę dział, tym samym ok. 17:00 przerwał ogień. Także baterie Mamula oraz Zupparina poniosły znaczne straty. W praktyce jednak, zarówno kamień jak i pancerz, dobrze pełniły role osłon i walka sprowadzała się do niszczenia armat przeciwnika, co wymagało skracania dystansu dla precyzyjniejszego celowania w strzelnice. Obrońcy wyspy kilkakrotnie meldowali o rozwoju sytuacji za pomocą telegrafu, ponieważ eskadra włoska mająca zniszczyć stację telegraficzną na wyspie Hvar i przeciąć kabel zrobiła to dopiero po godz. 16:00.

Następnego dnia ok. 7:00 okręty włoskie powróciły pod brzegi wyspy i wznowiły ostrzał, lecz przerywały go kilkakrotnie. Baterie nad zatoką Św. Jerzego odpowiadały niezbyt intensywnie i widać było, iż w akcji jest mniej dział. Dopiero ok. 16:30 włoskie eskadry ponownie rozpoczęły silny ostrzał fortyfikacji austriackich. W zatoce Komiża próbowały zniszczyć baterię Magnarelli oraz wybrane punkty na wybrzeżu, lecz główne zmagania ponownie skoncentrowały się w zatoce Św. Jerzego. Wykorzystując osłabienie obrony, do brzegów zbliżyły się 4 włoskie pancerniki, przy czym czołowy, który stanowiła korweta pancerna Formidabile, wszedł na wody zatoki walcząc z fortem Georg, a następnie z baterią Mamula, którą ostrzelał z odległości zaledwie 250 m. Następnie, po wymianie ognia z baterią Zupparina, popłynął dalej w głąb zatoki, gdzie miał miejsce jeden z ciekawszych epizodów bitwy okrętów z fortyfikacjami.

Bateria Levaman

Bateria Levaman zaczerpnęła swoją nazwę od miejsca, w którym została zbudowana. A ulokowano ją w głębi zatoki Św. Jerzego, pomiędzy dawnymi osadami Luka (część zachodnia i port) oraz Kut (wschodni brzeg zatoki) tworzącymi dzisiejsze miasto Vis. Turyście trudno dziś ustalić kiedy bateria powstała, gdyż tablica informacyjna głosi, że było to w latach 30. XIX w., podczas gdy w kamieniu nad bramą wejściową jest wykuta data „MDCCCXLI", czyli rok 1841 w zapisie arabskim.

Baterię zbudowano 50 m od brzegu, na łagodnie pochylonym stoku u podstawy grzbietu Andrea. Dzieło ma silnie wydłużony front i wymiary: 102 m szer. i 64 m dł., mierząc w koronie przeciwskarpy fosy. Otaczająca je fosa została wykuta w skale i ma poziome dno, a więc zmienną głębokość: od ok. 1 m przed czołem do ok. 6 m od strony tylnej. Skierowany na północ front tworzy wysoki taras artylerii o ściętych narożach czołowych i zaokrąglonych barkach, który sięga poziomu 13 m n.p.m. Ściany tarasu są silnie pochylone i wykonane z drobno ciętych kamiennych bloków, podobnie jak kazamaty pod tarasem artylerii z ładnymi, parabolicznymi sklepieniami.

Pomiędzy tarasem artylerii a budynkiem koszar rozciąga się duży, wąski, prostokątny dziedziniec wyłożony kamieniem, którego zadaniem było również zbieranie wody opadowej. Brama wjazdowa do fortu znajduje się po wschodniej stronie dziedzińca zamkniętego z obu końców murem obwodowym, a nad fosą znajdował się zwodzony drewniany most. Dwukondygnacyjny budynek obronnych koszar o kamien-

Brama do baterii Levaman, z lewej budynek obronnych koszar.

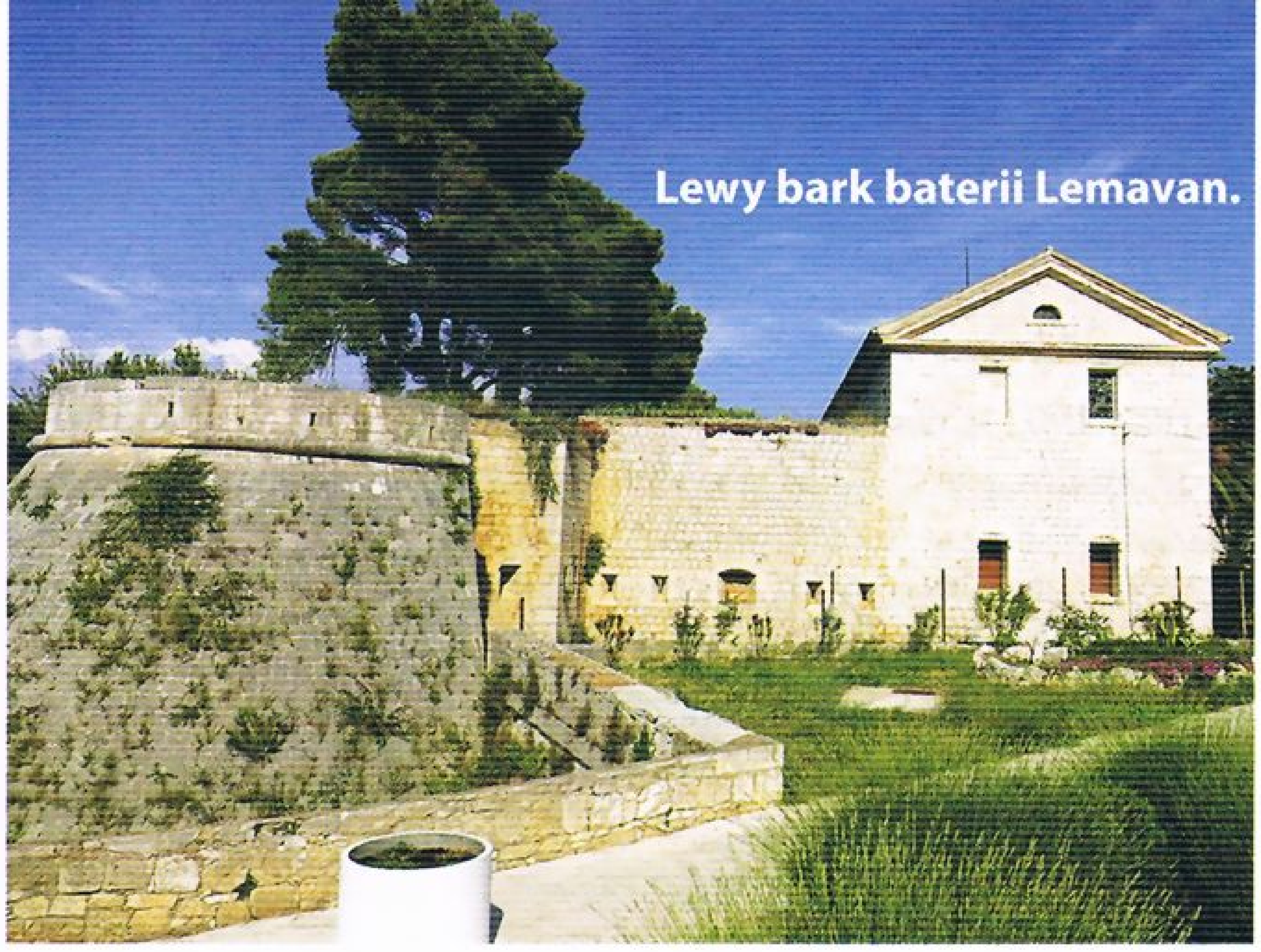

nej konstrukcji zbudowano na planie prostokąta liczącego 59 m dł. i 10 m szer., z wysuniętym skrzydłem oraz kaponierą w centralnej części południowej elewacji.

W 1866 r. bateria Levaman uzbrojona była w 8 dział: 4 nowoczesne gwintowane armaty 24-funtowe (150 mm) i 4 stare gładkolufowe armaty 30-funtowe. Prawdopodobnie po 1873 r. bateria została przebudowana oraz przekształcona w przytułek i szpital. Największą zmianą jaka wówczas zaszła w architekturze budynku koszar, było powiększenie okien; ponadto taras artyleryjski został zadrzewiony. Podczas okupacji włoskiej po I wojnie światowej dzieło nazwano Batteria della Madonna, co z uwagi na zmianę funkcji, przyjęło się także jako chorwackie Gospina batarija.

Dzisiaj w dawnej baterii znajduje się muzeum archeologiczne, które posiada największą kolekcję hellenistycznych artefaktów w Chorwacji, w tym wspaniałą brązową głowę bogini Artemidy – symbolu starożytnej wyspy Issa. Ciekawa jest także bogata kolekcją amfor, które są eksponowane w taki sposób, jak układano je w ładowni starożytnego statku handlowego. Bateria przylega do nadmorskiego deptaka, w zabudowie miejskiej, więc łatwo tu dojść. Niestety, zieleń oraz przyległe zabudowania i parkingi zmieniły charakter tego miejsca na niezbyt militarny. O dawnej roli obecnego muzeum przypominają tylko lufy starych armat i śmigła wydobyte z wraku bombowca B-24, które leżą przy ogrodzeniu fosy.

Korweta pancerna Formidabile

Zbudowano ją w latach 1860-1862 we francuskiej stoczni, przy czym prace rozpoczęto planując pływającą baterię uzbrojoną w 30 armat, a ukończono jako pancernik bateryjny uzbrojony w 20 dział – pamiątką po tej zmianie było po 15 ambrazur na każdej z burt, choć część z nich nie była używana. Okręt miał pomocnicze ożaglowanie trzymasztowego szkunera i był zdolny do prowadzenia działań na otwartym morzu. Jednak pochodzenie odbijało się ujemnie na prędkości, zwrotności i dzielności morskiej okrętu. Podobnie nie najlepiej oceniano wysokość pasa pancerza burtowego, lecz jednostka bez złych przygód służyła we flocie włoskiej wiele lat i została złomowana w roku 1904.

Uzbrojenie stanowiło 16 gwintowanych armat kal. 160 mm oraz 4 gładkolufowe armaty 68-funtowe. Tę artylerię podzielono na 2 baterie, pod 10 luf na burtę, a 2 działa mogły strzelać przed dziób, co wymusiło charakterystyczny kształt pokładu. Pancerz burtowy miał grubość 115 mm, a pod linią wodną 100 mm. Wyporność standardowa wynosiła 2618 t, a pełna 2756 t. Okręt miał dł. całkowitą 65,8 m, szer. 14,44 m i zanurzenie 5,45 m. Napęd zapewniała jedna maszyna parowa o mocy 1080 KM, jedna śruba. Szybkość maksymalna 12 w, ekonomiczna 10 w, zasięg 1300 mil morskich. Załogę tworzyło 371 ludzi.

Pancernik Formidabile kontra bateria Levaman

Jednym z ciekawszych epizodów bitwy włoskich okrętów z austriackimi fortyfikacjami był atak korwety pancernej Formiabile na baterię Levaman. Formalnie korweta stanowiła szpicę włoskiego zespołu 4 pancerników, lecz pozostałe okręty zostały w tyle. Następnie, nie mogąc strzelać do baterii zasłoniętej przez kadłub Formidabile, oraz obawiając się, że nie mają miejsca na manewry, kolejno opuściły zatokę wycofując się z walki. Akcja pojedynczego pancernika defilującego po spokojnych wodach portu, powolnie i blisko brzegu niczym cumujący prom, wyrównywała szanse – było jeden na jednego. Dystans był niewielki, ok. 400 m, a nawet zaledwie 150-200 metrów. Siła ognia zbliżona, ponieważ mały dystans zacierał niedoskonałości dział gładkolufowych. W akcji było osiem 150 mm dział baterii nadbrzeżnej przeciw ośmiu 160 mm i dwóm 203 mm w baterii burtowej korwety. W tej sytuacji fortyfikacje pokazały swoją wyższość. W pojedynku ogniowym bateria straciła jedno działo i kilku ludzi. Fregata, której istotne części chroniły stalowe płyty, była teoretycznie bezpieczna, bowiem 150 mm pociski nie były w stanie przebić pancerza. Lecz ogień austriackich dział zdemolował cały pokład, komin i takielunek, wzniecając przy

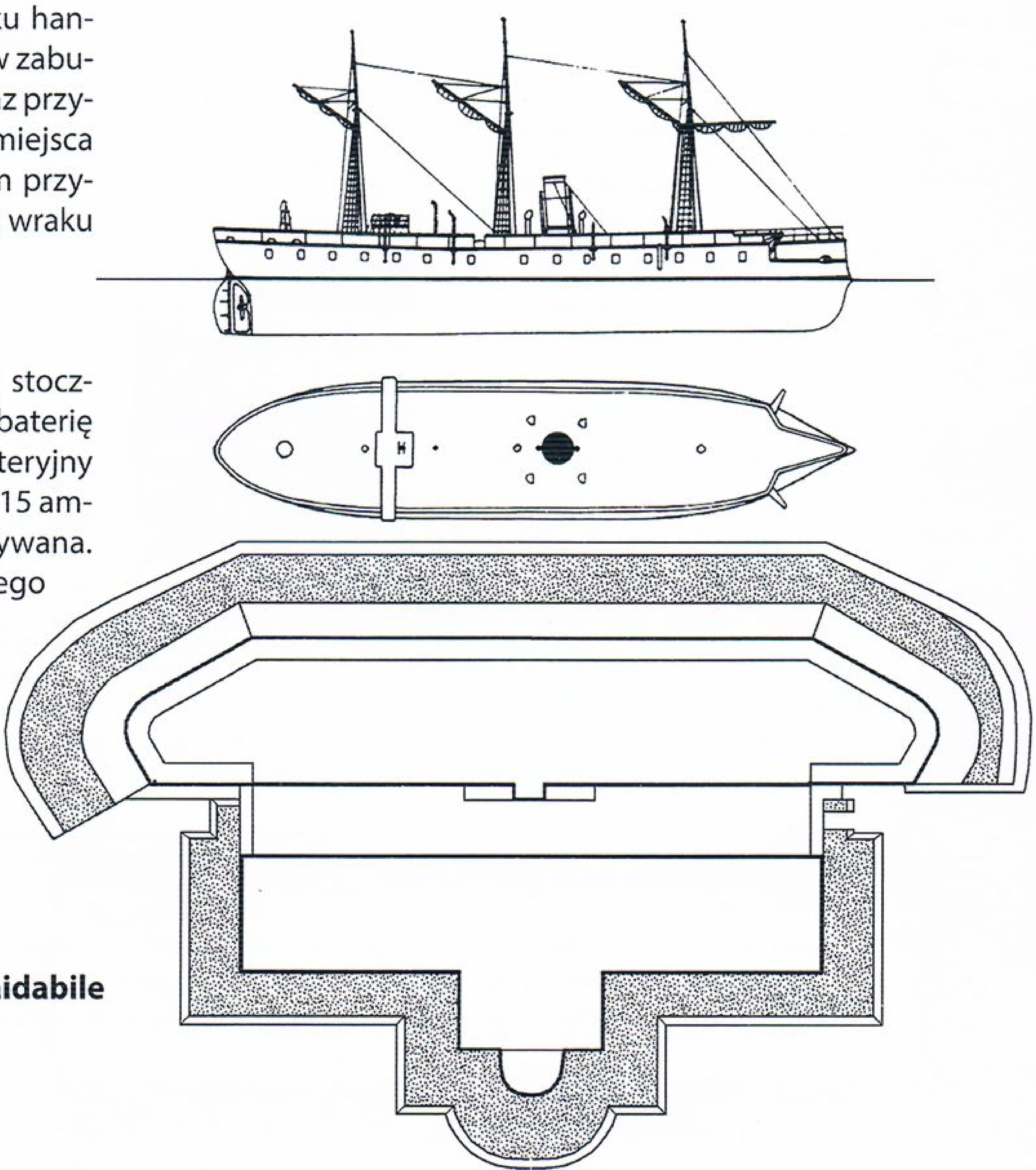

Szkic baterii Levaman i korwety pancernej Formidabile w tej samej skali. Rys. J. Sadowski

tym pożary. Kilka pocisków trafiło w otwarte ambrazury i eksplodowało na pokładzie bateryjnym, uszkadzając działa i powodując straty w ludziach – zginęło i zmarło z ran 14 marynarzy, a ponad 30 zostało rannych, co stanowiło niemal połowę dotychczasowych włoskich strat. W końcu fregata wycofała się i pod ciągłym ostrzałem sprawnych dział austriackich baterii opuściła zatokę Św. Jerzego, po czym walki wygasły.

Resume działań z 18 i 19 lipca

Porażka włoskiej floty była oczywista – nie zniszczono artylerii przeciwnika i nie wysadzono desantu. Pancernik Formidabile był uszkodzony i nie wziął udziału w dalszej walce. W sumie, straty na pokładach włoskich okrętów podczas dwóch dni walk o wyspę Vis wynosiły 130 ludzi. Można przypuszczać, że nawet jeśli na miejscu korwety pancernej Formidabile byłaby większa i znacznie silniej uzbrojona flagowa fregata pancerna Re d'Italia (100 m dł., 36 dział, pancerz 120 mm), to wynik starcia pancernik kontra bateria nadbrzeżna byłby zbliżony.

Straty w załogach austriackich fortyfikacji wynosiły: bateria Schmidt: 35 ludzi, fort George: 24 ludzi, bateria Mamula: 21 ludzi, pozostałe baterie: 12 ludzi. Razem 92 ludzi, w tym 24 zabitych. Dużo gorzej wyglądał stan baterii nadbrzeżnych broniących zatoki Św. Jerzego. Sprawne były tylko nieliczne działa: w bateriach: Zuparina 1 szt., w Bentinck 2 szt., w Wellington 5 szt., w Levaman 7 szt.

Bitwa floty włoskiej z flotą austriacką – Lissa 1866

20 lipca rano flota włoska ponownie szykowała się do ataku na fortyfikacje wyspy i do wysadzenia desantu. Jednak ok. 8:00 dostrzeżono nieznaną eskadrę nadpływającą z północnego zachodu – było jasne, że to austriacka odsiecz. To, że odsiecz nadpłynęła niemalże w ostatnim momencie, było wynikiem zbiegu okoliczności. Otóż kontradmirał Tegetthoff, dowódca sił morskich Austrii, długo uważał, że atak na mało ważną wyspę jest tylko prowokacją i demonstracją mającą odciągnąć jego flotę od podstawowego celu włoskiej operacji. Dopiero wiadomości o drugim dniu walk i obecności pod Vis głównych sił przeciwnika skłoniły go do wyruszenia z pomocą. Jego flota, która składała się z 7 okrętów pancernych oraz 19 jednostek drewnianych (w tym dwupokładowego okrętu liniowego niosącego 92 działa), wyszła z portu w Puli 19 lipca po południu, mając do przepłynięcia około 150 mil morskich. Z uwagi na złe warunki pogodowe rejs się przeciągnął i dopiero następnego dnia rano okręty austriackie przypłynęły w pobliże wyspy. Obie floty zdecydowały się podjąć bitwę i zaczęły zbliżać się ku sobie, choć chwilami skrywała je mgła i deszcz, gdyż rankiem pogoda była wyjątkowo zła.

Około 10:45 dystans zmniejszył się do 1 km i okręty włoskie otworzyły ogień. Nieco wcześniej dowódca floty włoskiej, admirał Persano, zmienił swój okręt flagowy z fregaty pancernej Re d'Italia na okręt pancerny Affondatore, czym wprowadził zamęt w swojej flocie. Okręty austriackie dysponujące słabszą artylerią, otwarły ogień z mniejszego dystansu i próbowały staranować okręty przeciwnika, wykorzystując deszcz i chmury dymów prochowych. Bitwa zamieniła się w szereg indywidualnych starć, a przeciwnicy ostrzeliwali się z najbliższych wręcz odległości, ponieważ nieskuteczność ostrzału spowodowała podjęcie szeregu prób staranowania. W efekcie manewrów zatonął włoski okręt flagowy Re d'Italia, staranowany przez austriacki okręt flagowy Erzherzog Ferdinand Max, a kilka innych jednostek włoskich miało kolizje. Około południa bitwa wygasła i okręty obu flot skoncentrowały się na nowych pozycjach – austriackie u wejścia do zatoki Św. Jerzego, włoskie na północ od nich. W zespole włoskim płonęła korweta pancerna Palestro i niebawem zatonęła w wyniku wybuchu amunicji. Austriacy nie stracili żadnej jednostki, aczkolwiek drewniany okręt liniowy Kaiser miał mocno uszkodzony dziób po uderzeniu w burtę włoskiej fregaty pancernej Re d'Portogallo.

Bitwa pod Lissą, jak nazwano starcie flot Włoch i Austrii, mimo dość banalnego przebiegu i braku rozstrzygnięcia oraz zatopienia w walce tylko jednego okrętu, stała się sławna – lecz jako pierwsza wielka bitwa okrętów pancernych. Przyćmiła nie tylko spektakularne zwycięstwo kpt. Williama Hoste z 1811 r., czy dwudniową bitwę floty włoskiej z austriackimi bateriami nadbrzeżnymi, ale także walki okrętów pancernych toczone podczas wojny secesyjnej, ponieważ te ostatnie odbywały się przeważnie na wodach śródlądowych i nie uczestniczyły w nich pełnomorskie okręty pancerne. Bitwa pod Lissą 1866 wykazała także bezsilność ówczesnej artylerii wobec prymitywnego jeszcze pancerza okrętów – mimo wystrzelenia setek pocisków na niewielkich dystansach tylko w pojedynczych przypadkach pancerz okrętu został przebity lub pociski ugrzęzły w pancerzu. Wynik bitwy spowodował też, że długi czas taranowanie traktowano jako ważny sposób walki na morzu, a wszystkie pancerniki, nawet typu „drednot", i z potężną artylerią, miały dziób zakończony taranem. Jedno było pewne: pojedynek pocisku z pancerzem wygrał pancerz. Lecz pojedynek okrętu z fortyfikacjami pozostał chyba nierozstrzygnięty?

Ostatni rozdział do historii bitwy dopisał statek badawczy Janus II, który w 2005 r. odnalazł wrak Re d'Italia, który leży na głębokości 105 m, a więc zbyt głęboko dla nurkowania rekreacyjnego.

W części nr 2: skrzyżowanie Wallo Alpino z Iwo-Jimą oraz posmak dział Navarony, ale nie uprzedzajmy wypadków...

ZDJĘCIA: CZESŁAW KLIM, JERZY SADOWSKI.

Przypisy:

[1] Dla wszystkich dział podano kaliber wg wyrażonego w funtach wagomiaru kul żelaznych o średnicy odpowiadającej kalibrowi lub wagi pocisków, lecz to wskaźnik bardzo nieobiektywny, dlatego dla armat gwintowanych podany został w nawiasie kaliber wyrażony w milimetrach. Wagomiary dział austriackich podawane były w funtach wiedeńskich, cięższych niż funty angielskie powszechnie używane w artylerii. W ten sposób austriacka armata 48-funtowa była odpowiednikiem 56-funtowej armaty oznaczonej w funtach angielskich. Ponadto producenci broni stosowali własne systemy wagomiarów, więc np. granat 60-funtowego działa Paixhansa ważył 39 funtów wiedeńskich, lecz 47 funtów angielskich. Dla dział gwintowanych, które już nie strzelały kulami a pociskami wydłużonymi, pociski były cięższe, choć austriacka armata gwintowana kal. 150 mm oznaczana była wg teoretycznego wagomiaru jako 24-funtowa, podczas gdy 150 mm armata gładkolufowa jako 30-funtowa. Natomiast włoskie armaty 160 mm oznaczano jako 32-funtowe choć granat burzący ważył 64 funty, a pełny pocisk ppanc. 99 funtów.

[2] W latach 60. XIX w. okręty pancerne, w skrócie nazywane „pancernikami", klasyfikowano jeszcze wg starych standardów opartych na liczbie dział, a nie wg wyporności. Stąd „fregaty pancerne" i mniejsze „korwety pancerne", które to nazwy zostały wyeliminowane wraz z wprowadzaniem do uzbrojenia okrętów dział coraz większego kalibru, ograniczaniem ich ilości oraz stosowaniem wież w miejsce baterii burtowych.

Jerzy Sadowski

Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

odk księgarnia odkrywcy

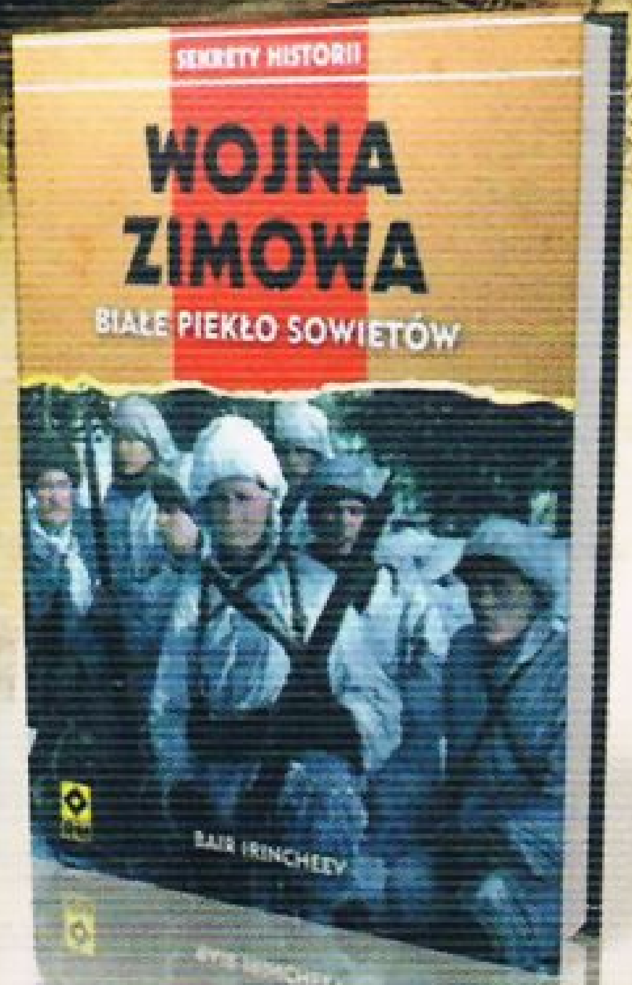

Bair Irincheev „Wojna zimowa", opr. miękka, str. 272, Wydawnictwo RM. Cena: 34,70 zł

Książka ta to niezwykle pochłaniająca opowieść o wojnie zimowej – konflikcie zbrojnym toczonym w latach 1939-1940 pomiędzy Finlandią a Związkiem Radzieckim. Autor, kreśląc bogato ilustrowaną i oryginalną wizję tych nierównych zmagań, sięgnął do olbrzymiej liczby relacji naocznych świadków, pamiętników wojennych, raportów wojskowych i innych dokumentów z fińskich i rosyjskich archiwów, by zrekonstruować przebieg walk frontowych. Udało mu się przy tym dokonać analizy przyczyn nieudolnych poczynań Armii Czerwonej. Pełna bólu codzienność wyczerpanych żołnierzy obu stron, brutalny charakter walk i nieustająca konfrontacja z żywiołami natury – to wszystko przewija się we wspomnieniach ludzi, którzy brali udział w wojnie zimowej.

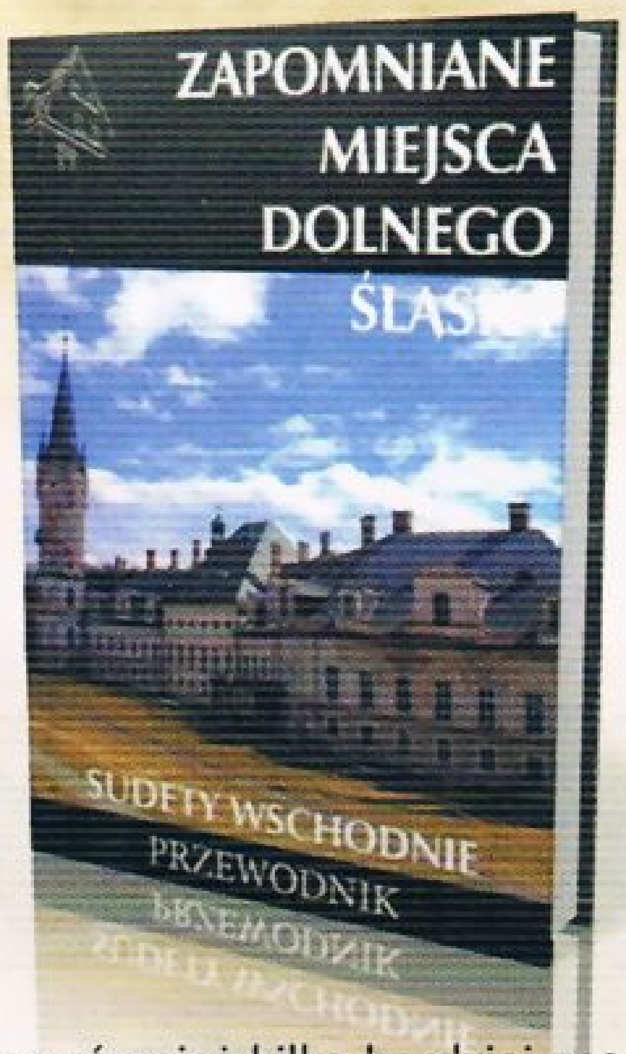

Jakub Jagiełło „Zapomniane miejsca Dolnego Śląska", opr. miękka, str. 124, wyd. Ciekawe Miejsca. Cena: 39,80 zł

Jest to już czwarty tom serii „Zapomniane miejsca". Niniejszy przewodnik ma na celu „zaprowadzić" czytelnika do miejsc, których się powszechnie nie odwiedza i nie opisuje –zrujnowane pałace, zamki i dwory, budynki fabryczne, opuszczone kościoły, synagogi i cmentarze, fortyfikacje, grodziska, dziwne pomniki, zabytki techniki. Znaczna ich część znajduje się w Kotlinie Kłodzkiej. Wystarczy spojrzeć na mapę i zobaczyć, że w Starej Łomnicy są trzy dwory renesansowe i jedna średniowieczna wieża mieszkalna, a w Ścinawkach (Dolna, Średnia i Górna) jest łącznie pięć dworów i pałaców. W przewodniku opisano również kilka bardziej znanych zrujnowanych miejsc, w sprawie których od lat organizowane są akcje nawołujące do ratowania tych zabytków.

Krzysztof J. Kwiatkowski „Survival po polsku", opr. miękka, str. 480, Oficyna Wydawniczo-Reklamowa Sagalara. Cena: 44 zł

Nowa, trzecia edycja bestsellerowej książki Krzysztofa J. Kwiatkowskiego. Niniejsze wydanie przygotowane zostało na kredowym papierze i zawiera wiele unikatowych kolorowych fotografii. Jest to lektura obowiązkowa dla każdego, kto wybiera się w nieznane i niedostępne tereny. Książka pomaga sprawdzić swoją wartość w ekstremalnych warunkach, podając czytelnikom wskazówki jak przetrwać, aby nie musieć toczyć bojów z techniką, jak obłaskawić naturę i jak z nią żyć w przyjaźni. Sama silna wola nie zawsze wystarczy, by ocalić życie. Potrzebna jest również rozległa wiedza i umiejętne korzystanie z niej.

Romuald M. Łuczyński „Szlacheckie i arystokratyczne rezydencje w Sudetach czeskich", opr. twarda, str. 256, wyd. EKO-GRAF. Cena: 48,30 zł

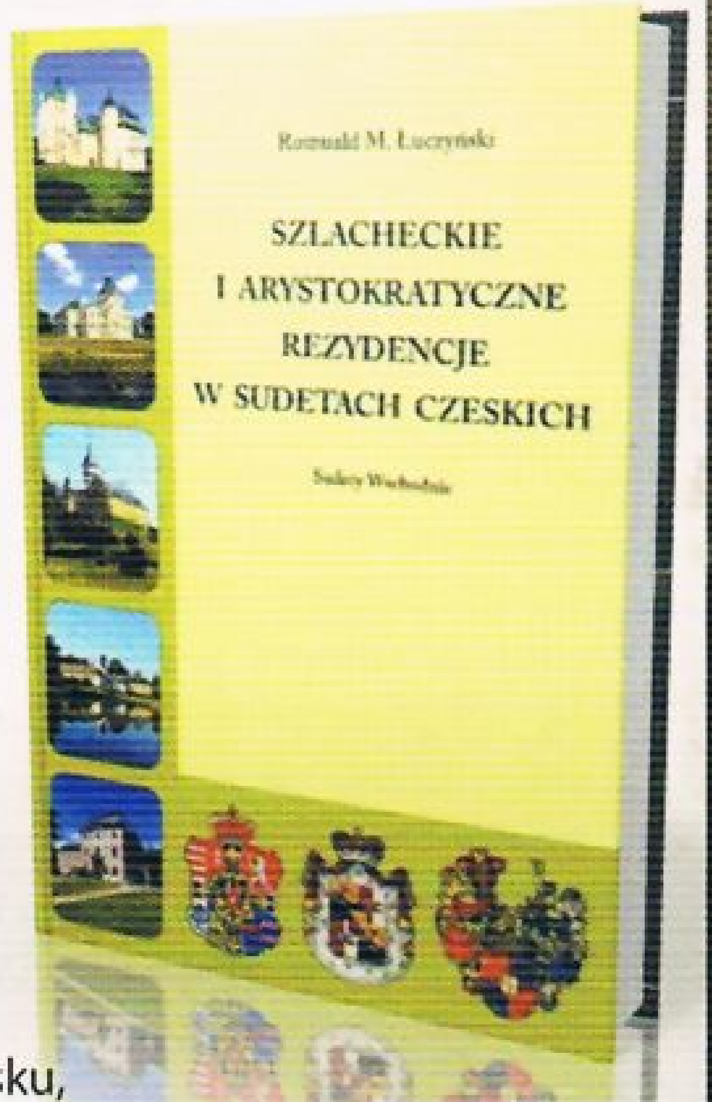

Druga część monografii „Szlacheckie i arystokratyczne rezydencje w Sudetach czeskich" poświęcona jest zamkom, dworom i pałacom w Sudetach Wschodnich, na historycznych ziemiach Moraw i Śląska Czeskiego, dziś w granicach Republiki Czeskiej. Autor monografii, Romuald M. Łuczyński, historyk i krajoznawca, prof. Wyższej Szkoły Bankowej we Wrocławiu i zarazem dyr. tamtejszego Instytutu Turystyki i Rekreacji, opisał 48 rezydencji (zamki, dwory i pałace), które w odróżnieniu od podobnych obiektów na Śląsku, w większości uniknęły zniszczeń wojennych, grabieży i późniejszej dewastacji. Po wysiedleniu Niemców Sudeckich i sprzyjających rządowi Protektoratu Czech i Moraw dawnych właścicieli – obiekty te przejęto państwo czechosłowackie.

Ludwik Sadowski „Oddział II Sztabu Generalnego", opr. miękka, str. 108, wyd. Test. Cena: 30,90 zł

Publikacja „Oddział II Sztabu Głównego. Rezultaty pracy pokojowej i udział w przygotowaniu do wojny" powstała w oparciu o raport ppłk. dypl. Ludwika Sadowskiego dla londyńskich władz emigracyjnych, na czele których stał wówczas gen. Władysław Sikorski. Opublikowany w pierwszych miesiącach po klęsce 1939 r. dokument, to krytyczna ocena przygotowań do wojny. Do Polski raport trafił w 1945 roku wraz z powracającym z emigracji wysokim oficerem Wojska Polskiego. „Wręczył opracowanie komunistom, bo liczył, że będzie przez nich dobrze przyjęty. No i przyjęto go, oczywiście do więzienia" – ocenił Bernard Nowak, właściciel Wydawnictwa Test.

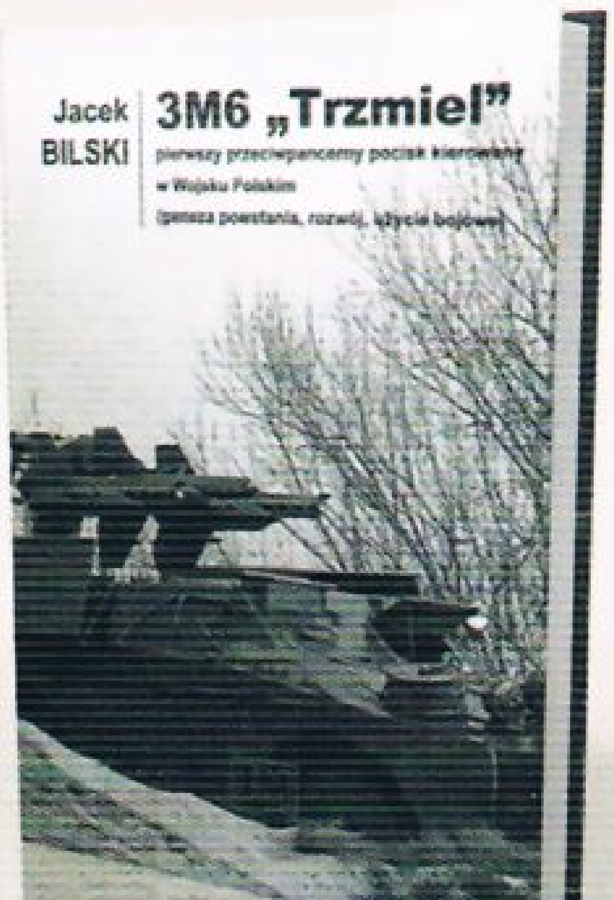

Jacek Bilski „3M6 Trzmiel - pierwszy przeciwpancerny pocisk kierowany w Wojsku Polskim", opr. miękka, str. 114, Wydawnictwo JM. Cena: 21 zł

Książka ta poświęcona jest pierwszemu przeciwpancernemu pociskowi kierowanemu w Wojsku Polskim – 3M6 „Trzmiel". Po raz pierwszy został on odpalony w lutym 1964 r. na poligonie artylerii w Toruniu. Publikacja zawiera następujące rozdziały: Rozwój przeciwpancernych pocisków kierowanych w latach 1944-1965; Historia powstania przeciwpancernego pocisku 3M6 „Trzmiel"; Zestawy „Trzmiel" w uzbrojeniu armii radzieckiej; „Trzmiel" w uzbrojeniu armii Układu Warszawskiego oraz państw demokracji ludowej – standaryzacja systemów uzbrojenia jako instrument zależności gospodarczej do ZSRR; Od „Diamentu" do „Trzmiela" i „Malutkiej" – pierwsze przeciwpancerne pociski kierowane w Polsce; Przeciwpancerny pocisk rakietowy 3M6 „Trzmiel" w wyposażeniu Wojska Polskiego; System szkolenia obsługi wyrzutni przeciwpancernych pocisków kierowanych 3M6 „Trzmiel".

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

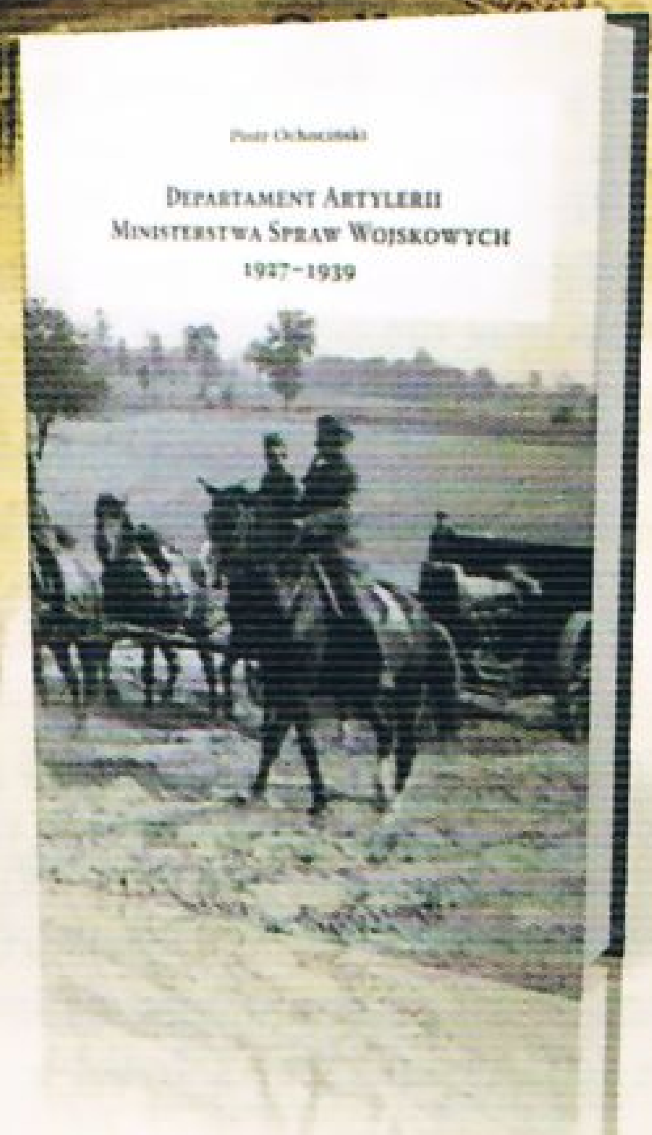

Piotr Ochociński „Departament Artylerii Ministerstwa Spraw Wojskowych 1927-1939", opr. miękka, str. 520, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 49 zł

W pracy omówione zostały czynności Departamentu Artylerii Ministerstwa Spraw Wojskowych realizowane na polu modernizacji i unowocześniania artylerii. Przeanalizowana została m.in. problematyka dotycząca prac nad regulaminem taktycznym artylerii, ujednoliceniem i wdrażaniem nowego sprzętu (działa, haubice), modernizacją strukturalną oddziałów oraz prac koncepcyjnych nad poprawą systemu dowodzenia w artylerii.

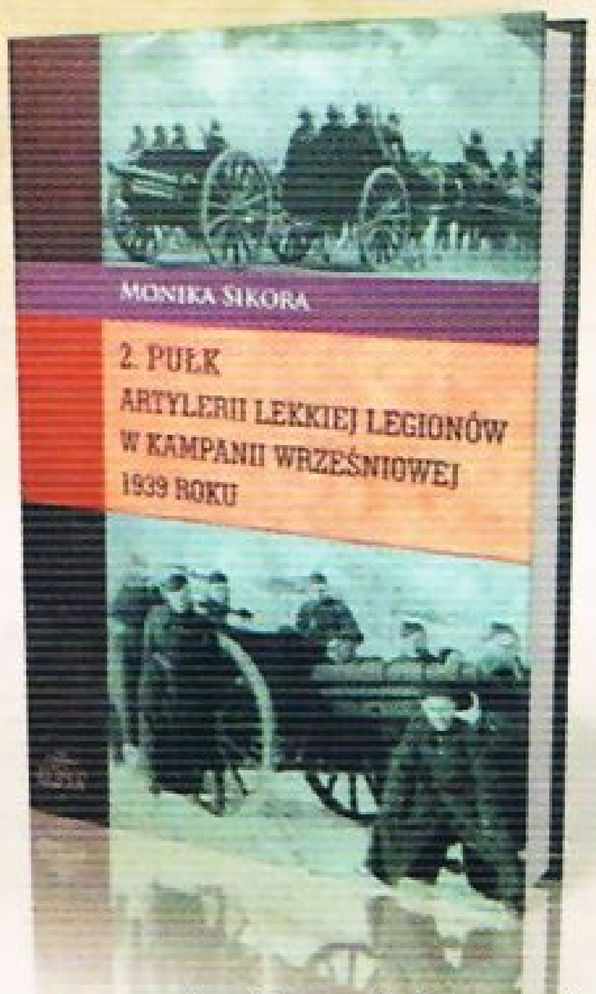

Monika Sikora „2. pułk artylerii lekkiej Legionów w kampanii wrześniowej 1939 roku", opr. miękka, str. 256, wyd. Elipsa. Cena: 34,90 zł

Celem niniejszej pracy jest jak najpełniejsze ukazanie i jak najbardziej dokładne opisanie uczestnictwa w działaniach bojowych we wrześniu 1939 r. 2. pal Leg. oraz jego II rzutu, tzn. baterii przewidzianych dla II i III dywizjonu 55. pal rez. Należy podkreślić, że pododdziały II rzutu ostatecznie nie zostały w pełni, oraz jako całość, sformowane. Poszczególne baterie wzięły samodzielnie udział w walkach w ramach różnych formacji (grup i brygad). Autorka podejmuje również próbę oceny czynów i dokonań wojennych żołnierzy baterii obu pułków. Zwraca przy tym uwagę, jakie znacznie miały one dla powodzenia całości akcji zbrojnych, prowadzonych przez oddziały i formacje w ramach których walczyli.

Marek Górka „Mossad. Porażki i sukcesy tajnych służb izraelskich", opr. miękka, str. 236, wyd. Difin. Cena: 48 zł

Autor podejmuje się trudnego wyzwania, polegającego na przybliżeniu i usystematyzowaniu wiedzy na temat jednej z najbardziej tajemniczych i legendarnych agencji wywiadowczych na świecie. Aby jednak sprostać temu zadaniu, poszczególne rozdziały pracy stanowią odpowiedź na kilka nurtujących pytań dotyczących m.in. szczególnych warunków politycznych, w których inicjowane są działania wywiadowcze, a także typologii wydarzeń, zjawisk i procesów motywujących organizacje wywiadowcze do działań oraz wpływu wywiadu na podejmowanie decyzji politycznych.

Stanisław M. Przybyszewski „Dowódcy dywizji, brygad i pułków kawalerii Rzeczypospolitej 1914-1945", opr. miękka, str. 368, wyd. Nowa Nidzica. Cena: 69,90 zł

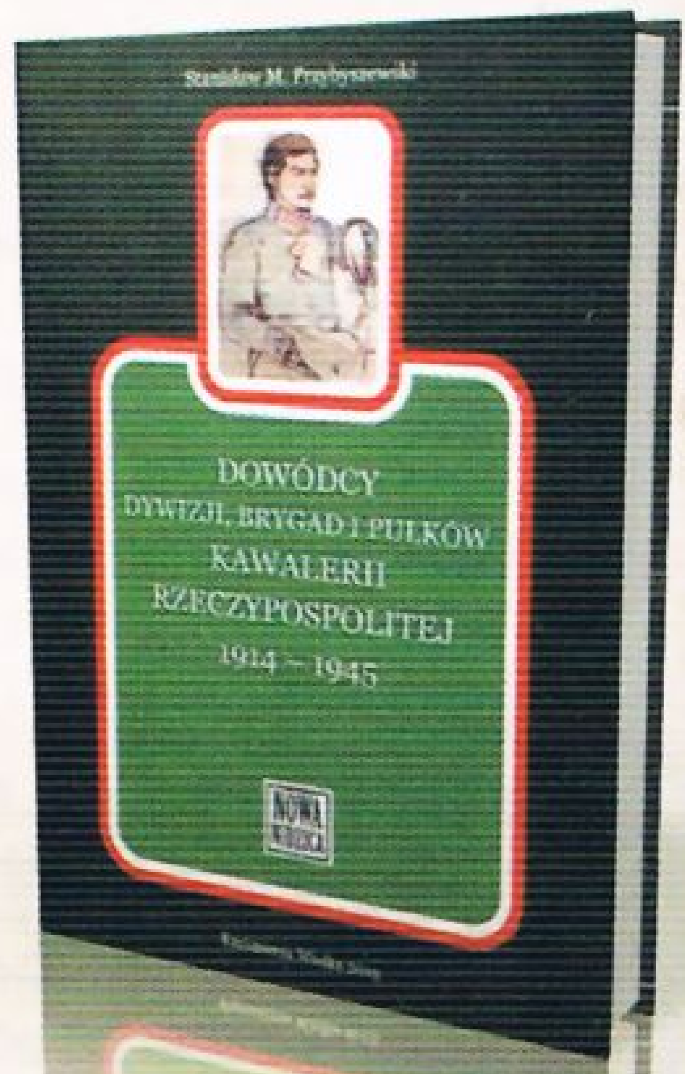

Prezentowana książka stanowi kompendium wiedzy biograficznej o dowódcach liniowych kawalerii polskiej z lat 1914-1945. Przy każdej z opisywanych osób starano się zawrzeć informacje dotyczące przebiegu ich służby wojskowej, wykształcenia, awansach, odznaczeniach i działalności pozawojskowej. Zebranym biogramom daleko do kompletności, wiele postaci zostało już zapomnianych, o wielu zachowały się informacje szczątkowe. Jednakże dla miłośników historii armii w II Rzeczypospolitej jest to pozycja obowiązkowa.

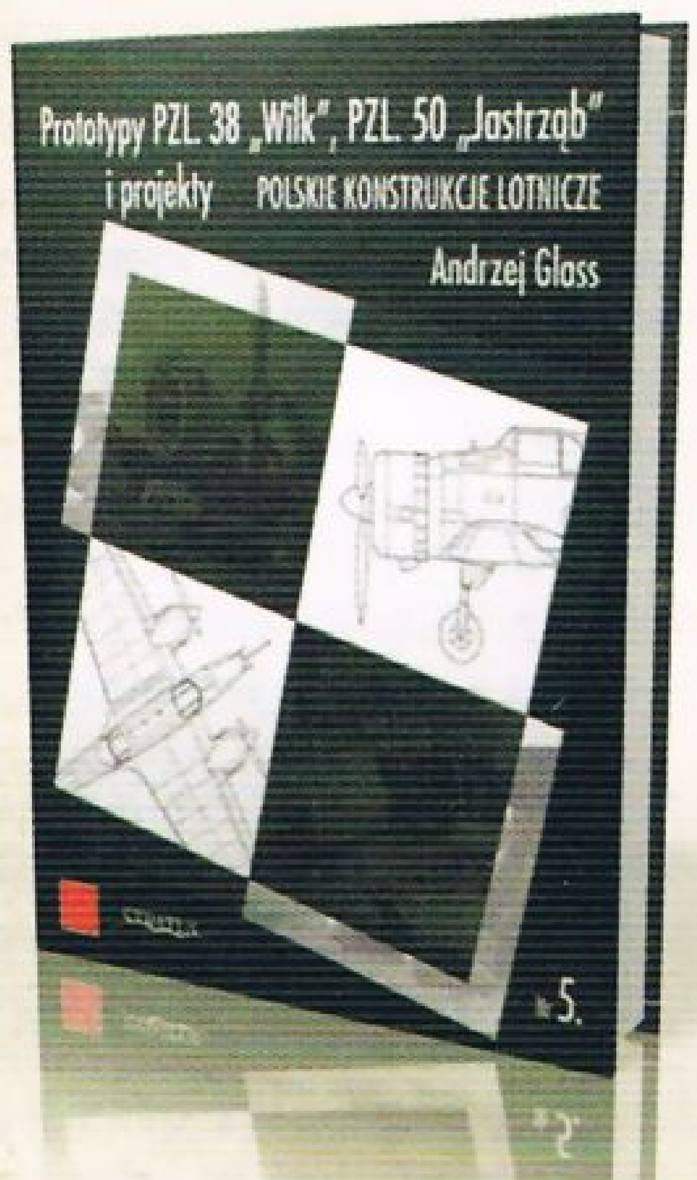

Andrzej Glass „Prototypy PZL. 38 Wilk, PZL. 50 Jastrząb i projekty", opr. miękka, str. 36, ZP Wydawnictwo i Stratus. Cena: 16,90 zł

Andrzej Glass, znany historyk i popularyzator dziejów polskiego lotnictwa, w kolejnym zeszycie z serii „Polskie Konstrukcje Lotnicze" opisuje prototypowe samoloty PZL. 38 „Wilk" i PZL.50 „Jastrząb" oraz niezrealizowane projekty samolotów PZL. 48 „Lampart", PZL. 33, PZL. 39, PZL. 45 „Sokół", PZL. 54 „Ryś" i PZL. 55. Omówiono tutaj ich powstanie, rozwój oraz konstrukcje. Tekst uzupełniony jest zdjęciami i ilustracjami. W pracy znalazły się również plany modelarskie w skali 1:72.

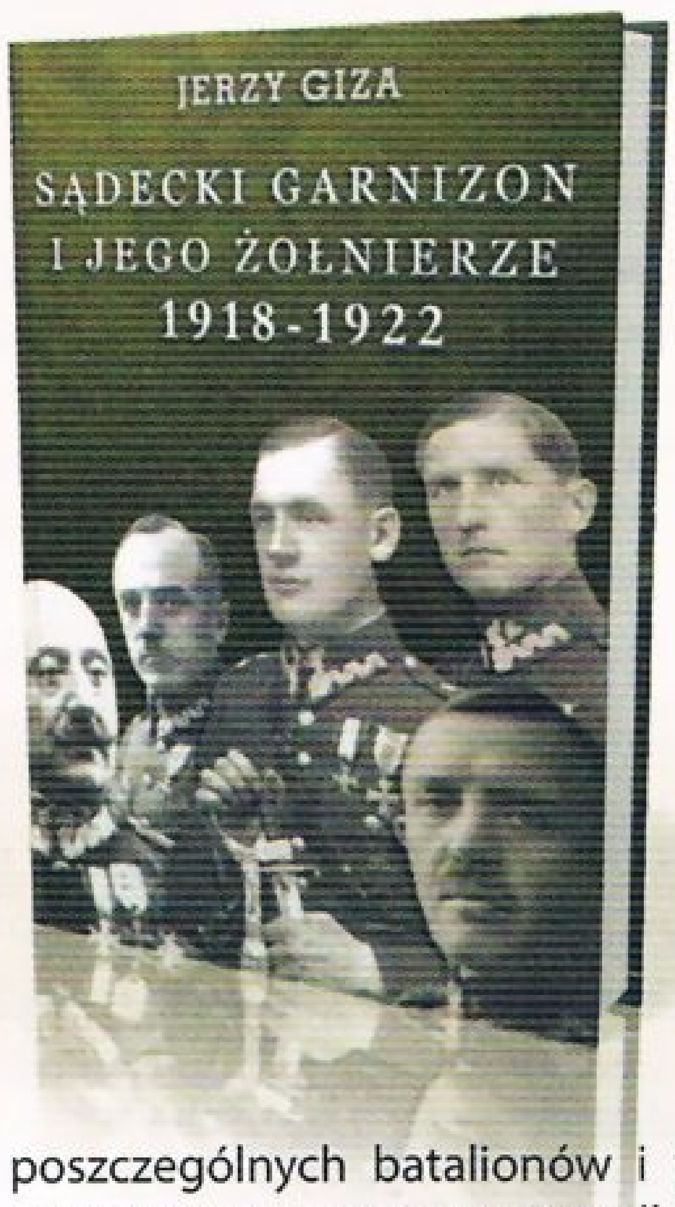

Jerzy Giza „Sądecki garnizon i jego żołnierze 1918-1922", opr. twarda, str. 768, wyd. nakładem autora. Cena: 57 zł

Prezentowaną pracę można nazwać wielkim słownikiem biograficznym żołnierzy sądeckiego garnizonu w pierwszych latach niepodległości. Autor losy garnizonu przedstawia poprzez prezentację biogramów jego żołnierzy. Książka podzielona jest na cztery rozdziały. Pierwszy opisuje dzieje garnizonu w listopadzie i grudniu 1918 roku. Rozdział drugi przedstawia biogramy niemal wszystkich osób wchodzących w skład struktur garnizonu, począwszy od dowództwa, aż po żołnierzy poszczególnych batalionów i pułków. Rozdział trzeci opisuje udział garnizonu w wojnie o niepodległość z lat 1918-1920. Ostatni rozdział ukazuje biogramy oficerów i podoficerów 1.p.s.p. już w wolnej Polsce, po demobilizacji.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI”. To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów”.

26,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET” Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

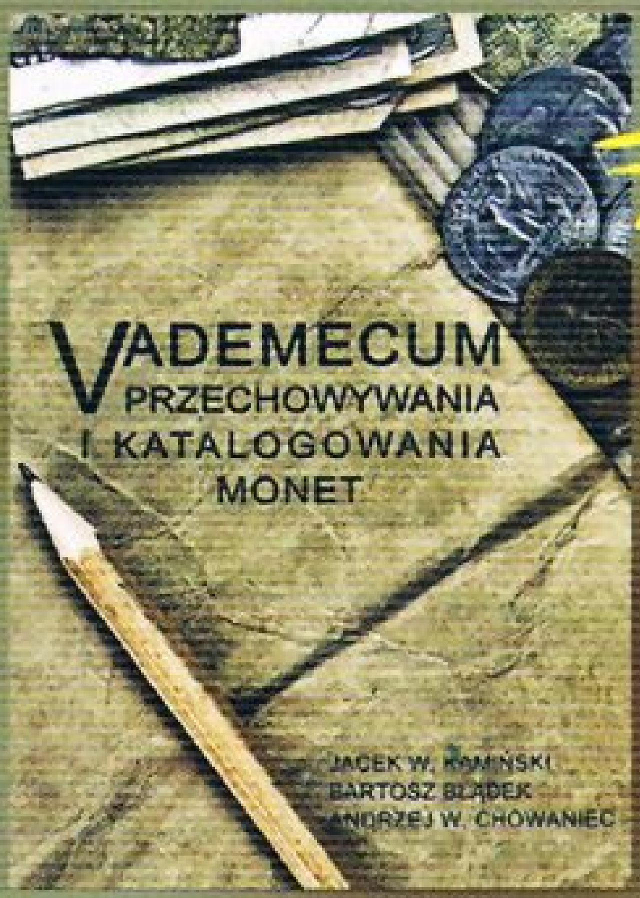

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET” Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY” Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

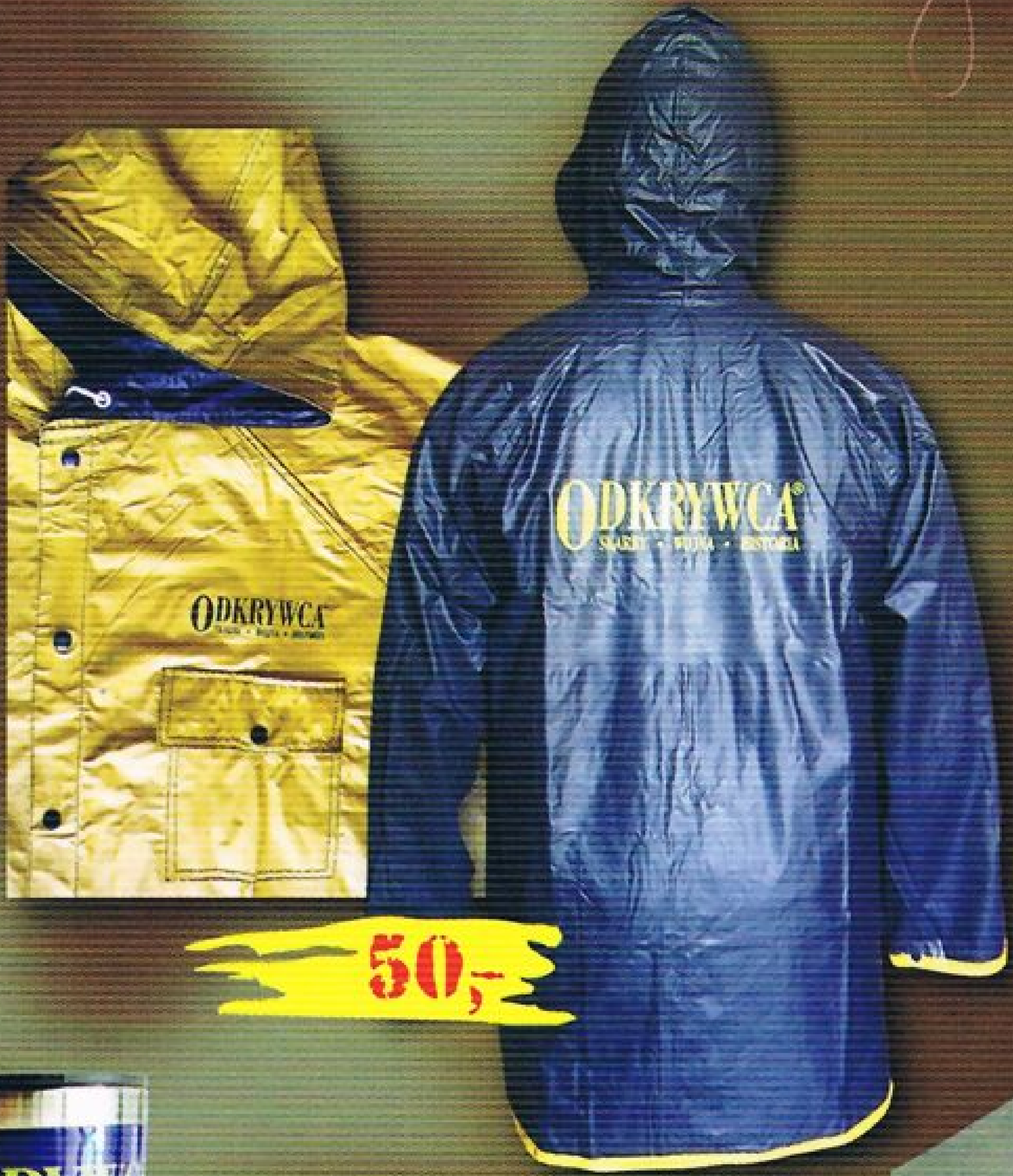

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

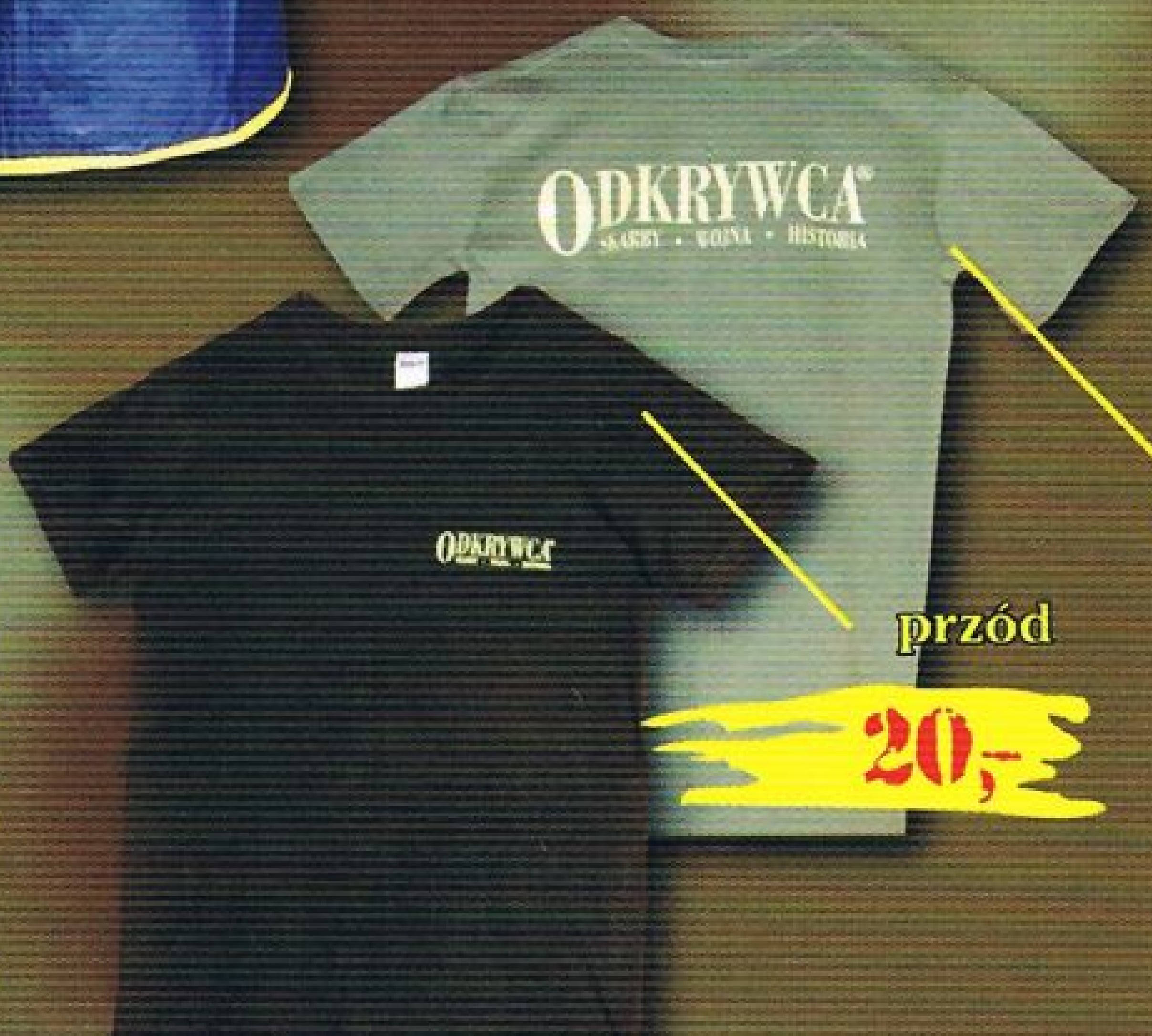

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 7/198

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy / miejscowość

ulica / nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

VIII ZLOT GRUP REKONSTRUKCYJNYCH I HISTORYCZNYCH POJAZDÓW WOJSKOWYCH

STREFA MILITARNA

10-12 LIPCA 2015

GOSTYŃ-PIASKI FOLWARK PODRZECZE

PATRONAT HONOROWY

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO MAREK WOŹNIAK

WORLD of TANKS ROLL OUT

STOWARZYSZENIE HISTORIA MILITARIS

Piątek 10.07

16:00 Otwarcie terenu dla zwiedzających/ Apel rozpoczynający Zlot
16:30 – 19:30 Pokazy grup (Mała Arena)
20:00 **Inscenizacja „Wielka Wojna"** (Duża Arena)
21:00 Zamknięcie terenu Zlotu dla zwiedzających

Sobota 11.07

11:00 Otwarcie terenu dla zwiedzających
11:00 – 18:00 Pokazy grup (Mała Arena)
18:00 **Inscenizacja „Budziszyn 1945"** (Duża Arena)
19:00 – 21:00 Improwizacje na Małej Arenie
21:00 Zamknięcie terenu Zlotu dla zwiedzających

Niedziela 12.07

11:00 Otwarcie terenu dla zwiedzających
11:00 – 13:30 **„Wojenna epopeja Michała Gutowskiego"** (Mała Arena)
14:00 Apel – Rozdanie nagród
15:00 Zamknięcie terenu Zlotu dla zwiedzających

Projekt współfinansowany przez : Ministerstwo Obrony Narodowej, Samorząd Województwa Wielkopolskiego, Powiat Gostyński, Gminę Gostyń, Gminę Piaski

Partnerzy:

GOSTYŃ, Powiat Gostyński, Gmina Piaski, 17 WBZ, Nadleśnictwo Piaski, Huzar, OLEK MOTOCYKLE

Sponsorzy:

WARGAMING.NET LET'S BATTLE, Bank Zachodni WBK Grupa Santander, BZ WBK Leasing Grupa Santander, TRANS-KOM, GREG-SPAW, NovaComp, Nowacki Konieczny, DOL GUM, kuzniareklamy.pl rozwiązania reklamowe, MALARNIA PROSZKOWA JAMAL, VERO OLEJE I SMARY, HUNTERS, MASZ GUM, Leonex, SŁAWEK SKALSKI FOTOGRAFIA, STRÓŻYŃSKI Handel & Transport, Zamek Rokosowo, czadrow.pl

Patronat medialny:

ODKRYWCA, MILITARIA, GŁOS WIELKOPOLSKI, Polska Zbrojna, telewizja gostyn, TVP POZNAŃ, dobroni.pl, Życie Gostynia, Radio Merkury Polskie Radio, Radio Elka

Opracowanie graficzne i druk kuzniareklamy.pl